

407.149

8-14.

# DEMONOMANIA

CZYLI

## NAUKA NADZIEMSKIEJ MĄDROŚCI

W NAJNOWSZEJ POSTACI

PRZEZ

**Br. Trentowskiego.**



POZNAŃ.

Nakład i czcionki A. Poplińskiego.

1854.

8-14

DEMOMANIA

1844

WYDAWCA

WYDAWCA

IMPRIMATUR

Posen den 18. May 1844.

*Czwalina, Censor.*



407149

1844

K.2996/69

# DEMONOMANIA

czyli

**Nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci**

przez

*Br. Trentowskiego.*

---

Ter quaterque beatum genus humanum, quod unamquamque cupide et hilariter appetit stultitiam. —

**U**powiemy wam tu wiele rzeczy nader ciekawych, zabawnych i oświecających, ale — szalonych. Słuchaj mędrco i półmędrku, prawowierco i niedowiarku; słuchaj, a osłupiejesz, boś dotąd nic podobnego niewiedział i niepomyślał. Miéjże się więc na baczeniu, ażebyś sam nieoszalał! — Rzeknie tu niejeden: „Chcesz nam prawić rzeczy szalone? Wolno to czynić poecie, bo romantyczno-poetyczny jeniusz od szaleństwa dzieli tylko ścianą z wążtęj pajęczęj siatki. O, jakże snadno przekroczyć tę granicę! Ale filozof, co ma do czynienia z szalonymi?“ Odpowiadamy: Czyż szaleństwo, półszaleństwo i normalny stan duszy poety niegodzien jest uwagi myślących? Niejesteż to jeden rozdział z Psychologii, będącój także filozofią?

Mówić więc będziemy o szarych, nocnych stronach duszy człowieczej i o dziwotwornych jéj widziadłach. Że są lunatycy, opętańcy i różnego rodzaju postrzeleni na duchu, jest to empiryczna prawda, o której dziś nikt już niewątpi. Że zjawiska takie stać się mogą podstawą mądrości nadziemskiej, okazuje to terazniejsza filozofia niemiecka. Że wreszcie rzeczy te ocenić należy, rzecz jawna. Rozprawa nasza rozpada się przeto na trzy oddziały, t. j. na część praktyczną, mieszczącą w sobie niektóre powieści psychologicznego interessu, zdjęte żywcem z natury; na część teoretyczną, budującą na powieściach tych nową mądrość nadziemską; i na część krytyczną, będącą filozoficznem rzeczy ocenieniem.

Przystępujemy do pierwszego oddziału i prosimy czytelnika tem bardziej o baczną uwagę, iż rzecz wydawała będzie mu się z początku błahą. —

# I.

## CZEŚĆ PRAKTYCZNA.

### 1. Nieboszczka prorokini.

W Hollandyi wydarzyło się, co następuje. Pewien młody i pełen uczuć arkadyjskich rybak, nazwiskiem Wipner, miał kochankę Elżę, którą miłował i uwielbiał, jakby nadludzką istotę. Lecz niebo idyllicznej Pafii nie-  
długo poilo go swym nektarem. Wzięto go bowiem w rekruty do morskiej służby i zrobiono majtkiem. Opuścić musiał rodziców i gorąco ukochaną Elżę. Z początku opano-  
nowało go pewne ducha odrętwienie, tak, że jak kamień, na wszystko w świecie zdał się być nieczułym. Później szukał roztargnienia w najdzikszej spółtowarzyszów zaba-  
wie. Atoli żadna uciecha, żaden zgiełk, niepotrafiły ukoić jego boleści. I owszem, przypomnienie ubóstwionej kochanki występowało w jego pamięci tem żywiej i boleśniej, im sromotniejsza była rozrywka. Śród gminnej, rozhukanej majtków zgrai, jaśniał aniół błogięj jego przeszłości tem powabniejszą i czystszą światłością. Zalić się niemógł, bo stałby się przedmiotem najdotkliwszego szyderstwa. Wszy-  
stko to robiło go nieszczęśliwym bez grauc.

Okręt, do którego zacy ten młodzian należał, otrzymał wkrótce rozkaz popłynąć na morze. Przeznaczeniem jego było, pełnić służbę związkową między rozległemi osadami holenderskiemi przez lat piętnaście. Przykry obowiązek, bo musiał być wciąż w ruchu i kilkakroć ożęglować ziemię. — Majtek nasz rozstał się z brzegami Europy w stanie martwej rezygnacyi, a spoglądając w niebo, pomyślił w cichości serca: „tam, tam, nikt więcej dwu dusz dla siebie stworzonych nierozdzieli, tam tylko znajdę prawdziwe szczęście. Dla ziemi umarłem na wieki. Jedyłą myślą mą żywołą będzie Elza!“

W takowem życia usposobieniu przeżył Wipner trzy lata. Zwrócił na siebie uwagę przez to, iż niechciał nigdy na ląd wysiadać, choć tego dozwolono, i choć okręt stał w porcie jakim dość długo. Ciągłe był pilny, spokojny, trzeźwy i w sobie zamknięty. Obowiązek swój wypełniał z taką skrupulatnością, że zwierzchność okrętowa przenosiła go nad wszystkich innych majtków. On tylko nie o tém niewiedział. Jego serce, krom powinności, miało tylko jedno uczucie, t. j. żyć wyłącznie dla Elzy, myśleć o niej bez ustanku i cieszyć się nadzieją rychłego połączenia się z nią w innym, lepszym świecie.

Czwartego roku, na dniu 6. Marca, spoczywał okręt na kotwicy, a Wipner siedział we zwykłym sobie zadumaniu na pokładzie. Oczy jego zamknęły się mimowolnie, jak gdyby siłą zewnętrzną i nieśpiąc bynajmniej, ujrzał przed sobą kochankę. Powstał z zadziwienia i radości, chcąc podać ję rękę, lecz postać nagle znikła. — Usiadł napowrót i pewien tego, że widział ulubioną rzeczywiście, że złudzenie było niepodobieństwem, rzekł do siebie: „Elza umarła w tęg chwili, i przyszła mi dać znak, że odtąd należy do krain wiecznej miłości i naszego szczęścia.“

Nazajutrz ujrzał znowu kochankę, a nadto już z niezamrużonemi oczyma. Doświadcza wzroku różnym sposobem i przekonywa się po kilkakroć, że widzi na jawie. Przemawia do postaci. Ta daje mu odpowiedź ręki ski-

nieniem, lecz niewyrzeka ani słowa. Wipner powstaje, pragnąc zbliżyć się do drogiej nieboszczki, i w tej chwili widmo znika. — Przez kilka miesięcy oglądał później kochankę swą codziennie. Objawiała się przed nim co raz doskonalej i tak wyraźnie, że najzaciętszy nieprzyjaciel duchów musiałby ją brać za żywą, rzeczywistą osobę. Nieznikała nawet, gdy się podniósł, chcąc bliżej ku niej postąpić, lecz cofała się, zostając w zawsze jednakiem oddali. Po sześciu miesiącach takich odwiedzin, mówić wreszcie poczęła. Treścią jej rozmów, był opis błęgiego życia w niebiesiech i szczęścia kochanków na tamtym świecie. To działało tak na naszego majtka, iż postanowił złączyć się z Elzą i wydrzeć sobie nieznośne życie. Lecz postać odwiodła go od tego zamiaru, zapewniając go, iż krok taki byłby okropnym grzechem i stałby się powodem do rozdziału ich na wieki.

Postępowanie Wipnera zaczęło zwracać uwagę okrętowej załogi, iż officerowie lękali się o jego rozum. Kapitan okrętu mówił: „Być może, iż człowiek ten ma dumę zbyt wielką. Duma przywiodła już niejednego do obłąkania. Trzeba go zrobić sierżantem.“ Majtek nasz błagał, ażeby go pozostawiono przy dotychczasowej służbie, i rzekł: „Nieumiem być surowym. To ściągnęłoby na mnie i na innych wielkie nieszczęście. Teraz ufam rozsądkowi przełożonych, pełnię rozkazy ich wiernie i jestem pożyteczny.“ Kapitan chciał go później postawić na czele swój przybożnej służby; lecz on odrzekł: „Przez to straciłbym, Panie, Twe łaskawe względy, albowiem żyć muszę codziennie kilka godzin wyłącznie dla mych uczuć. Dzisiejsza ma powinność niestoi temu na zawadzie. Zmiana położenia byłaby serca mego nieszczęściem.“ — Kapitan ustąpił, lecz za to rozkazał tajemnie, pilnie mieć oko na Wipnera, chcąc zbadać osobliwość jego istoty. Po nijakim czasie doniesiono mu, że majtek ten jest drugim Swedenborgiem, że widzi nieboszczyków, cytuje duchy i rozmawia z nimi. Kapitan rozśmiał się i rzekł: „Trzeba dać pokój temu biedakowi. On dla nas stracony.“

Kochanka przepowiadała Wipnerowi każdą rzecz ważną, dotyczącą się nietylko jego osoby, lecz także losów okrętu. Tym sposobem stał się majtek ten kilkakroć ogólnym zbawcą, bo przestrzegał naprzód przed grożącym niebezpieczeństwem i podawał najstósowniejsze środki do jego oddalenia. Przywiedzimy tu tylko dwa przykłady. —

Jednego wieczora wymagał dziwak ten, ażeby mu pozwolono rozmówić się ze sternikiem. Przyszedszy do niego, rzekł: „Jutro wytrzymać musim okropną burzę. Jeżeli niebędziesz baczny na mą przestrogę i radę, wszyscy zginiemy.“ Sternik obraził się nieco tem upomnieniem i narzucaniem nieproszonej rady, lecz ciekawość powiodła go do następnej rozmowy: O której godzinie zacznie się burza? — O drugiej po południu. Z której strony nadejdzie? — Z południowej. — Jakaż mi przeciw niej dajesz radę? — Pomnij, iż nasamprzód powstanie fałszywy wiatr od zachodu. Jeżeli wiatr ten, i po nim następujący szturm gwałtowny Cię oszuka; jeżeli sądzić będziesz, iż burza bije od zachodu, biada nam! Tylko ku południowi sterując, potrafisz okręt ocalić. — Skądże wiesz to wszystko? — Rzecz to obojętna. Dość na tém, iż wiem niezawodnie, i przestrzegając Cię, dopełniam moralnego obowiązku. — Sternik uwiadomił o rozmowie téj Kapitana, który, lubo że w przepowiednie i wróżby niewierzył, rozkazał dla tem większego bezpieczeństwa mieć się na ostrożności, i gdyby burza podniosła się istotnie o drugiej godzinie, pójść za radą Wipnera, bo wtedy okaże się, iż słowa jego czczemi nie były. — Jak przepowiedziano, tak stało się co do joty, a kapitan, po wytrzymanej szczęśliwie burzy, zwoławszy ludność okrętową, oświadczył jéj, że Wipnerowi jedynie winna swe ocalenie.

Pewnego dnia potem rzekł Wipner do swego sierżanta: „Idź do Kapitana i uwiadom go, iż jutro będziemy mieli niebezpieczną napaść i bitwę. Trzy wojenne okręty zagrożą statkowi naszemu i tylko sposobem następnym możemy się ocalić. Niech Kapitan rozkaże zbrojnej sile naszej skryć się dobrze we wnętrzościach okrętu, zostawiając na po-



kładzie niewiasty, dzieci, starców i chorych. Nieprzyjaciel sądząc, żeśmy bezsilni, wyprawi przeciw nam tylko jeden swój okręt. Ten zahaczy nas i uwięzi to, co znajdzie na pokładzie; rzuci bron i zacznie okręt nasz plądrować. Wtedy niech Kapitan z ludem swym wypadnie i uderzy śmiało. W dwu minutach wróg będzie w kajdanach. Ujrzawszy to dwa nieprzyjacielskie okręty, zdumieją się, lecz niezadługo rzucą się przeciw nam z całą zapalczywością. Natenczas wypalmy z dział do jednego z nich, mówię, tylko do jednego, a celujmy dobrze. Zrobimy go wnet niezdolnym do boju. Trzeci okręt, przerażony nowem niespodziewaniem nieszczęściem, ucieknie, zostawiwszy nam łupem dobrze we wszystko opatrzone dwa statki.“ — Nazajutrz około godziny dziesiątej zrana, ujrano istotnie trzy portugalskie statki korsarskie. Kapitan wydał rozkazy, i stało się jak Wipner przepowiedział. Po otrzymanem zwycięztwie, zrobiono naszego majtka Opiekunem okrętu, wolnym od wszelkiej służby, i mającym li za obowiązek, przestrzegać przed widzialnem naprzód niebezpieczeństwem. Teraz mógł Wipner żyć bez przeszkody dla swój Elzy. Ta dopomagała mu też wiernie. On zaś, czyniąc co chwila nowe dla okrętu dobrodziejstwa, czczony był na nim jak Święty.

Po piętnastu latach okręt nasz zawitał na holenderskim brzegu. Wipner wziął dymisją i wrócił do miejsca swego urodzenia. Został ojca i matkę przy życiu. Ci sądząc oddawna, że syn ich zginął, zaledwie oczom swym wierzyli. Śród powitania zawołała matka: O, jakąż radość mieć będzie Elza, dowiedziawszy się o twem przybyciu! Syn spojrział na matkę z podziwieniem i odrzekł: „Elza?! Ta umarła 6. Marca przed lat dwunastu.“ Matka: Nie, Elza żyje, kocha cię, jak dawniej i wedle uczyzionej Ci przysięgi, niechciała nigdy oddać swój ręki komu innemu, choć ją jako piękną i posażną pannę, do tego niemal gwałtem nagłono. Syn: To niepodobna! Ja ją widuję oddawna i codzień, jako nieboszczkę. Ojciec: Marzyłeś, luby synu, i nic więcéj! Kochanka twa żyje istotnie, i jeśli

nam niewierzysz, przekonasz się o tém sam wkrótce. — Wipner zdumiał i niewiedział, co się z nim dzieje. Niezadługo ujrzał Elzę, lecz — inną zupełnie, bo otylszą i o piętnaście lat starszą. To go zasmuciło. Mówił do rodziców: „Niewiem, co mam począć. Nadobna i młodziechna postać Elzy, którą widywałem codziennie: przewyższa naturalną Elzę pod każdym względem. Jeżeli poślubię naturalną, lękam się bardzo, czy potrafię ją tak kochać, i szanować, jak tego wymaga niezwyčajna jój cnota. Bóg wystawił mię na ciężką próbę i on tylko wie, jak się rzecz ta skończy.“

Wieczorem siedział Wipner zadumany w swój izdebce i ujrzał znaną dobrze postać duchowej swój kochanki. Pał bardziej, niż kiedykolwiek dawniej, wzrok nadziejską jój pięknoscia i postanowił wiernym jój być na wieki. Mara więc rzekła: „Odgaduję myśl twą i ganić ją muszę. Dotrzymaj danego słowa i ożeń się z rzeczywistą Elzą. Ona jest równie jak ja ciebie godna. Ja będę wam obojgu aniołem stróżem, jak dotąd nim byłam.“ Postać znikła, a Wipner postąpił wedle jój rady. — Mniemana nieboszczka prorokini objawiała się wciąż jeszcze Wipnerowi, szczególnie w chwilach życia ważniejszych, i historia ta stała się głośną w całej okolicy.

Po trzech latach przyszedł do domu szczęśliwych małżonków, jakiś obcy człowiek i nieznany, z wysokiem, jak się zdawało, wykształceniem. Ten wysłuchawszy cierpliwie całej niniejszej powieści, rzekł w końcu: „Elza, która Ci się objawiała i dotąd objawia, jest własnem twem życiem wewnętrznem, istotą twą niewidzialną, nadziejską i boską. Jazn twa ubrała się w twem sercu w postać kochanki, i wyszedłszy z Ciebie, stanęła przed Tobą. Wyszła z Ciebie, dla tego, żeś rozdwoił się sam z sobą, to jest: że byłeś li człowiekiem zewnętrznym na okęcie, a człowiekiem wewnętrznym, czyli rzeczywistym przy twój ulubionój. Ona jest świętym piersi twój rdzeniem w szacie pierwiastkowej miłości; jest tchnieniem Bożem, żyjącem w Tobie, lecz uprzedmiotowiającem się przed Tobą, abys je bliżej

poznał. Oko twe niecielesne roztworzyła nadziejska, czy-  
sta miłość i ujrzałeś własne sumienie w kształcie błogo-  
sławionych. Bądź wieray téj Niebiance i słuchaj zawsze  
jój głosu, bo w niej, czego żaden filozof niepotrafił zdoła-  
łeś odrodzić się lepszym, prawdziwym żywotem, i znałeś  
samego siebie w czystości takiój, jaką odznaczałeś się przed  
urodzeniem i tronem Boga. Rady postaci tej są święte,  
oddała tak od Ciebie, jak rzeczywistój Elzy wszelkie nie-  
szczęście, a na tamym świecie przygotowują wam rozkosze  
zbawienia.“ — Wipner rzekł na to: „Co mówisz, Panie,  
zdaje się być niepodobieństwem, gdyż istota, jaźn moja,  
choćby i w postaci niebiańskiej Elzy przedemną stawająca,  
niemogłaby mi przepowiedzieć przyszłości, gdy niejestem  
prorokiem.“ — Odpowiedział mąż obcy na to: „Czyliż  
istota, jaźn twa niejest w gruncie samym boską, a wystę-  
pując, jako bóstwo w swój czystości, niezdola nabrać na-  
tury proroczej? Kto uczuł się po bosku sam sobą i uwie-  
rzył głęboko w nieśmiertelność, widzi przyszłość równie  
wyraźnie, jak przeszłość i terażniejszość. Bóstwo niejest  
przykute do płynącej kropli czasu, lecz przegłąda całą wie-  
czność. Byłeś i jesteś prorokiem, lecz brakło Ci przeświad-  
czenia w twem wnętrzu. Przeświadczenie to wyszło więc  
z Ciebie na zewnątrz i w twem miejscu prorokuje cudo-  
wna Elza. Całe to zdarzenie jest naturą, lecz lepiej niż  
zwykle pojętą. Ty ją pojmiesz, bo w niej już żyjesz.“

Wipner rozmyślając te słowa, ciekawy był, kto jest  
ów mąż obcy. Udał się do gospody, w której gość noco-  
wał, i znalazł w liczbie przejeżdżających imię: Mohrland,  
nagórnik z Niemiec.

## 2. Sobowtór.

Sobowtórem zowie się po polsku to, co po niemiecku Doppelgänger, t. j. druga osoba nasza własna za nami, lub obok nas chodząca, my sami we wtórem sobie, czyli Dwa-razy jeden. Mieć sobowtóra, t. j. widzieć samego siebie za sobą, jakby we zwierciadle, choć bez zwierciadła, znaczyło od wieków przepowiednią zbliżającą się śmierci, lub inne jakie wielkie nieszczęście.

Von Haerdteck, kapitan 6. pułku piechoty w jednym królestwie niemieckim, dożył osobliwego zjawiska które opowiedzieć jest właśnie naszym zamiarem. Rodzice oddali go małym chłopcem do szkoły Kadetów, niezważając bynajmniej na to, iż żadnej ochoty nieokazywał do wojskowego stanu. Uczył się pilnie, bo woła ojcowska była mu święta. Wszedłszy do pólku, wypełniał obowiązki swe z całą sumiennością. To, tudzież wpływ możnych rodziców, było powodem, iż go wcześniej posuwano ze stopnia na stopień. Jako kapitan dojrzał nareszcie wiekiem zupełnie, i zostawszy mężem, poczuł swą samodzielność. Teraz przekonał się, że do stanu wojskowego niema najmniejszego powołania. I nie żart to dla tego, co chciałby być sam sobie celem i tworzyć dla siebie świat udzielny, zostać li jednym ogniwem w wielkiej wojskowej machinie. Święty stan żołnierza wśród wojny, lecz pod czas pokoju!.. Kapitan dręczył się szczególnie następną myślą: „Trudna, niemal niepodobna jest, mówić, zjednoczenie właściwego człowieka z żołnierzem. Człowiek właściwy goni za istotą rzeczy, żołnierz zaś gubi istotę, i musi widzieć w częściej formie świętość. Człowiek właściwy uznaje nieraz oczywistą niesłuszność i serce mu pęka z litości lub oburzenia; lecz jako żołnierz powinien, skoro mu rozkazano, niesłuszności téj dokonać, gdyż rozkaz jest dla niego najwyższą słusnością, a posłuszeństwo najpierwszym obowiązkiem. Człowiek pragnie walczyć za ludzkość, wolność

i prawo, a żołnierzowi rozkazują zbyt często nabijać karabin, przeciw ich obrońcom. O, jakże chętnie dla właściwego człowieka we mnie rozstałbym się z żołnierzem! Ale, cóż będę robił? Oprócz żołnierki, niczego mię nienauczono, a więc niejestem do żadnego innego stanu usposobion.“ — Kapitan nasz czuł się bardzo nieszczęśliwym. Przyjaciel jego pólkownik radził mu wejść w związek małżeński, utrzymując, iż kobieta, której się mundur officerski zazwyczaj podoba, wybije mu te skrupuły z głowy. Jakoż kapitan posłuchał rady, znalazł odpowiednią sobie pannę i podał prośbę do Króla o pozwolenie zaślubin.

Kapitan, jak gorliwym był w służbie swój żołnierzem, tak troskliwie pielęgnował w sobie właściwego człowieka. To rozdzierało go we dwa sprzeczne kierunki, których pogodzie nieumiał. Walka wewnętrzna srożyła się w jego piersi codzien nieznośniej. Od pewnego czasu czuć wreszcie zaczął jakieś konwulsyjne drgania w swem ciele i w głowie. „Co to ma znaczyć? mówił. Czyli me szperania szkodzą zdrowiu, lub zagrażają rozumowi obłąkaniem?“ Uważał bacznie na stan zdrowia i głowy, lecz znalazł go za każdym razem normalnym. Atoli owe konwulsyjne drgania ustąpić niechciały.

Jednego razu, siedząc zmrokiem w kwaterze, uczuł konwulsyjne poruszenia, jednakże, — rzecz osobliwa, — nie w sobie samym, jak dawniej, lecz za sobą, a to po prawej stronie swój osoby. Co raz to bardziej czuje, że się tuż obok niego porusza, jakby człowiek jaki, płaszczem niewidzialności ukryty. Wstaje; z nim wstaje także druga osoba. Zwraca się ku niéj; ona również się zwraca, trzymając się wciąż przy prawem jego ramieniu. Kapitan staje nieporuszony, przekręca twarz w prawą stronę i patrząc ukosem, ogląda — samego siebie w jak najwierniejszym duplecie. Druga ta własna osoba była tylko nie w mundurze, lecz we fraku. Przerażony, opuszcza mieszkanie, lecz przeklęty sobowtór towarzyszy mu ciągle. Dopiero po długiej godzinie opuścił go sam dobrowolnie.

Nazajutrz, również zmrokiem, ukazał się znowu sobowtór i prześladował kapitana. Toż samo stało się po wszystkich dni następne. Gość ten ukazywał się coraz śmielszym, bo objawiał się codziennie widoczniej, a chodząc, pukał wyraźnie bótami. Haerdteck odtąd był bladym i chorowitym. Powierzyć utrapienia swego nikomu nieśmiał, wiedząc dobrze, iżby przez to wystawił się tylko na żarty i szyderstwo. Wtem przychodzi pozwolenie królewskie na zaślubiny. Jako człowiek rzetelny i sumienny, uważał za obowiązek odkryć stan swój przed ojcem oblubienicy. Od niego, jak przewidywał, otrzymał wkrótce list z odinową, albowiem panna, dowiedziawszy się o sobowtórze przyszłego małżonka, przerażała się okropnie i uspokoić jej zabobonnej trwogi niepodobna było.

Ponieważ równie kapitan, jak jego oblubienica, pochodzili ze znakomitego rodu i byli ludźmi bogatymi, więc w całym mieście mówiono od dawna o ich małżeństwie. Wieść o zerwaniu tego związku, zrobiła zatem nadzwyczajne wrażenie. Officerowie obrazili się na ojca panny w mniemaniu, że on, napisawszy list ów odmowny, był tak haniebnego obrotu rzeczy przyczyną, i wyzwali go na pojedynek. Kapitan, broniąc ojca swjej kochanki, brał całą winę na siebie. Officerowie napierali na niego, aby odstąpił im powód właściwy, niechcąc inaczej mu wierzyć. Przyrzekł im przeto odkryć tajemnicę półkownikowi; co też i uczynił. Ten radził mu udać się do lekarzy, a na jego prośbę zaczął się leczyć z tej nieznosnej choroby duszy.

Kapitan, idąc za przepisem lekarzy, wziął urlop, przedłużył go później kilkakroć, odwiedzał różne zimne i gorące kąpiele, odprawiał podróże, bywał w wesołych towarzystwach, lecz choć rok przeszło upłynął, nic to niepomogło. Jego zdrowie coraz bardziej się pogorszało. Półkownik, lękając się, ażeby sobowtór, zgodnie z wiarą pospółstwa, niestał się rzeczywiście zabójcą jego przyjaciela, i przypomniawszy sobie dawną przypadkową znajomość pewnego filozofa, do którego powziął pod względem rzeczy przechodzących ludzki rozum wysokie zaufanie, a który był

nadgórnikiem i zwał się Mohrlandem, napisał list do niego, z prośbą o pomoc. — Wkrótce otrzymał następną odpowiedź:

„Stan przyjaciela Pańskiego jest nadzwyczajny, dla tego też poradzić mu zwyczajni lekarze niemogą. Przyczyną stanu tego była zbytńia sumienność kapitana, przywodząca go do fałszywego przekonania, iż niepodobna zjednoczyć istotę lepszego człowieka z żołnierzem. Walka wewnętrzna ztąd wynikająca, rozdarła jego jaźń na dwie przeciwne sobie jaźni, t. j. na właściwego człowieka i żołnierza. Dwie te jaźni nosił on naprzód w samym sobie i widział między nimi różnicę w myśli, oraz uczuciu; później, gdy się skłonił do pozostania żołnierzem, jedna w nim pozostała, a druga z niego wystąpiła, przybrawszy widoczną postać. Jego żywot wewnętrzny był tak potężny, iż uzmysłowił i urzeczywiścił jedną stronę duchowej swjéj walki. Cierpienie wewnętrzne przeistoczyło się w cierpienie zewnętrzne, nie tracąc w niezem swjéj właściwości i natury. Dwie te, dziś obce sobie istoty, gonią za swem zjednoczeniem, lecz twórca ich, t. j. kapitan, niedozwala im tego. Pozdrów Pan przyjaciela swego odemnie, i racz mu oświadczyć, co następuje: Niech się stara ze swym towarzyszem nieproszonym i nieznośnym zabrać bliższą znajomość, tudzież wejść z nim w jak najpoufalszy stosunek, gdyż towarzysz ten jest człowiekiem właściwym, dawnym ulubieńcem jego duszy, który dziś rozstał się z żołnierzem, lecz opuścić go niechce; niech przestanie go nienawidzić, a zacznie kochać, jak samego siebie, słowem, niech zjednoczy się z nim zupełnie, a zniknie choroba. Skoro sobowtór powróci w jego ciało, stanie się on dopiero istotnie doskonałym człowiekiem, albowiem będzie to znakiem, iż przeświadczył się nareszcie, że człowieczeństwo właściwe nieodpycha od siebie żadnego stanu i nie jest przywiązane do sukni, lecz że wszędzie tam się znajduje, gdzie żywot wewnętrzny, umie się uwolnić od zewnętrznego świata, albo raczjéj nadać światu temu prawa myślenia, działania i przekonania swego; że formy pozostają li jako

formy święte, człowiek zaś nawet w nich działać może swobodnie, jeżeli nie został martwym automatem. Trzeba, ażeby kapitan przeniósł właściwego człowieka w żołnierza, i jako człowieka właściwy kierował myślą, mową i ręką żołnierską, a będzie zdrów. Skoro przyjaciel Pański zastanowi się nad treścią listu tego, sam przyzna mi słuszność. Rada moja skutkować niebędzie li wtedy, gdy niepójdzie za nią również sumiennie, jak szedł za własnymi myślami, które sprawiły rozbrat w jego istocie. Taż sama siła, co wywołała sobowtóra, potrafi go i oddalić, ale odwrócić ją potrzeba. Dawniej była w kapitanie nienawiść żołnierza, a miłość właściwego człowieka; teraz okazała się w nim nienawiść ku właściwemu człowiekowi, który stał się sobowtorem. Należy więc ukochać żołnierza, jak niegdyś właściwego człowieka, i pogodzić się z lubym sobowtorem, czyli przyjść z samym sobą do całkowitej zgody i jaźniowej równowagi.“

Kapitan przeczytał list Mohrlanda z uwagą i uznawszy słuszność uczynionego sobie zarzutu, uczył się już wewnętrznie zdrowszym. Odtąd, gdy sobowtór stanął przed nim, nielekął się go wcale, lecz i owszem, kochał go, jako lepszą swą istotę, która rozbudziła w nim żywot wewnętrzny. Spostrzegłszy sobowtór taką przyjaźń, opuścił bok jego prawy i stanął przed nim, patrząc mu oko w oko. Później, — rzecz znowu osobliwa, — kapitan czuł, myślił i mówił, nie w samym sobie, lecz we swym sobowtórze. Wreszcie czuł, myślił i mówił raz w sobie, drugi raz w nim, wedle upodobania. W końcu końców, gdy chciał, sobowtór pokazał się mu natychmiast, i na jego skinienie wstępował na powrót w jego ciało. Słowem, dwie istoty stały się jedną istotą, a on był mistrzem równie jedni, jak różni własnej.

Doświadczając rzeczy takich, rzekł kapitan do siebie: „Roztworzyło się oko me niecielesne i widzę cuda, których niedojrzy żaden mędrzec; widzę żywot wewnętrzny, świat boski, wieczny, istotny. Człowiek jest w jądrze swem nadziemskiej natury i przekona się o tém, rozbudziwszy



w sobie, jak ja, życie nadziemskie. Inaczéj będzie trupem, choćby posiadał najwyborniejsze teorye światowéj nauki. Jestem na drodze rzeczywistego poznania i wędruję do świątyni prawdy. Stąd też za najpierwszy obowiązek uważam podziękować za pośrednictwo pułkownikowi i rzucić się w ramiona jego przyjaciela, który mię wyleczył, prosząc go zarazem, aby chciał zrobić mię swym uczniem.“ — Co przedsięwziął, to i wykonał. Po krótkim czasie nowéj nauki widział na żywe oczy Boga, aniołów i inne istoty niebiańskie, a to tak doskonale, jak niegdys sobowtóra, czytał w przyszłości i znał przyszłość tak dalece, że umiał tam mówić, gdzie milczeć musi filozofia i historia. —

### 3. Opętana.

Karolina Rupprecht, jedyna córka wysokiego urzędnika i dość majątnego człowieka, wychowaną była od matki swéj nader bogobojnie. Marzyła wciąż o królestwie niebieskim, o słodkiem Imieniu Jezus, o Matce najświętszój itp.; modliła się od ranka do nocy; a źli ludzie mówili: „Jaka matula, taka i córula; obie są zagorzałemi dewotkami.“ Ojcu niepodobala się w końcu ta bigoterya. Chcąc przynajmniej córkę od niéj uwolnić, postarał się o posadę w stołecznem mieście, zaczął dawać bale i wprowadził dziewczynę na salony wyższego świata. Karolina miała naówczas lat piętnaście. Była piękna, jak anioł, wykształcona, jak jedna z Muz greckich, grała na pantalionie i śpiewała tak, że nikt z nią mierzyć się nieśmiał, a gdy tańczyć zaczęła, zdawało się wszystkim, iż widzą przed sobą boginią wdzięków. Że będzie jedyną dziedziczką bogatego ojca, i że ojciec ten, jako urzędnik wysoki,



zięcia swego wnet na dostojny stopień wyniesie, wiedziano o tém powszechnie. Cóż więc dziwnego, że przy takich okolicznościach wystąpienie Karoliny w salonach było świętne. Rzekł ktoś: Niebianka, huryska z rajy Machometa, ukazała się między ziemiankami i zajaśniała wśród nich, jako słońce. Zdanie to powtarzano po całym mieście. Młodziż mężka sypała jej krocie pochlebstw, wyprawiała serenady pod jej oknem, wieńczyła łożę jej teatralną różami i fiołkami. Dwuch lub trzech paniczów spojrzawszy na nią, dostało obłąkania, a co kilka tygodni odbył się na jej cześć pojedynek. Malarz błagał ojca, aby pozwolił mu oblicze córki przenieść na płótno, na którym wywoływał do bytu madonnę, i wnet widziano twarz powszechnie znaną w kościele w wielkim oltarzu. Karolina była niewinna; lecz hołdy tego rodzaju podobają się każdej niewieście. Została przeto płochą, prózną, za tryumfami goniącą. Z bogobojnej dewotki zrobiła się światową wietrznicą, i dla uciech ziemi zapomniała nieba.

Matka, która od ostatniego nieszczęśliwego pologu odzyskać zdrowia niemogła, a później utratą dwojga starszych dzieci w jednym tygodniu sparaliżowaną była również na duszy, jak na ciele, i widocznie coraz bardziej zapadała na zdrowiu patrząc na Karolinę, służącą tak pilnie mamonie, martwiła się w głębi serca. Łajała córkę za to, że częściej bywa na balu, niż w kościele; że idzie wystrojona przed oltarze Boga, jak gdyby szła do teatru; — że tak postępując, utraci wieczne zbawienie. Ojciec bronił zawsze swęj ukochanej jedynaczki, odzywając się do matki, iż wymyśla dziwactwa; — że zapomniała o tem, czem sama była w młodości; iż jako chora, lepijby zrobiła, myśląc o własnem zdrowiu, nie zaś kłopotąc się wcale niepotrzebnie; iż widzi wszystko w kolorach do dzisiejszego cierpiącego jej stanu podobnych. Między ojcem a matką zachodziły co chwila najnieprzyjemniejsze sceny. Karolina trzymała, jak naturalna, z ojcem, a matka chorowita trując się własną żółcią, zbliżała się szybko do przedwczesnego grobu. Że niknie na siłach

i więdnije widocznie, nikt tego niespostrzegął, bo córka zajała się zbyt światem, a ojciec córką.

Nieszczęśliwy stósunek domowy, który opisaliśmy właśnie, zbliżał się szybko do końca, i brakło li ostatecznego ciosu dla matki; jakoż nadszedł. Syn prezydenta stolicy pokochał się w Karolinie, i porzucił dla niéj dawniejszą swą oblubienicę. Już ogłoszono w kościele jego zapowiedzi; już gotował się iść przed ołtarz ślubny; w tem — ujrzał Karolinę i porzucił swą narzeczoną. Wypadek ten pochlebiał próżnéj Karolinie i lekkomyślnemu jéj ojcu. Był to dla nich tryumf nad tryumfami. Ale matka, dowiedziawszy się o tem, zemdlła. Syn prezydenta zaczął uczyćszczać do domu Rupprechtów i potrafił wnet wzniecić w sercu Karoliny miłość istotną. Była to miłość jéj najpierwsza. Matka nieprzypuściła go nigdy do siebie, a zawoławszy córkę, tak do niéj mówiła: „Karusiu, rzucasz się bezmyślnie w przepaść własnego nieszczęścia i utracasz wieczne zbawienie. Syn prezydenta jest młokosem, bez charakteru i niegodzien wiary, bo nieporzuciłby tak snadno swéj dawniejszój kochanki. Lekce więc ważyć będzie i te przysięgi, które tobie uczyni. Opuści cię, jak tamtę opuścił, skoro znowu ujrzy świeżą urodę. Ja ci to przepowiadam. On wietrznik, motyl. A choćby i dotrzymał słowa, nieuszcześliwi cię, bo rządzi nim nie religia, lecz zmysłowa namiętność. Wreszcie, czy chcesz być przedmiotem nienawiści dla innéj kobiety? Rozpacz téj nieszczęśliwój ofiary wgrzyzie się, jak robak, w twe sumienie, a łzy jéj spłyną w kielich goryczy dla twojego serca i niedozwolą ci zasnąć. Proszę cię, błagam i zaklinam, zerwij ten stosunek, a jeżeli niechcesz dobrowolnie, — rozkazuję ci, jako matka!<sup>4</sup> —

Karolina przyrzekła na pozór posłuszeństwo, wiedząc dobrze, iż ojciec inaczéj rozporządzi i że wszystko pójdzie wedle jéj myśli. Jakoż tak się stało. Syn prezydenta bywał w domu, kryjąc się przed matką. Wesele nastąpić miało po śmierci matki, którój spodziewano się w rychle. — Matka pomiarkowawszy, co się święci, zaprosiła ojca

i córkę do siebie. Patrząc na nich oczyma zapłakanemi, rzekła głosem uroczystym: „Oszukujecie mnie po pogańsku i pragniecie zgoła najspieszniejszej méj śmierci. O, czuję, czuję jak najboleśniej, co to jest niebyć kochaną od męża i własnej córki! Czuję, iż wam jestem nieznośnym ciężarem! Dobrze! Bóg modłów mych wysłuchał. Za trzy dni już mię tu niebędzie. Odprawcie wesele na moich marach. Lecz nie, on wietrznik, on cię wnet opuści! Za cierpienia, które mi sprawiliście, czeka was ciężka kara. Ja wam przebaczam, i prosić będę Boga, ażeby mieć raczył w sprawiedliwości swój miłosierdzie. Bądźcie zdrowi i życie długo, a jeśli podobna, szczęśliwi!\* — Ledwie, że wymówiła te słowa, paraliż ją ruszył. Paraliż uderzał po paraliżu, i po trzech dniach zamknęła oczy na wieki.

Śmierć matki karzącym była piorunem dla ojca i córki. Karolina rwała włosy, leżała krzyżem, tarzała się w prochu. Dawna bigoterya odżyła w niej całkowicie. Jęczała, wydając od czasu do czasu kilka słów pełnych boleści. Przywzrosty tu niektóre słowa, wyrzeczone od niej w pierwszym tygodniu: „Jam matkę zamordowałam! — Nie, nie ja, ale przeklęta światowość, którą ukochałam! — Żyłam bogobojnie, o, jakżem była na ów czas szczęśliwa! Pokochałam świat, i oto matka w grobie! — Co matka we mnie zaszczerpiła przez lat piętnaście, świat zniweczył przez lat trzy. — Ale i świat dał mi coś, dał mi kochanka, dał mi kanar swój trucizny! — Byłam niewinnym aniołem, świat przemienił mię w powabnego szatana. — Byłam aniołem, byłam szatanem, a czem dziś jestem? Drugą Magdaleną pokutnicą! — O, religio, świecie, wy bożyszczce mego serca! Pierwszą chcę kochać, drugi — także kochać! Lecz czy to podobna? — Czy podobna, czy niepodobna, chcę was kochać, jedną i drugi, oboje razem. — Chcę, chcę! Kto chce! Ja. Co za ja? Magdalena pokutująca. Nie, ale gorsza od niej grzesznica. I to nie! Jam prochem, niczem! Spełniła się przepowiednia matki méj pierwsza. Umarła za trzy dni, jak wyrzekła.“ — Ojciec Karoliny, lubo sam cierpiał tem boleśniej, że sumienie czyniło mu wyrzuty,

zatrwożył się córki swój stanem. Lękał się, ażeby nie wpadła w obłąkanie. Słowa jej zdawały się świadczyć, iż rozum jej jest w niebezpieczeństwie. Rozrywał więc ją i pocieszał, jak zdołał. — Wtem syn prezydenta, ujrawszy nadobną panienkę innego toku i kraju, porzuca Karolinę: Ta rzekła na to: „Spełniła się przepowiednia matki mój druga!“ Odtąd milczała, jak grobowy kamień. Nikt niepotrafił wydobyć z niej słowa, lecz każdy widział na jej licach całe piekło rozpacz i boleści, miotające jej sercem. Mieszkanie Rupprechta stało się siedzibą płaczu i zgrzytania zębów. Wszyscy je też opuścili. Głuche milczenie zajęło je, a na złotogłowiach rozkoszy rozpostarła się wygodnie martwica nieszczęścia.

Rok upłynął. W dniu śmierci matki Karolina mówiła poczęła. Ale nieucieszył się tem ojciec, gdyż słowa pierwsze, które wyrzekła, te były: „Sama niewiem, co się ze mną dzieje. Nieraz ani ręką, ani nogą ruszyć niemogę, jak gdyby mię kto skrępował; nieraz znowu czuję się lekką, jak wieiórka, i mogłabym przeskakiwać z drzewa na drzewo. Czasami porywa mię ochota biegać po dachach, tuc talerze i garnki, pruć suknie innym i robić psoty najzłośliwsze. Zbyt często faluje coś w mych piersiach i wnętrznościach, jakby morze śród burzy, i czuję uderzające bałwany o me boki. Uszy me roztwarły się aż do dna duszy, i słyszę, co mówią ludzie aż na końcu miasta. Zmrokiem i w nocy trapią mię nieznośne widziadła. Do około mnie grzmi skoczna muzyka galopadę lub walca; huczą basette, trąby, a nawet kotły; tłumy radośnie skaczą. Zgiełk ten rozdziera mi duszę, leje mi, iż tak rzekę, w uszy wrzącą smołę piekielną. Ledwie że ustał, porywa mię zimna febra, a po niej następuje ciężka gorączka, pełna malignowidziadeł.“ — Ojciec wezwał lekarza, który był szkolnym jego przyjacielem i miał wielki udział w jego nieszczęściu. Ten oświadczył, iż Karolina wpadła w stan somnambuliczny. Czynił, co mógł, lecz bezskutecznie.

Po trzech miesiącach zmienił się stan Karoliny. Huczny i dziki bal, który dotąd prześladował jej uszy, od-

stonił się jęć oczom. Tańcerze podobni byli do zbójców z długimi i przeraźliwie czarnymi brodami, a tancerki do najszeteczniejszych publicznych dogodnic. Każda para, walcząc około Karoliny, groziła w najsprośniejszych wyrazach, przykładając pięść w kulak ściśniętą do jęć czoła. Można więc sobie wystawić trwoęę, jakięć chora nasza doznawała. —

Sześć tygodni minęło, i nowa nastąpiła scena. Dnia 4. Kwietnia siedziała Karolina w swym pokoju, jak zwy czajnie. Zmrok zapadł. Łomot straszliwy powstaje. Okna drzą, ściany się trzęsą. kanapa, stół, krzesła zaczynają skakać, a zamiast muzyki poświstuje dziko wiatr gwałtowny w kominie. Karolinę przeszły mrowia. Wnet wszystko ucicha, i zamiast szatańskiego balu, staje przed nią półolbrzym piekielnęć postaci. Twarz jego czarna i spiekła, jak u murzyna; oczy błyszczą, jak zarżące węgle; palce uzbrojone orlemi szponami i kózle rogi na głowie. Słowem był to czart rzeczywisty. Karolina krzykła, lecz tylko w duchu, bo usta jęć zamarzy zimną zgrożą. Sądziła, iż ostatnia wybiła dla nięć godzina. Bezecny potwór zagrzmiął grubym, a podziemnym tonem: „Czego mięć trapisz dzień i noc? Zostaw Umarłych w pokoju a żyj z Żywemi!“ Postać znikła, zostawiwszy za sobą tuman dymu i zapach smoły. —

Odtąd czarny potwór odwiedzał Karolinę codzięć i dręczył ją rozlicznym sposobem. Co chwila brał ją na nowe tortury i zdawał się pod tym względem być równie przemyślным, jak hiszpańskie Autodafé. Chora nasza odkryła wreszcie przeciw niemu talizman, t. j. ośmieliła się zadzwonić i wołać świecy. Ledwie to się stało, duch zły ustępował, zgrzytając zębami. Kilkakroć odpędzała go od siebie światłem. Postanowił więc zemstę. Pewnego razu stanął przed nią wcześniej niż zwykle i nadzwyczaj nagle, schwycił ją za obiedwie ręce i zawrzasnął: „Milez, lub zginiesz natychmiast! Od dziś dnia musisz mi pożyczyc ust, rąk, nóg i wszystkich członków twoich. O, będę niemi śliczne wyrabiał rzeczy iucieszne robił harce!“ Rzekłszy

to, przyłożył usta swe do ust Karoliny i przez nie wśliznął się w jej ciało. Chora uczuła od mózgu aż do stóp, iż obca wstąpiła w nią istota. Dzwoni, lecz ciągnie tak mocno, że pękły sznury i dróty, a dzwonek tak załaskotał, iż ojciec sam wpadł ze świecą. Ojciec: Co ci jest, córko? Karolina: Zły duch, co mię dotąd odwiedzał, wstąpił w me ciało. Jestem Opętana! Ojciec: Ach pleciesz mi trzy po trzy! Złych duchów i opętaniców niema. Są to brednie, urojenia.“ Zły duch głosem grubym a podziemnym odezwał się na to przez usta Karoliny: Milcz, nędzniku! Mniemana twa mądrość jest największą głupotą. Ty we mnie niewierzysz, choć jesteś sam wołem w ręku jednego z mych parobków. Ojciec: Córko, ty bluźnisz! Upamiętaj się, niegrzesz, niestrój sobie zemnie żartów! Zły duch: Grzeszyć, bluźnić przeciw tobie? Stroić z ciebie żarty? To byłoby ujmą honoru dla takiego, jak ja, szatana! O, tyś niezartował z lubą twą córeczką; tyś mnie zastępował godnie, prowadząc ją pod boki na bale! Właśnie, właśnie dla tego zamordowała matkę i dostała się dziś w me szpony. Piekło, piekło czeka Waszeci!“ Rupprecht osłupiał i rzekł po chwili: Jeżeli to ty jesteś, Karolino, co tak odzywasz się do ojca, lękaj się ręki Boga; jeżeli zaś obca jakaś moc włada twym językiem, spotkał mię i ciebie los okropny. Karolina głosem naturalnym: „Pełnić się zaczyna przepowiednia matki mój trzecia!“ — Sprosny duch przez całą godzinę miotał najdotkliwsze bluźnierstwa przeciw ojcu, a nawet przeciw saméjże Karolinie. Ustał nareszcie, a chora porwało takie omdlenie, że trzeba było zanieść ją do łóżka i czuwać nad nią noc całą. Podobne sceny odnawiały się później ustawicznie. Rupprecht musiał dla córki przyjąć osobę, któraby jej pilnowała nieodstępnie. Wiosna nadeszła. Biedny ojciec, idąc za radą lekarza, jeździł z córką od wód do wód mineralnych i morskich. Wszystko na-daremnie. —

Dnia 6. Sierpnia, t. j. nazajutrz po powrocie Rupprechta i jego córki do domu, nastąpiła znowu ważna odmiana.

Karolina była z towarzyszką swą nieodstąpną w ogrodzie. Stała nagle wołając: „Słuchaj, o droga, co się ze mną dzieje! Widzę wyraźnie gwiazdy na niebie, choć mamy dzień biały i słońce świeci tak jaskrawo.“ Towarzyszka sądząc, że to być może nową oznaką zwyczajnego choroby napadu, nakłoniła ją do powrotu do mieszkania. Chora, wszedłszy do swego pokoju, mówiła z westchnieniem: „Widzę wciąż gwiazdy na niebie, zgoła przez ten sufit i dwa piętra na nim wzniesione. O, Boże, co to znaczy! Ach, zbyt ciężko karzesz mię za to, że nie szła za radami matki i nie chciała ję być posłuszną!“ Wtem krzyknął duch zły przez ję usta: „Milcz, albo zaraz zacznę tak kołatać w twem ciele, jak niegdyś kołatałem w twym pokoju! Gwiazdy, które widzisz, są błędnymi ognikami mózgu. Nie wierz im, albo drż ję przed mą zemstą!“ Odtąd lękała się Karolina własnych myśli, bo choć ich jeszcze niewyrzekła, zły duch łajał przecięż i burczał. Gwiazdy widziała codziennie, i zdawało się ję, że spuszcza ją się z wolna, przystępując do nię coraz bliżej. Patrząc na nie, nabierała śmiałości i potrafiła stawić czoło gniewającemu się za to złemu duchowi. Pewnego razu stanęły gwiazdy tuż nad ję głową i zły się po małej chwili w jedną wielką gwiazdę, podobną do księżyca. Gwiazda ta przybiera czoło, oczy, nos, słowem, przeistacza się w twarz nader zachwycającą. Zdawało się, że nadzieja sływa z niebios. Karolina pragnie lubie widziadło uściskać, lecz gwiazdzista twarz znika, a zły duch szczeka i wyje ze złości. Gwiazdzista twarz staje przed Karoliną codziennie przez kilka tygodni i tchnie w nią jakimś nadzwyczajnem życiem, jakąś wonią z wyższego świata. Chora postanowiła prosić ją o zjednoczenie się z sobą, spodziewając się, iż wstąpi w nią niebo. Na ten zamiar duch zły zazgrzytał ję zębami, zaczął pianę z ust toczyć i bez litości w ciele kołatać. Karolina, przyszedłszy do siebie, rzekła doń spokojnie: „Nieboję się już twę groźby, ani twego trapienia, boś mię do nich wezwyczał. Przedsięwzięcia mego nie zmienię!“ Za to przesładował ją duch tak ciężko, iż zda-



wało się, że porwała ją wielka choroba i taniec Sgo Wita. — Dnia 7. Września przed południem ujrzała Karolina miłą postać gwiazdzistą, uśmiechającą się do niej rokosznie i mówiącą te słowa: „Miěj się na baczności, bo wstępuję w ciebie!“ Wnet postać znikła. Karolina czuła w sobie coś obcego, poruszającego się w jēj krwi, a serce jēj napełniła niepodobna do opisania błogość. — Otóż wstąpił w nią duch drugi, duch słodki, i opanowawszy jēj usta, mówił, jakby tonami harmoniki: „Pielęgnuj mię w sobie i niedozwól, ażeby mię stąd zły duch wyparł! Inaczěj wtrąci on cię w czeluść piekielną!“ Zły duch jęknął, jakby się nagle z letargu zbudził. Twarz Karoliny pokazywała najdziwaczniejsze poruszenia i grymasy. Rozpoczęła się całogodzinna walka dwu duchów w jēj piersiach i wnętrzościach. Wreszcie chora, znękana bez granic, kazała zanieść się do łóżka i rzekła: „Ach, com wycierpiała! Ale, święć się wola Twa, Panie!“

Rupprecht stary, uczyniwszy już wszystko ku wyleczeniu córki, co było podobna, opuścił nakoniec ręce, mówiąc: „Jest to dopuszczenie boże, które potrzeba znieść cierpliwie. On jeden, Pan niebios i ziemi, może tu być lekarzem.“ Ponieważ spostrzegł, że towarzystwo czyni rozstargnienie czasami córce, i ponieważ przekonał się, że stan jēj ukrywać dłużej przed ludźmi jest nierozsądnie, albowiem już całe miasto o niěj mówi; pozwolił więc odwiedzać ją niektórym osobom, godnym zaufania. Lecz kto tylko przyszedł do Karoliny, temu duchy prawily przez jēj usta tak cierpkie słowa, że trudno było u niěj wytrzymać. Na jednego np. krzyczały, że otrul przed dziesięciu laty własną żonę; na drugiego, że ma troje dzieci pokątnych; na trzeciego, że okradł skarb publiczny. Tėj pani wyrzucały tajemne przed mężem miłosne umówinki; owēj nieład domowy, zastawianie rzeczy w lombardzie, pożyczane suknie modne. Pewnej panience rzekły, że nie jest już dziewicą, lecz że synek jēj ukryty został u wieśniaka niedaleko miasta. Co duchy wyjawily, było zawsze wielkiem prawdopodobieństwem, a co gorsza, świat wierzył

temu chętnie. Tym sposobem demony odpędziły od Karoliny wszystkich ludzi i panowały nad nią swobodnie. Jakoż okazały się w domu skutki tego panowania. Psota następowała po psocie, i tak zwana przeszkoda szaleć poczęła. Dach domu został kilkakroć odarty z blachy. Wieczorami spadały z dachu kamienie jak grad na przechodzących. Moc jakaś niewidzialna władała niemi, bo nabawiały trwogi, lecz nieraniły nikogo. Drzwi wszystkie znajdowano otwarte na roścież, suknie i łyżki srebrne w ogrodzie, a rydle i motyki na ich miejscu. Zawołano pewnego razu Rupprechta do króla. Szukał fraka po całym domu i niemógł go znaleźć. Odprawił odwiedziwy w surducie, wymawiając się nieporządkiem, który w jego domu panuje. Ledwie że wrócił, znaleziono frak na górze wśród brudów przeznaczonych do prania. Gdy miał wychodzić na miasto w pilnym sprawunku, zastał drzwi od pokoju swego zamknięte i musiał je kilkakrotnie odbijać. Kucharka wróciła do domu i ujrzała kuchnię ze wszystkich sprzętów ogołoconą. Narobiła hałasu, mniemając, że złodzieje dom złupili. Później znaleziono sprzęty kuchenne w drwalni, ustawione tak misternie, iż wszyscy rzekli, że to jest dziełem nadludzkiej ręki. Raz poszła pokojówka do piwnicy i wróciła z krzykiem, że duch płomienisty stojący w jednym kącie, ją wypędził. Udano się na miejsce i odkryto stos drewnien palących się płomieniem. Krzyknięto: ogień! gore! Odezwały się po całym mieście dzwony. Sikawki zajechały przed dom. Naczelnik straży ogniowej wszedł do piwnicy i rzekł: „Stós drewnien jest tak ułożony, że można dozwolić, aby spalił się spokojnie. Jest to najlepszy środek ratunku. Patrzcie, stoi w samym murowanym kącie, daleko od wszelkich palnych materiałów. On niczego zająć nie może. Jest to złośliwa psota, którą ktoś wyrządził.“ I rzeczywiście spaliły się drwa, a ogień ustał. Scena ta jednakże zniecierpliwiła gospodarza i właściciela domu. Obawiając się na przyszłość istotnego pożaru, wypowiedział Rupprechtowi mieszkanie. Służba Rupprechta wypraszała się także od obowiązku, gdyż dzień

i noc żyć musi w trwodze i nieładzie. Rupprecht wzdychał i mówił do siebie: „Oby córka ma umarła i uwolniła mię od tych nieprzyjemności!“ — Duchy, mieszkające w Karolinie, zdawały się szukać zemsty za to, że przeskoda nikomu się niepodobała. Służbie zbuntowanej prawiły w żywe oczy wszystko, co chciała mieć w tajemnicy. Duch łagodny rozgłosił, iż jego złośliwy spółtowarzysz był za życia posiadaczem tego domu i wielkim lichwiarzem, iż ukrył w piwnicy kocięł złota. Znalaziono wnet w piwnicy ziemię skopaną. Duch drugi, t. j. zły zaczął teraz śmiać się do rozpuku, opowiadając wszystkim, że terażniejszy gospodarz domu to uczynił, że kopał całą noc i pieniądze nieznalazł, albowiem ich tam nigdy niebyło. Duchy Karoliny przewidywały przyszłość. Dobry wiedział trzy lub cztery tygodnie naprzód, iż przybędzie do domu jaka dewotka, albo też inna miła mu osoba, a zły gniewał się, gdy miał otrzymać nieprzyjemne sobie odwiedziny. Chora była ze wszystkich najniezwyklejszą, bo ledwie coś pomyśliła, a jużci albo wrzeszczał z niej duch zły, albo też płakał w niej dobry, tak, iż nieraz oczy jej od wielkiego łez wylewu napuchły. —

Wszystko na świecie musi mieć koniec. Pewna przyjaciółka matki Karoliny przybyła z prowincyi w odwiedzinach. Duch zły przeklinał jej przytomność, a dobry radował się jak dziecko. Przyjaciółka matki, poznawszy stan Karoliny, rzekła do Rupprechta, iż zna lekarza, który potrafi córkę uleczyć; że lekarzowi temu posłuszne są duchy; że on już niejednemu w takim razie pomógł. Jak się zowie ten lekarz? zapytał ojciec. Odpowiedziała: Mohrland Nadgórnik. Na te słowa zawyły przeraźliwie obadwa duchy, a Rupprecht, wyznał, iż słyszał już wiele rzeczy osobliwych o tym lekarzu, iż pragnął go wezwać, lecz nikt go tu nieznał i niewiedział o jego pobycie; zezwolił, aby przyjaciółka jego żony zaprosiła Nadgórnik. Wnet pchnięto list po niego.

Mohrland przybył, udał się do starego Rupprechta i kazał sobie opowiedzieć historią życia Karoliny od ko-

lebki, aż do dnia dzisiejszego. Szczególniej chodziło mu o tajemną arkę jęj myśli, uczuć i chęci. Później poszedł do Karoliny, pytał się o jęj zdrowie i wziął ją za rękę. Ledwie jęj dotknął, zawołała: „Panie, czuję, iż mię uleczysz, gdyż z ręki twęj przepływa we mnie siła jakaś nadziemską.“ Chora rozpowiadała przez całą godzinę stan swój bez przeszkody, a duchy uciszyły się, jak przerażone trusie. Rupprecht, przytomny tęg scenie, powziął wielką nadzieję, lecz górnik zapewniał, iż Złe zakorzeniło się tu głębięj, niż mniemał z początku, gdyż milczenie duchów niejest ich niemocy, ale raczej przebiegłości oznaką. Chcą, mówił, wywieść mię w pole. — Mohrland prosił, ażeby prócz ojca, był jeszcze jaki godny i wykształcony człowiek świadkiem jego kuracyi, albowiem panna jest młoda, a ludzie mają złe języki. Rupprecht przedstawił swego domowego lekarza, który jest przyjacielem rodziny i dotąd zajmował się córki chorobą. Górnik zezwolił na to, i zamówił ojca oraz lekarza na jutrzejszy ranek.

O wyznaczonej godzinie wszedł ojciec i lekarz domowy do pokoju górnika. Po przywitaniu obrócił się Mohrland do obudwu, i spoglądając lekarzowi w oczy, tak mówił: „Co przedsiębiorę wykonać w przytomności Waszęg, moi Panowie, rzeczą jest z pewnego względu nadzwyczajną, albowiem siły człowieczęg istoty i tajemnicze ich działania mniej są znane powszechnie, niż się tego spodziewacie. Chcąc działać przeciw objawiającym się niby cudownym sposobem duchom, potrzeba mieć bliższą ich znajomość; lecz niedość, potrzeba być ich panem. Przeciw chorobie Karoliny niedołączną jest zwyczajna sztuka lekarska, tu nie proszki, kwasy i kwasiki chemiczne, lecz wolne potęgi ducha, rzadko komu posłuszne, mają być lekarstwem. Brzydę się wszelkiego rodzaju szarlataństwem, lecz znam ludzką naturę wewnętrzną tak dobrze, jak lekarz zewnętrznią. Nieoczekujcie przeto, ażeby tu, jak mnich średnio-wieczny, wdawał się w exorcyzmy i czartów wyganiał. Nie, jam tu przybył po to, abym przywrócił w ludzkieg naturze Karoliny straconą równowagę jaźniową. Zrozumiecie

mię lepiej, gdy wam objaśnię chorobę. Karolina straciła równowagę we własnej jaźni przez gwałtowne stłumienie, a później przez niesforne zmartwychpowstanie wewnętrznego żywota w sobie. Ona rozbudziła żywot swój wewnętrzny pod wpływem bogobojnej matki, stłumiła go w sobie balami, a wywołała do ruchu na nowo po zgonie rodzicielki i zdradzie kochanka. Obadwaj duchy, które w niej siedzą, nie są bynajmniej obcemi jej istotami, ale nią samą w najsmutniejszym moralnem rozdarciu. Duch zły jest ukochaną od niej światowością, a duch dobry bigoteryą, od matki zaszczeponą. Duchy te były naprzód myślami, uczuciami; później, gdy rozbrat jaźniowy w niej zolbrzymiał, wyszły z niej, łomotały po pokoju i przybrały postać widoczną; wreszcie wróciły do niej, jako do swego pierwotnego źródła. Walka jej wewnętrzna zamieniła się w walkę demiurgów, dręczących jej ciało. Boleść duszy stała się boleścią ciała. Dusza utraciła tu siłę sobie wrodzoną i dla tego cierpieć dalej musiała z wewnętrznej strony, t. j. pod tłokiem niby obcych potęg. Jaźń, stanowiąca boskie jądro, czyli istotę człowieka, zdeptaną tu została od własnych utworów, i poddała się nakoniec pod ich jarzmo. Mojem zadaniem jest, uwolnić ją od tego przeklętego despotyzmu.“

Lekarz uderzony i zachwycony tą przemową, rzekł: „Wszystko, com słyszał w tej chwili od ciebie Panie, jest dla mnie tak niespodziewane, ciekawe i ważne, że prawdziwie stoję w osłupieniu. Zdaje mi się, iż roztworzyłeś oko me niecielesne i dozwoliłeś spojrzeć mi w jakiś świat nowy, dotąd nikomu nieznanym, świat naturalny, a przecież cudowny, o którym pierwój nigdy ani zamarzyłem. Co moja sztuka zdołała, użytem już zostało. Teraz kolój na Ciebie. Szczęśliw jestem, że będę świadkiem kuracyi, w której siły duchowe wystąpią, jako lekarstwa, a jeszcze szczęśliwszy, żem Cię poznał.“

Udano się do pokoju Karoliny. Mohrland położył dłoń na jej czole i chora zasnęła. Kwadrans upłynął i żaden z duchów słyszeć się nie dał. Wreszcie rzekł górnik: „Przeklęty szatanie, czemuś w obecności mej tak cichy? Czyś

zapomniał dawnych twych harców? Czy niechcesz, ażeby cię poznał? Odpowiadaj, ja, Pan twój, rozkazuje ci!“ Poruszały się konwulsyjnie powieki i usta Karoliny. Zły duch usiłował mówić, lecz zdawało się, że niemógł, bo ledwie wybąknął słówka: „Dajże mi pokój!“ Nadgórnik rzekł po chwili: „A ty niby słodki, niby dobry sylfie, czemu milczysz? Czy i ty truchlejesz przedemną? Odpowiadaj:“ Na to odezwał się niezadługo głos miły: „Ach ty, widzę, niechcesz mi dozwolić, abym pozostał w dotychczasowem mem niebie!“ Tak jest! odrzekł górnik. Niebo twe niepodoba mi się wcale. Stworzyła je, nie bogobożność istotna, ale bigoterya.“ Duch wzdychał, płakał, wołając: „o słodkie imię Jezus!“ — Mohrland zwrócił teraz mowę do jaźni Karoliny: „Ty zaś, dziecko i technienie Bęże, wieczny świecie z niebios, czy śpisz? Chora poruszyła się gwałtownie, lecz milczy. Górnik na to: „Karolino, rozbudź się we właściwej twój istocie i daj mi odpowiedź!“ Teraz obadwa duchy poczęły wrzeszczeć. — Nadgórnik porwał chustkę, leżącą przypadkiem na stole, rzucił ją na twarz dziewczyny, i zatrzymawszy ją palcem swym pod brodą, zawołał: „Milczcie, albo was zadławię! Nie was, lecz ją chcę słyszeć! Karolino, odpowiadaj, rozkazuję Ci!“ Chora ruszyła rękami, jakby pragnęła chustkę ściągnąć z oblicza. Mohrland odsłonił twarz jej; ona zaś poziarała na przytomnych, jakby budziła się ze snu głębokiego. I rozpoczęła się rozmowa: Mohrland: „Dzień dobry, córko moja! Czyliś się uwolniła od nieczystych twych mieszkańców? Karolina: Czuję się w téj chwili od nich zupełnie wolną. — M. Od jak dawna to czujesz? K. Sama niewiem. — M. Czemu niewiesz? Czyliżes niepowinna być panią twojego domu? K. Utraciłam rządy w nim od dawna. — M. Starajże się przeto odzyskać je na nowo! K. Na tom za słaba. — M. Ja spieszę ci z pomocą. Czy przyjmujesz mię za sprzymierzeńca? K. Jak najchętniej. — M. Posłuchaj więc warunków z méj strony. Zgłębiaj naturę twych wrogów i śledź pilnie ich słabości; a pokonasz ich niezawodnie. K. Jak to rozumieć? M. Największą ich słabością jest, chęć

panowania nad tobą. Niedozwól tego ani jednemu, ani drugiemu, gdyż obadwaj są zlemi wyrodami własnej twój istoty, dziećmi nieprawemi przeszłego skrzywionego twego życia. Zdobądź samę siebie na powrót, samę siebie, mówię, a znajdziesz hetmana, którego buławie ulegać możesz bez najmniejszego niebezpieczeństwa. — K. Pojmuję wprawdzie, czego żądasz, lecz niemam odwagi przeciw tak potężnym wrogom porwać się do zaciętego boju. M. Skoro tak jest, to proszę być mi bez warunku posłuszną. K. Zgoda, cóż więc mam robić? — M. Mów jak najpilniej: ja, ja, ja! Zamiast chcę, widzę itp., mów zawsze: ja widzę. Jażn twoja poszła pod rozkazy władz innych, niezupełnie z nią zgodnych. Uwolnij się od tych rozkazów, a będziesz zdrowa i szczęśliwa! — K. Dobrze! Ja będę mówiła zawsze ja; ja będę ci posłuszną; ja nieuchybię ani na jotę twój woli, lecz czyli duchy tego mi dozwolą? M. Tylko śmiało! Najtrudniejszy początek; później pójdzie snadniej. Jutro przyjdę tu znowu, aby się przekonać, czy córka zupełnie mi posłuszną. Tymczasem żegnam. — Po tych odwiedzinach zmorzył Karolinę sen głęboki, tak że spała bez przerwy niemal cały dzień.

Nazajutrz przyszedł znowu do Karoliny Mohrland z lekarzem i ojcem. Ledwie go duchy zwąchały, zaczęły być niespokojne. Zły miotał najzapamiętalesze przeklęstwa, dobry zaś kwilił i szlochał. Nadgórn timer wołał, również jak wczoraj, Karolinę po imieniu. Gdy chciała mówić, zdawało się, że ktoś uchwycił ją za gardło i niedozwala wypuścić zeń tonu. Nadgórn timer, położywszy palec wielki ręki swój prawej na jej szyi, przywrócił jej władzę mówienia. Karolina: Ja chcę ci, Panie, być posłuszną, ale sam widzisz, że władza duchów większa od mój mocy. Mohrland: Słuchaj, córko, dam ci moc dzielniejszą! Moc ta leży w twem sercu. Jażn ludzka jest pojedyncza; tyś rozłożyła ją na części i stałaś się przez to bezsilną. Zbierz wszystkie twe siły pod jedną chorągiew, pod chorągiew czującej się należycie jażn własnej, czującej, mówię, i dla tego mającej serce swą stolicą. Czuj swoje Ja w sercu tak wyraźnie,

jak czujesz obce duchy w twem ciele, a będziesz mocna.“ Teraz położył Mohrland prawą dłoń na obnażonym grzbiecie Karoliny i tak dalej mówił: „Córko, oddaliłaś się od wielkiego ołtarza w świątyni twojego żywota wewnętrznego i rozdarłaś się sama, wstąpiwszy we dwie poboczne jej bazyliki, albo raczej kopuły. Serce jest miejscem, gdzie jaźń twa znajdzie napowrót swą udzielność i wolność. Czuj samę siebie sercem; myśl i mów sercem; stań się cała sercem, inaczéj nikt ci niepomocze. Głowa rozrzuca istotę twą po świecie wielkim bez granic; serce skupić ją potrafi. Myśli dążą na zewnątrz, na powierzchnią kuli żywota; uczucia zaś ciążą do punktu środkowego, do jądra człowieka. Myśli są kosmopolitami; uczucia zaś egoistami, gnieźdzącemi się w saméjże jaźni, t. j. w naszej sobistości najwłaściwszój. Dla tego, że tak powiem, niewidz, niesłysz, niewąchaj i niesmakuj głową, ale sercem. Oko, ucho, węch i smak, wszystkie zmysły przenieś w serce. Rostwórz pory serca i wewnętrznego żywota, a poczujesz się sercem i żywot twój wewnętrzny zbudzi się w pierwotnéj swéj czystości. Będzie to moc, którój nieprzyjaźne duchy ulegną.“ Kar. Ja czuję, że dotknęłaś słowy temi choroby méj w korzeniu, lecz czuję ja także, iż mocy, o którój mówisz, ja sama rozbudzić w sobie niezdolałam. Wreszcie ja niewiem, jakim to sposobem uczynić. Mohr. Zaczem potrzeba ci pomocy zewnętrznej. Córko, czyn, co mówić będę! — Podnieś się z krzesła! — Stań prosto! — Głowa w górę, ręce na dół! — Stój tak zupełnie, jak żołnierz w szeregu! — Tak, tak, dobrze! — Stój silnie! — Stój tak wciąż i słuchaj pilnie słów moich! W takim położeniu serce twe, od żadnego z zewnętrznych organów sąsiednich niegnięcione, ma wolność i siłę największą. Jest to najbezpieczniejsze stanowisko wojenne przeciw twym wrogom. — Stój, stój jeszcze i myśl sercem, albo raczéj czuj w sercu własne Ja. Myśl, czuj twe Ja, i — słuchaj dalej, co będę mówił! — Teraz, wy demony, pokażcie moc waszą! Pokażcie, czy zdołacie co przeciw tak stojącej Karolinie!“ — Oczy i usta dziewczyny zaczęły się przekręcać, a nadgórník, widząc to zawołał: Córko, stój



krzepko, jak mur!\* Duchy, nateżywszy swe siły kilkakroć nadaremnie, cofnęły się w dolne wnętrzości, jakby ze wstydem. Mohrland rzekł: „Karolino, odniosłaś w téj chwili pierwsze, nadzwyczaj ważne nad wrogami twemi zwycięstwo. Czyń to, czego cię nauczyłem właśnie, za każdym razem, gdy spostrzeżesz, iż nowym zagrażają ci szturmem. Cwicz się dzisiaj, jak ochotnik w mustrze. Jutro znowu cię odwiedzę.“

Mohrland, wraz ze swymi świadkami, przybył do Karoliny po raz trzeci. Duchy zaczęły zionąć przeciw niemu złorzeczenia, lecz chora, zebrawszy siły i stanąwszy prosto, jak palma, zamknęła im swe usta. Górnik rzekł: „Prześlicznie, córko, znaczny zrobiłaś postęp! Opowiedz mi teraz, jak demony wczoraj z tobą walczyły?“ Chora mówiła, iż mimo wszelkiej usilności z jéj strony, i mimo licznych tryumfów nad niemi, wzięły przeciw kilkakroć górę, bluźniąc przeciw niéj, a szczególniej przeciw Mohrlandowi. „Skoro tak jest, odrzekł górnik, to jeszcze ostrzejszój potrzebujesz przeciw nim broni. Stawaj prosto i silnie, jak rekrut, by serce twe miało zupełną niepodległość. Nadaj za każdym razem oczom twym miecz pokory, t. j. spuść je na dół, ażeby przez wzrok niewstępowało obce światło do twojego mózgu i tym sposobem nierostargiwało, a więc i nieosłabiało potęgi serca. Usta twe ściśnij, lecz nierościągając ich wzdłuż. Ani oczu, ani ust niepodnoś w górę, lecz głowę trzymaj prosto. Lewą rękę spuść i wypręż, a prawą połącz na żywocie, (dwa cale niżej żołądka), i proś Boga o łaskę. Łaska niech będzie jedynym celem twéj modlitwy. Rozpoczynaj i kończ ją słowami: „Zlituj się, dobrotliwy Panie, nad biedną Twą dziewczką!“ Mów to, lecz bez poruszenia ust i języka, mów głosem wewnętrznym, organem serca. Trzymaj się przedewszystkiem krzepko na nogach. — Znalazłszy chwilę wolną od napaści wrogów, rozmyślaj dzień i noc te słowa, lecz rozmyślaj je sercem: „Zły duch we mnie, to miłość moja bałów, teatru, tryumfów miłosnych i próżności światowój. miłość ta niebyła nigdy mojem Ja, lecz wiatrem z zewnątrz, dżumą méj

duszy; ona dziś już zupełnie ustala; precz więc z nią raz na zawsze! Duch płacziwy, mieszkający we mnie, to bigoterya, którą zaraziłam się od matki, bogobojnej, lecz odemnie źle pojętej. Bigoterya ta nie była mojem Ja, bom porzuciła ją tak snadno dla rozkoszy świata; niejest i dziś mojem Ja, bo siedzi we mnie, jako obca mi istota, która mię trapi. Precz więc także z nią, raz na zawsze!“ Tak myśląc i czując, staraj się uwolnić od miłości świata i bigoteryi całkowicie, a demony cię opuszczą. Tak myśląc i czując, a powtarzając wciąż w sercu Ja, znajdziesz na powrót sama siebie. Cóрко, bądź posłuszna i miej wytrwałość! Oddalam się na cztery tygodnie. Tuszę, iż gdy wrócę, zastanę Cię zdrową.“

Rupprecht i lekarz wymagali już dawniej od Mohrlanda, ażeby im nie jeden sposób kuracyi swój objaśnił; lecz on rzekł: „Bądźcie cierpliwi, a spodziewam się, iż w końcu sami wszystko pojmiecie.“ Teraz przed odjazdem, musiał im dać żądane odpowiedzi, które tu przytaczamy: Pytanie: Skąd pochodzi ta moc w ręku twoim, którą natychmiast Chora poczuła i nazwała nadziejską? Czyli nienapełniłeś wprzód ręki twój żywotnym magnetyzmem, wedle doświadczeń Mezmera? Odpowiedź: Ręka zdrowego człowieka, położona na wrzodzie, lub zbolałej ranie, jest najwyborniejszym plastrem. Zdrowie przepływa tu porami w schorzałą część ciała i przywraca dawniejszą jego dzielność. Starzec zdoła dziesięć lat żyć dłużej, sypiając w pokoju pełnym chłopców i wciągając w siebie życiodajną, krzepką, posilną ich atmosferę. Toż samo rozumie się i pod względem żywota wewnętrznego. Młodzian i dziewczica, co kochają się milczkiem, dotknawszy się nawzajem, czują cud w całej swjej istocie. Tu dusza polaryzuje się z duszą, a elektryczność boska przenika ogniem swym wszystkie stawy i członki. Karolina straciła jedność wewnętrzną swjej jaźni i szukać jej musi, bo to naturalna; ja ją mam w całej pełni. Dla tego skutkuje na niej me dotknięcie. Jedność moja wewnętrzną przepływa ze mnie w nią niewidzialnymi jaźni porami, jak zdrowie w chorego, jak miłość z duszy

w duszę. — Pyt. Czemu kto inny nieposiada téjże saméj mocy cudownéj? Odp. Każdy ją posiada, co wyrobił się do pełni wewnętrznego żywota. — Pyt. Jak można się do téj pełni wyrobić? Odp. Trzeba się udać do mnie po naukę. — Pyt. Czy niepodobna dać o rzeczy téj choć jakiegokolwiek wyobrażenia? Odp. Czemu nie? Ale słów mych niepojmiecie. Ten zacznie żyć w pełni wewnętrznego żywota, komu udało się całość życia natury przenieść w kropelkę życia własnego, kto zdołał całość tę i jej wszechmoc wcielić w swą jednostkę. — Pyt. Ale racz wytłómaczyć raz jeszcze, zkąd moc cudowna w twym ręku? To nas przedewszystkiem obchodzi. Odp. Powiedziałem już, lecz niezrozumieście. Słuchajcie! Żywot wewnętrzny jest essencją Chrześcijaństwa, w piersi bogobojnego, rzeczywistego, istotnego człowieka przelaną; jest słowem Zbawiciela, nie martwym, ale pełnym ruchu i dzielności cudownéj, przychodzącem w ulubieńcu niebios do swego przeświadczenia. Nie w samym ręku leży wszechmoc. Komu Zbawiciel obmył nogi, ten uczuł w nich ogień żywota; kogo Zbawiciel ścisnął za rękę, tego dotknięciem ulecza chorych. Oczyszczyć rękę, a ustępować przed nią będą wszystkie nieczystości! Lecz rozwodzę się daremnie. Rzeczy te nie należą do teoryi, ale do praktyki. Kto niema oczu, nie otrzyma wyobrażenia o świetle; kto niema sam w palcach swych ognia żywotnego, nigdy go niepojmie. — Pyt. Dla czego ogień ten żywotny czuć się niedaje innym, lecz tylko choréj? Odp. Bo inni nierozbudzili w sobie żywota wewnętrznego i niemają jeszcze na to organu. Karolina ma już żywot ten w nader wysokim stopniu, ale zwichnięty z drogi prawdziwéj. Jedynie osób tego rodzaju dotknąwszy, Chrystus uzdrawiał i robił cuda. Są to już dzieci Boga i mają prawdziwą, żywotną wiarę. Zwyczajni synowie świata, to opoka, od którój odskakuje ziarno rzeczywistego żywota. — Pyt. Czemu cudowną twą siłą wpływasz bardziej na ciało, niż na duszę? Czy niebyłoby stósowniej, byś nauczył przedewszystkiem chorą porządnie myśleć i rozstać się z trapiącemi ją fantazmagoryami?

O d p. Niepodobna, ażeby ten myślał porządnie, u kogo żywot wewnętrzny, będący zasadą i rdzeniem wszelkiego myślenia, rozczepiony został nieprzyjaznym sobie gromem. Żadna roślina dojrzewać niemoże bez gruntu, w którym rośnie. Podlęj kwiat omdlały skwarem wodą, a sił nabierze! Ja działałam właśnie, nie na ciało, ni na duszę, lecz na jaźń, lub jeżeli chcecie, równie na ciało, jak na duszę, bo jaźń jest jądrem ciała i duszy, obojgiem w wiekuistój jedni. Zaniedbałamże zakierować chorój myślą i wolą? — Pyt. Skąd duchy, w ciele chorój zamknięte, otrzymują moc robienia tyle psot w domu? Co znaczy przeszkoda? Odp. Duchy mają moc same z siebie. Co to za potężne np. w Karolinie władające, t. j. światowość i bigoterya! Wstąpiwszy w ciało osoby jakiej, używają go za narzędzie do swój psoty i wytwarzają rzeczy tak osobliwe, iż rozum musi brać je za dziwy. Nie kto inny, tylko ręka Karoliny dach obdarła z blachy, miotła kamieniami na przechodzących, ułożyła i zapaliła stós drewnien w piwnicy. Duchy kierowały tą ręką, a ona nic o tem niewiedziała? — Pyt. Czemu więc nikt Karoliny na gorącym uczynku nieschwytal? Odp. Duch prowadzi Lunatyka po dachu i nieleka się tego, ażeby go spostrzeżono. Włada tu silna, ale niewinna i niechęca szkodzić nikomu romantyczność. Jój celem jest tylko przechodzić się i marzyć słodko w blasku księżyca. Ale duchy Karoliny są złośliwe i płatają psoty. Umieją przeto tak ją prowadzić, iż nikt jój niespostrzeże. Wyrachują czas aż do sekundy, w którym to lub owo zrobić mogą niepostrzeżeni, i powiodą ciało napowrót do łóżka właśnie wtedy, gdy inni się zrywają, szukając sprawcy złego. Osoba, w której są duchy, śpi w czasie uczynku i późniejszemu twarde. Przeszkoda trapi niejedno mieszkanie. Wyśledzisz ją natychmiast, poznawszy historią myśli, uczuć i chęci pewnej utrapionój osoby w niem się znajdującój. Tu nie kreda poświęcona, ni kropidło, lecz przywrócenie jaźniowój równowagi w psotniku nieświadomym, skutkować może.“

Mohrland oddalając się, przestrzegł lekarza, iż Karolina mniej więcej po dwu tygodniach dostanie boleści zębów, zapalenie dziąseł, strzykania w uszach, oraz innych, niby reumatycznych dolegliwości. Radził mu niewykorzystać złego zupełnie, lecz użyć przeciw niemu łagodzących cierpienie środków. — Po odjeździe Nadgórnika Karolina ćwiczyła się pilnie w uczynionem sobie zadaniu i była dość oswobodzona od napaści swych wrogów. Już po czternastu dniach czuła się silną we własnem sercu, śmiała wywoływać duchów do walki z sobą, była przystępniejszą dla zewnętrznych wrażeń i dowiodła, iż rozstała się z bigoteryą. Ale później zaczęło w uszach jęj szumieć i trząskać, jakby z bicza, a ogień jakiś nader bolesny szalał w jęj szczękach. Po nocach słyszała niekiedy łomotanie po pokoju. Lekarz, przepisując jęj środki, rzekł: „Bez wątpienia opuszczają cię demony tąż samą drogą, którą weszły, i siedzą połową w tobie, a połową za tobą. Skąd łoskot w uszach twych i w pokoju.“ Ilekroć cierpiąca boleści zewnętrzne Karolina niestanała silnie na nogach wedle przepisu, zyskał moc duch zły i dał się słyszeć. Zdawało się, iż wyjeżdzać musi z ciała, lecz sprawiając w niem bóle i osłabiając osobę, usiłuje zatrzymać się w dotychczasowej swęj gospodzie. Nieraz w nocy wypędził demon Karolinę z łóżka, i kazał jęj biegać po dachu lub płatać nowe psoty, ale tak był już nieprzezorny, iż mnóstwo mieszkańców widziało teraz chorą chodzącą, i przekonało się na żywe oczy, że ona, a nie kto inny, była przeszkodą. A lekarz mówił: „Mohrland ma słusność! Zaiste, w takich razach posiada on więcej mądrości i doświadczenia, oraz zgłębił ludzką naturę lepiej, niż my wszyscy uczniowie Eskulapa.“

Po czterech tygodniach Mohrland powrócił, i dowiedziawszy się o wszystkim, co się w czasie tym wydarzyło, przyszedł z lekarzem i ojcem do Karoliny. Powitał ją i rozkazał jęj mówić. Przekonał się wkrótce, iż duch słodki ustąpił zupełnie, a głos jego przepłynął w zwyczajny głos Karoliny. Ale duch zły, gdy wezwanym został, za-

czął burzyć i łajac po swojemu. Mohrland patrzył Karolinie ostro w oczy, wziął jej ręce w obie swe dłonie, ścisnął je mocno i tchnął w nie wszystkimi porami siłę wewnętrznego żywota. W takiej postawie mówił do niej uroczyście: „Zły duchu milcz! Wyrzekłeś już ostatnie słowa. — Karolino, rozstałaś się z bigoteryjnymi uczuciami i dla tego pozbyłaś się łagodnego demona. Czemu miłujesz jeszcze światowość? Czyliż bale, teatru i syn prezydenta ze swą fałszywą miłością niezabiją twój matki? Możesz jeszcze do takich rzeczy mieć przywiązanie? Rozstań się z nimi przez miłość twój matki, lecz rozstań się szczerze, z głębin najgłębszych serca, a również demon zły ustąpi! Tron wewnętrznego żywota już w tobie na nowo jest wznieścion. Posadź na nim własną jaźń, i zrób ją królową w twym królestwie! Bądź sama sobą i niczem więcej, bądź sama sobą całkowicie! — Skoro zły demon rozbija warownią, którą mu stawiasz silnem twem trzymaniem się na nogach, więc udzielam ci w tej chwili przeciw niemu bagnetów. Bagnetami temi będą końce twych palców. W nich objawi się siła nadziemna, skoro rozwinęłaś już w sobie żywot wewnętrzny w całkowitej pełni; objawi się przynajmniej w takim stopniu, na jakim sama rzeczywiście żyjesz; z nich wypływać będą płomienie żywotne, którym nic nieczystego oprzeć się niezdolna. Używaj ich, jako miecza ogni-stego, przeciw duchowi złemu i boleściom, które ci zadaje. Odmawiaj modlitwę, jak cię nauczyłem, ćwicz się we wszystkim, com ci polecił, a rozpalający się w tobie żywot wewnętrzny stać się może nieskończonym pożarem, a przynajmniej jego łuną i ujrzysz niebiosa!“ — Karolina słuchała pilnie tych wyrazów, a gdy Mohrland skończył mowę, przestał jej patrzeć w oczy i puścił jej ręce ze swych dłoni, uczuła w końcach palców ogień jakiś błogi i widziała wystrzelające z nich iskry żywota. Dotknęła niemi swych uszu i boleści z nich ustępowały. To przecież tak ją osłabiło, iż zasnęła nagle i musiano ją zanieść do łóżka. A Mohrland rzekł: „Dziewczyna ta, zaprawdę, zawstydzona mężów. W krótkim czasie nabyła siłę wewnętrznego żywota tak wiel-

kich, iż sam wpadam w zadumienie. Chcąc nabyć rzeczy tej, poświęca się jój zwykle wiele lat czasu i mozolnej pracy! Za kilka tygodni będzie zupełnie zdrowa i obejdzie się bez méj pomocy. Co większa, odkryje klucz do niebios, i jeżeli zechce, stanie przed stolicą Pana!“

Co się też i spełniło. Przy końcu drugiego miesiąca po kuracyi ostatniej, żądała Karolina, ażeby zostawiono ją samotną w pokoju. Rozmyślała, jak zwykle, o dawniejszych swych zabawach i tryumfach nad płcią męską, o synu prezydenta i jego niewiarze. Przejęła ją wreszcie istotna pogarda wszelkich znikomości tego świata. Stanęła prosto i silnie na stopach, wedle przepisu, oraz zawołała z głębin jaźni: „Zlituj się dobrotliwy Panie, nad biedną Twą dziewczką! Ku przebłaganiu twych cieni, o matko ukochana, i ku uspokojeniu własnego sumienia, ja, Karolina, wyrzekam się mamony tego świata. Tak mi, Boże, dopomóż! Zlituj się dobrotliwy Panie, nad biedną Twą dziewczką!“ Ledwie to wymówiła, czuła się tak osłabioną, iż zdawało się jój, że ściany się rozwalają i podłoga pod nią zapada. „Jest to, rzekła do siebie, bezwątpienia przesilenie się méj choroby.“ Zebrawszy całą moc, stała dłużej silnie na stopach i przyłożyła rękę prawą dwa cale niżej żołądka. Walka w jój organizmie stawała się co chwila gwałtowniejszą; ona zaś rozpędzała bóle końcami palców. Nareszcie zdało się jój, iż coś z jój ciała wyskoczyło i w szarem przepadło zmroku. „O jakże mi teraz lekko! zawołała. Z wiatrem bym lecieć mogła w obłoki! Ja, pokorna dziewczka Twa, dobrotliwy Panie, składam dzięki za spełnione Twe miłosierdzie!“ Zadzwoiła. Ojcu opowiedziała, co się stało. Leżała w łóżku kilka dni z ciężkiego osłabienia, a wstawszy okazała się zupełnie uleczoną.

Odtąd Karolina objawiała nadzwyczajną czystość jaźni i tchnęła do około siebie jakąś błogą-wszystkim niebiańskością. Żyła z Bogiem i z ludźmi, lecz niebyła ani bigotką, ani służebnicą świata. Prawdziwa bogobożność zrobiła ją swym tronem. Oko jój piecienesne stawało się co chwila pewniejsze. Spoglądała w przyszłość, odkrywała

utrapiionych po najgłębszych kątach, i idąc za skinieniem bóstwa swęj piersi, spieszyła im z pomocą; leczyla chorych, których lekarze opuścili, i rozwiązywała zagadki tajemnicze, którym żaden filozof nieporadzi. W trudnych okolicznościach szukano u nięj rady i niedaremnie. Kto ją poznał bliżęj, czcił ją, jako Świętą, a ojciec, co przeżył z nią jeszcze lat trzy, mawiał: „Córka moja wprowadziła mię do rzeczywistego istnienia i dała mi zbawienie, które przywiązane jest do człowieka, i które ani go mylić, ani opuścić niemoże. Błogo temu, co uczuł się boską jaźnią, i rozpałił w sobie żywot wewnętrzny, rzeczywisty, prawdziwy!

Lekarz widząc te cuda, i przekonany będąc, że opierają się na ludzkiej, tajemnej naturze, której niezna, wkrótce po wyzdrowieniu Karoliny, udał się do Mohrlanda po naukę. Późnięj wstawił się w Niemczech, jako lekarz opętanych i opiekun duchów. Jak się zowie? Powieść nasza milczy o tem; ale głos publiczny odpowiada: Justynus Kerner, autor pism z Preworstu i Magikona.

---

#### 4. Gościniec do świątyni mądrości nadziemskiej.

Silbert był synem majątnych rodziców i był w pewnem znacznem mieście niemieckiem, adwokatem. Jego wykształcenie było świetne, a dla zdolności niepospolitych, które okazał, będąc posłem na sejmie przez lat kilka, słynął w całym kraju. Ponieważ był bogaty i niechodziło mu wcale o pieniądze; przyjmował niewiele processów, i to li takie, gdzie sprawa jak najświętsza bez silnej i sumiennej jego pomocy, musiałaby stać się ofiarą pełnego wykrętów



rzecznictwa. Miał wiele swobodnego czasu; mógł przeto zadowolić niepohamowany pociąg swój do nauki. Przejrzał i przetrawił już mnogie skarbnice umiejętne, zajął się wreszcie dowodami nieśmiertelności duszy. Czytał wszystko, co od Sokratesa, aż do naszych czasów w przedmiocie tym napisano, lecz nic nietrafiło do jego przekonania. Duch jego potężny, rozbiwszy tu już teologiczne warownie i filozoficzne tkanki, co tylko uchwycił, rozmiatał, jak siatkę pajęczą. Końcem tego poszukiwania było: „Nieśmiertelność duszy niema dostatecznego dowodu. Skoro się rzecz tak ma, więc żywot wieczny jest marzeniem, czczą lalką dla wiecznie niemowlęcego ludzkiego serca. Co z rozkoszą marzymy, to kochamy; a co kochamy, w to wierzymy i tego się spodziewamy. Uluda jest matką szczęścia dla biedaków, żyjących tu na ziemi.“ — Atoli ostateczny ten wypadek oburzał coś nieznanego w jego istocie, i rozszczępując go z samym sobą, dręczył go niepokojem. Napisał zatem list do swego przyjaciela szkolnego Fildynga, katolickiego proboszcza w pewnej wiosce, który rozstawił się szeroko, jako teozof wyższego rzędu, prosząc go, aby mu wskazał drogę do przekonania się o nieśmiertelności duszy, jeżeli ta znajduje się rzeczywiście i niejest li naiwnem ludzkiego serca wymaganie. Fildyng wdał się w rozprawy listowe, w których rozbudzić w nim pragnął wiarę, religią, a nareszcie uczucie. Usiłowania jego okazały się bezskuteczne. Biegły w Syllogistyce adwokat, potrafił rzeczy takie wyszydzić i zniweczyć. Skoro listy nieskutkowały, Fildyng, w celu porozumienia się ustnego, zaprosił Silberta do siebie na wieś.

Adwokat, oczekując najzaciętszej dysputy, przejrział pilnie zbiór swych wątpliwości, oraz przeczących dowodów i wyjechał. Teozof przyjął go jak starego przyjaciela: wszelakoż nie winem i wyśmienitemi potrawami, ale gorącym sercem. Jego sposób życia, był nietylko skromny, lecz niemal klasztorny. Chleb i woda, to jedynie jego zwyczajne pożywienie. Gospodarz prosił przedewszystkiem gościa, ażeby raczył zastósować się do jego słołu. Ten przystał na to

tem chętniej, iż lubił rozmaitość. „Przeżyję u ciebie, rzeki, kilka dni po spartańsku i najem się czarnej polewki do sytu!“ Silbert pragnął natychmiast wdać się w dysputę, ale ksiądz odparł go w następnych słowach: „Przyjacielu dysputowaliśmy już dość w listach. Wiary niemasz i rozbudzić w sobie niechcesz lub niemożesz, a rozumowania okazały się bezsilne. Ty umiesz wszystko zbijać i niszczyć. I niedziw, bo to jest naturą czynnego ducha. Lecz nie sam duch, co jedynie myśli, jest w nas. W nas jest jeszcze boska jaźń, która działa. Skoro teoria przeciw tobie jest bezsilna; więc praktyka może oczy ci roztworzyć. Sprobuję. Dla tego proszę cię, dajmy przez kilka dni rzeczy téj pokój. Odetchnij czas pewien zdrowem, balsamicznem wiejskiem powietrzem i oczyść niem miejską twą duszę, a znajdzie się chwila stósowna, w której o tem pomówimy bliżej.“ — Silbert, sądząc, że pod tą odmową dysputy kryje się delikatnie cel zatrzymania go czas dłuższy na wsi, uściskał czule przyjaciela i zezwolił na jego żądanie. Odtąd jeździł konno po polach, łąkach i gajach, biegał z fuzyjką, odwiedzał sąsiednie duchowieństwo i zamożną szlachtę, rozmawiał z wieśniakami, przyglądał się gospodarskim robotom, bawił się nieraz kilka godzin przy trzodzie bydła i owiec, słuchał z przyjemnością śpiewu ptaństwa i fletni pastuszków. Sielskość tchnąca Bogiem, rozślanając co chwila nowe cuda Opatrzności, przedzierala się zwolna do miejskiego jego serca, które, jak to zwykle, ludzką sztukę najwyżej ceniło.

Dziewiątego dnia siedzieli dwaj przyjaciele zmrokiem przed mieszkaniem, kąpiąc z rozkoszą swe płóca w świeżem powietrzu i rozmawiając z sobą o rzeczach tego świata. Fildyng wyrzekł następne zdanie: „Człowieczeństwo podobne jest zaiste do wielkiej grudzi, obfitej w trawę, lecz skąpój w kwiaty, a przynajmniej takie, któreby godne były porządnego ogrodu.“ Silbert odpowiedział: „Cóż jest tego przyczyną? F. Każdy z ludzi usituje śród trawy odznaczyć się li jako jedna trawka. Żaden nierozwija się pełnym i uderzającym w oko kwiatem, z obawy, ażeby

niestanął samotnie, wystrzeliwszy nad innych rzadką głowę swą świetnością. S. Miarkuję, co to znaczy. Przekonanie moje republikanckie niezgadza się z twym sposobem myślenia. Ty wymagasz wyjątków dla celujących duchem, lub cnotą. F. Wyjątków? Jeżeli żądasz, tak jest! Ja pragnę właściwie, ażeby każdy z ludzi miał odwagę, rozwinąć wewnętrzną swą istotę samodzielnie i wznieść się aż na stopień tych, co gromadzą się pod znaki człowieczeństwa prawdziwego. S. Czyli niepostrzegasz tego wśród rzeszy ludu? F. Nie, bo tu niższe zwyczajne interesa, ponętne dla wszystkich, a krzyżujące się rozlicznie, zajmują mniej lub więcej każdego i najgłówniejszą odgrywają rolę. S. Zaczem wyjątek twój byłby koniecznością. F. Niezawodnie. Po wsze czasy rozpadało się też człowieczeństwo na dwa nader nierówne z sobą rzędy; na tych, co przestają na samej jałowej formie, w najogólniejszym znaczeniu tego wyrazu, i na tych, co z pod formy tej pragną wydobyć istotę. S. Spostrzeżenie twoje jest świeże. F. Bynajmniej. Już stary testament podzielił ludzi na dzieci Boga i na dzieci człowieka. Chrystus zowie dzieci człowieka Umarzonymi, dzieci zaś Boga Żywymi. O jakże mało jest Żywych! Kto Żywy, istotnie żyje tu między Umarzonymi, i Umarli go nierozumieją. S. Może więc z tego podziału człowieczeństwa chcesz wywieść dowód dla nieśmiertelności duszy? F. Skoro podział mój jest istotnie prawdziwy, to żądany dowód sam przez się wynika z niego. S. Masz słuszość, ale jak zdołamy poznać prawdę, o którą nam chodzi? F. Dwa są stanowcze dowody nieśmiertelności człowieka. Pierwszym jest oko prorocze, znajdujące się w istocie naszej, zdolne oglądać przyszłość i odkryć nam, czego spodziewać się mamy po śmierci, a wtórym obcowanie z nieboszczykami. Ci, objawiają się nam i rozmawiając z nami, dają dowód jak najpewniejszy istnienia swego i ludzkiej nieśmiertelności. Obok dwu tych dowodów, wszystkie filozoficzne rozprawy są niczem. S. Dajże mi pokój z takimi żartami. F. To nie żart, ale najświętsza ma groza i me przekonanie, które i ty mieć możesz, jeżeli

masz odwagę, wznieść się śród grudzi człowieczeństwa nad zwyczajną trawę i rozbłysnąć istoty twój kwieciami. S. Patrzaj, patrzaj, jakie zastosowanie! Zaledwie uszom mym wierzę! Ale, bo to i ksiądz! Dobrze, przypuściwszy, iż niejesteś guślarzem, lecz posiadasz jakąś tam mądrość nadziejską, pytam się, który z tych dowodów przeznaczyłeś dla mnie? F. Drugi. S. Czemu nie pierwszy? F. Bo mógłbyś go uznać za niedostateczny. Natchnienie prorocze jawi się tak naturalnie, jak poetyckie, a niedowiarek taki, jak Ty, widzieć będzie w rzeczach sprawdzonych ślepy traf i przypadek. S. Lecz skoro przepowiednia ogłasza nadzwyczajność? F. Nic to nieznaczy. Wiele nadzwyczajności znajduje się także w naturze. Wreszcie, kto obcuje już z nieboszczykami, ten roztworzy po pewnej pracy i oko swe prorocze. To znajduje się w każdym człowieku i należy do kardynalnej jego istoty. S. Tak tedy do nieboszczyków chcesz mię wyprowadzić po naukę! Niespodziewając się, ażebyś miał zamiar zarzącić mię, lub otruć, pytam, jak do nich dostać się za życia? Czy podobna dopiąć tu najoczywistszego niepodobieństwa? F. Czego wielu innych dopięło, czemuś ty dopiąć niezdolał? Przypiecz mi odwagę, wytrwałość i posłuszeństwo! S. Księżę, dziwaku! Sam niewiem, czy mam śmiać się z Ciebie, lub też popaść w dziecinne odurzenie. Przyrzeknę Ci, co wymagasz, skoro mi wskażesz, choć zdaleka, prawdopodobieństwo. F. Jeżeli śmiać Ci się podoba, to skończona rzecz z nami na zawsze. O, ty niewolniku teorii, służalcze wiecznego prawdopodobieństwa! Goń za prawdopodobieństwem, a ominiesz się niezawodnie z prawdą! Do praktyki bracie, do czynu! Jak opisać ci widzenie, skoro niechcesz oczu roztworzyć i widzieć? Znajdziesz sam wkrótce nietylko twe prawdopodobieństwo, ale i moją prawdę samą, skoro mi się poddasz! S. Istotnie? F. Na to moje słowo! S. Zgoda, więc przyrzekam. F. Daj słowo honoru i rękę! S. Oto je masz. F. Układ zawarty. Życie twe dotychczasowe ustąpić musi przed innym, wyższym, rzeczywistym żywotem. O witaj, witaj,

przyjacielu na nowój kolei!“ — W tem Fildynga zawołano w pilnym interesie. Silbert został sam niewiedząc, co o tem myśleć. „Bez wątpienia, rzekł, ksiądz ten niejest drugim Swedenborgiem, bo na to za rozsądny. Jego wykształcenie jest za wyniosłe i za rzeczywiste, abym go posądzał o cytowanie duchów, o szaleństwo lub guślarstwo. Zartuje ze mnie niezawodnie, i chce mię potworną maską jaką w nocy przestraszyć i tym sposobem do ślepej wiary w jej nakłonić. Oj, księżę, zobaczymy, kto z nas przestraszy się bardziej!“

Upłynęło dni kilka, a nienastąpiła żadna z nieboszczykami komedya. Śród rozmów potocznych przecież rozrzucił Fildyng przed przyjacielem perły swego przekonania, które zdawały się usposabiać go ku dalszym zamiarom. Dajemy tu czytelnikowi jedną ich garstkę: „W całym przyrodzeniu spostrzegać się daje coś Boskiego, zaczem nieśmiertelnego, i nie nauką, lecz wysoką sztuką dozwalającego się od znikomości oddzielać. Ze wszystkich kamieni i roślin wydobędziesz bowiem spirytus lub gaz pewien, który nieulega zepsuciu i zgniłości. W człowieku znajduje się także jeden promień wieczności, czyli pewna treść nieśmiertelna. Umiejętność, doszedłszy do téj wiedzy, ustaje. Jedynie sztuką, praktyką, zdołamy nasz spirytus, nasz gaz trwały, czyli mieszkającego w nas wiekiustego Fenixa wydobyć na dzienne światło, i uwiązać go na cudownej wstędze pewności, aby niepowrócił w dawniejszą przepaść nocy. — Człowiek zewnętrzny jest znikomym futerałem nieznikomego człowieka wewnętrznego. Mądrość prawdziwa ma celem swym, że tak powiem, rozdarciem, lub roztworzeniem tego futerału, téj ciemnej, grubej opony, i ujrzenie człowieka wewnętrznego w całkowitej czystości. Nie czczą myślą, lecz okiem, zmysłem, palcem ujrzeć go trzeba. — Żywot jest jedną z sił pierwiastkowych. Siła ta buduje sobie z ziemi dom i bogate w nieskończoną rozlicność form ciało. Ona władając ziemią i stojąc w związku z niebem, tworzy, oraz rozpladza tu wszystko. Bog jest jądrem, korzeniem wszelkiego życia, naj-

wyższym, najprawdziwszym żywotem. W przyrodzeniu żywot rozlewa się oceanem i utracą swój środek. W człowieku skupić się on znowu zdoła, jak w Bogu, i uczuć przez to własną iścieżnę. W Bogu panuje żywot wewnętrzny w swęj czystości, mądrości najwyższęj i wszechmocy; w naturze objawia się żywot zewnętrzny, a w człowieku zewnętrzny i wewnętrzny. Kto oczyścił się z żywota zewnętrznego i rozpałił w sobie żywot wewnętrzny, staje się obrazem i podobieństwem Boga, Bogiem człowiekiem, lub też człowiekiem rzeczywistym. Ten tylko przejrzał istotnie, przejrzał okiem niecielesnym, kto spostrzegł żywot wewnętrzny. Żywot ten jest istotą człowieka i ma boskość, wieczność, nieśmiertelność swym charakterem. Jak bezpośrednio pewien jest żywota zewnętrznego i samego siebie człowiek zewnętrzny; tak bezpośrednio pewien jest żywota wewnętrznego i samego siebie człowiek wewnętrzny. Ujrzyj twego wewnętrznego Adama! Oto najpierwsze zadanie dla człowieka, pragnącego wyrobić się na mędrca! — Głębszy badacz przyrodzenia dostrzega trzy rodzaje ludzi. Pierwszy rodzaj stanowią ci, których biblia zowie prostaczkami. Charakterem ich duchowa bierność. Czego ich nauczono, w to uwierzyli święcie, a ślepo i wykonywają mechanicznie. O przyczynę ostatnią niepytają nigdy. Jestto żywy zegar, którego kółkami wewnętrznymi są: powaga, rozkaz z góry, zwyczaj, świecki i duchowny nauczyciel. Idzie on regularnie tak długo, dopóki sznur i ciężar ważą należycie na jego ukrytych kółkach. Drugi rodzaj ludzi stanowią ci, w których rozbudziło się myślenie. Charakterem ich czynność ducha. Tu należą filozofowie, metafizycy, fizycy, teologowie, lekarze, prawnicy, słowem Uczeni. Im jest terażniejszość za ciąsna; badają więc przeszłość, porównywiają czyny, charaktery, myśli, teorye i pragną być sprawcami lepszej przyszłości. Umiejętności i sztuki winne są im swój początek i dalsze kształcenie. Są to panowie, rządcy i nauczyciele prostaczków, mimo tego, że niezgodni są z sobą, idą w najsprzeczniejszych kierunkach, i że przeznaczeniam ich usta-

wieczna kłótnia wśród materyałów niesfornych odmętu. Prostackowie przedstawiają raj; Uczeni rozstali się z rajem i przedstawiają świat. I ci, i owi dalecy są od istotnej prawdy. Zajmuje ich ciągle zewnętrzna i znikoma, materyalna lub spirytualna, realna lub idealna łupina, a łamiąc na niej swe zęby, wypływają z krwią wewnętrzną, nieznikome, boskie, niebiańskie rzeczy jądro. — Trzeci rodzaj ludzi nakoniec stanowią ci, co rozstają się ze wszelką podaną sobie od świata duchową plewą i zwyczajną potrawą, a porywając za stracone jądro rzeczy, ratują wśród człowieczeństwa wewnętrznego żywot, wyższą naturę i wiekuiącą prawdę. Teraz odsłania się nowy i rzadko komu znany widnokrąg badania. Pielgrzym ziemski porzuca tu smugi skończenną czasowości, wstępuje w święte obszary Boga, nabywa od Ojca swego w niebiosach sił nadprzyrodzonych, wyrabia się na wewnętrznego, rzeczywistego człowieka i zdobywa własną nieśmiertelność. W jego oczach traci znaczenie uczoność zwyczajna i wszelkie zewnętrzne prawodawstwo, wszelkie twierdzenie świata. Jego rzeczą, nie czytanie lub pisanie ksiąg, ale czyn, żywot. On przyszedł już do krynicy świętej, z której wypływa istotna wiedza i dzielność, a napiwszy się z niej kanaru, zdoła ugasić i innym pragnienie. Jest to raj odzyskany, albo raczej dzielnica Boga-człowieka; powrót do niebios przed tron Ojca. — Nieśmiertelność leży w każdym człowieku, lecz jedynie jako runo złote, przeznaczone do zdobycia. Kto niezapragnie nigdy stać się czynnym, śmiałym Argonautą, straci ją na wieki i zniknie, jak zwierz lub roślina. Tylko ten będzie miał nieśmiertelność, co umiał ocalić w sobie wewnętrznego człowieka wśród powodzi i wirów zewnętrznego świata. Kto zaś tego niepotrafił, temu ucieknie życie i rozstąpi się w oceanie powszechnego życia, a ziemia wróci do ziemi. Komu udało się żywot wewnętrznego oczyścić od zewnętrznego, i skupić, ścisnąć, że tak rzekę, w twardy dyament; ten krajać będzie szyby do niebios, przerznie się aż do Boga i pozostanie przy nim na wieki. Kto z dyamentowego środka swego żywota roz-

strzeli się w nieskończoność i ogarnie samym sobą całość życia natury; będzie miał wszechmoc i mądrość Bożą. — Mgły dają rozpędzić się zewnętrznem światłem. Również światłem wewnętrznem rozpędzisz ciemności ducha, w których rośnie zwyczajna trawa ludzkości. Takie światło wydobądź sam z siebie. Jesteś stałą; ja dam ci krzemień. Byłeś ciemnym kometa; rozpal więc w sobie jaśniejące wewnętrzne jądro, a zabłyśnie wnet i długi kometyczny ogon rzeczywistego? Słońce karmi się, wciągając w siebie czyste światło planet, czyli robiąc się wszelkiego zewnętrznego światła w swoim obrębie ogniskiem. Zostań we własnem ciele takim słońcem! Skoro człowiek wewnętrzny zdobył sam siebie w przezrystym świetle żywota i w środku swęj istoty: niezaginie więcćj, lecz żyć będzie, tak długo Bogiem, i tak niezawodnie, jak że ty zostaniesz w czasie prorokiem!“

Silbert przysłuchiwał się takim rozprawom, zelektryzowanym bywał aż do żywego niejednem zdaniem i rozamiętywał całemi nocami to lub owo wyrzeczone słowo. Po pewnym czasie atoli odezwał się do Fildynga: „Księżo, niemarudz i niemajacz mi dłużej! Pokazujesz mi zdaleka pewne nowe światelka, a nieprzystępujesz wcale do rzeczy. Swiatelka twoje błyszczą czas pewien i znikają, jak nocne ogniki na ciemnych bagniskach. Między nimi nie dostrzegłem ani nawet rakiety. Odłoń mi słońce samo, lub wyznaj, że niejesteś w stanie!“ Fildyng odpowiedział: „Niepojętny jesteś, mój przyjacielu! Ja sądziłem, iż przekonać byś się już był powinien, że nie kto inny, tylko ty sam masz odsonić sobie to słońce. S. Jakim sposobem? F. Siałem najwyborniejsze, najzdrowsze ziarno w twęj piersi. Pielęgnuj, opielaj ten zasiew, pracuj nadewszystko pilnie, a doczekasz się żniwa! S. Ja już rozważyłem z każdej strony twe słowa, a przecież o nieśmiertelności duszy przekonać się niezdolałem. Powiedzże mi coś stanowczego, jeżeli możesz! F. Doktryner, dysputant, rzecznik jesteś zatwardziały. Czyliżes zapomniał, com twierdził, że nieśmiertelność daje się okazać, nie rozumowaniem, nie syl-



logizmami i słowami, lecz życiem, czynem, praktyką? S. Zapoznajże mię więc z tem, jak mam żyć, co mam czynić i jaką trudnić się praktyką! F. Zgoda, ale przyrzecz mi raz jeszcze odwagę, wytrwałość i posłuszeństwo; przyrzecz mi, iż pragniesz zostać najpotulniejszym mym uczniem! S. Przyrzekam uroczyście i święcie. F. Siadajże więc natychmiast do powozu i wracaj do domu. Uwolnij się, ile możesz, od zewnętrznych zatrudnień, bo te nas rozrywają; ty zaś tymczasem masz nauczyć się sztuki całkowitego zebrania się w samym sobie. Niepij ani wina, ani piwa, żadnego rozpalającego napoju. Trzeźwość bezwarunkowa, to twój cel. Jadaj niewiele i nader skromnie. Spartańskiej polewki czarnej talerz i kawałek chleba, dość na tem. Chrystus, pragnąc utwierdzić się w otrzymanej wprost z niebios mądrości nadziemskiej, pościł dni czterdzieści. Ty pościł jeszcze dłużej powinienes, bo chcesz dopiero mądrość tę zdobyć. Post oczyszcza wewnętrznego człowieka z prochu światowości i przywodzi go najsnadniej do własnego uczucia. Zatrudnieniem twem jedynem niech będzie poznanie jaźni własnej. Dzień i noc myśl: czem jest moje Ja? Jeżeli wypadki twego myślenia staną ci się zupełnie widoczne, tak np. jak meble twego pokoju, jeżeli jaźń twą ujrzysz gołem okiem; rozwiążesz dane ci zadanie. Pracuj, byś okazał się godnym dalszej mej nauki i niewracaj do mnie, aż za miesiąc pięć. Po upływie tego czasu przyjedź tutaj i proś mię o examen. Teraz, bywaj mi zdrów! — Fildyng wyrzekłszy te słowa, odszedł do chorego. Silbertowi niepozostało nic innego, jak kazać zaprządz i wrócić do domu.

Po pięciu miesiącach przybył Silbert znowu na wieś i uściskawszy księdza Fildynga, tak mówił: „Otóż jestem przed Tobą, twarde, surowy Panie nauczycielu, ażebym zdał ci sprawę z najpierwszej mej nauki własnej. Wróciwszy od ciebie do domu, poddałem się pod ścisłą dietę,

wedle przepisu, i ta niezrobiła mi wiele przykrości, bom się do niej u ciebie nieco przyzwyczaił. Przyznam ci się, iż z początku cała rzecz wydawała mi się śmieszną. „Ksiądz, rzekłem, bierze mię w zakonną ascetykę. Bogu dzięki, iż przynajmniej nierozkazał mi biczować się co rano i wieczór. Mam myśleć własne Ja! Po co! Czyliż jestem dzikim człowiekiem, znającym siebie li ze swego nazwiska! — Chciałem cię wyszydzić i dać wszystkiemu pokój, ale niewolito mi do pracy uczynione ci przyrzeczenie. Zacząłem tedy zastanawiać się nad moją jaźnią i przekonałem się wkrótce, że jest to prawdziwie bezdenna przepaść we mnie zatopiona; że każdy wymawia słówko Ja, lecz rzadko kto zwrócił choć z lekka uwagę na głębokie jego znaczenie. Ja przynajmniej, mimo tego, że czytałem pilnie Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, nie miałem o znaczeniu słówka tego ani nawet wyobrażenia. Podaję ci ostateczne wypadki mego rozmyślenia: Jaźnią moją niejest me ciało, bo otrzymałem je naprzód od rodziców, a później od potraw, które przerabiam w nie mocą żołądkowego procesu trawienia. Jest to dobro cudze; wioska trzymana dzierżawą, domek z gliny ulepion, na krótki czas odemnie najęty. Jak z prochu powstało, tak w proch się obróci. Jaźnią moją niejest również ma dusza, bo ta jest jedną tylko iskierką z ogólnego ducha ludzkiego. Otrzymałem ją od rodziców w chwili, gdy wywoływali mię do bytu, albowiem, jak niema materji bez pewnych sił, np. ciężkości, nieprzenikliwości itp., tych najpierwszych objawów pracującego ducha w naturze, tak rodzice moi niemogli mi dać ciała bez duszy. Duszę tę karmiłem i rozszerzałem wpływem wychowania, nauki, czytania i rozmów z innymi ludźmi. Są to także potrawy, lubo niecielesne, choć cielesnym zupełnie odpowiednie, któremi niewidzialna, wewnętrzna ta obca mi połowica moja żyje i wzrasta. Dusza, duch, to li jednostkowe i ogólne myślenie, a wszelkie myślenie jest powszechną własnością. Płyń myśl po myśli, jak sekunda po sekundzie. Myślenie jest czasowością, znikomością, zaczem rzeczą świata. To nie moja sobistość, ale

dobro cudze, spiritualne powietrze, którem oddycham. Jak z ogółu wyszło, tak w ogół wraca już za życia, i rozplynie się w nim całkowicie po mej śmierci. Jaźnią moją niejest przeto ani materyalność, ani spirytualność; które dźwigam na sobie i w sobie, ale coś trzeciego, jądrowego. Co jest tem trzeciem, jądrowem? Człowiek wewnętrzny. Ten musi mieć w sobie boskość i nieśmiertelność, musi być tem, co zowie się obrazem i podobieństwem Boga. On musi mieć ciało nieznikome i duszę nieznikomą, gdyż inaczej nieprzylegałyby do niego tak snadno materyalność i spirytualność znikoma; sam przecież niejest ani ciałem, ani duszą, ale raczej spólnym ich rdzeniem i środkiem, pochodzącym od Boga, nie zaś rodziców i świata. Słowem, ciało stanowi świat mój realny, dusza świat idealny, a jaźń świat trzeci, świat boski. Tylko świat boski może być nieśmiertelny, tylko on zdoła być prawdziwą mą istotą. Poznałem tedy moje Ja, a to już przy końcu drugiego miesiąca. Zabrałem się do dalszej pracy, t. j. do ujrzenia tego Ja w takiej widoczności, w jakiej stoją przedemną rzeczy zmysłowe. Czyniłem, co mogłem, wszystko daremnie. Jaźń moja kryła się wciąż w głębi mej istoty i wyjść za nią nie chciała. Wtem począłem cierpieć niesłychany zawrót głowy. Jakiś ogień gore w mym mózgu i febra rozpala całe ciało. Bałem się, ażeby moje poszukiwanie niepowiodło mię do domu waryatów i chciałem je porzucić. Atoli spomniawszy na to, żem przyrzekł ci odwagę, wytrwałość i postuczeństwo, i że ty musiałeś przecie stan ten przewidzieć, mimo wewnętrznej boleści i trwogi pracowałem dalej. W czwartym miesiącu zdawało mi się, iż roztwarza się w jaźni mej wewnętrzne tajemnicze oko i że coś widzę, lecz w istocie nic niewidziałem. W piątym miesiącu zaczęły się snuć około mnie jakieś lekkie cienie i dziwaczne postaci. Znosiłem to wszystko, wszelakoż jaźni mej nieujrzałem aż dotąd z żadną widocznością.“ — Fildyng: Wybornie, mój uczniu! Więcej dociekleś i zrobiłeś, niż spodziewać się można było. O, pozwól, niech za dobry ten początek przytulę cię do piersi! Silb. Ale powieźże mi

przedewszystkiem, co znaczą te cienie i postaci, które mię otaczają? Czyli to niejest znakiem zbliżającego się obłąkania? F. Sądzę, iż ten, co sam widzi, zdoła najlepiej sobie to wytłómaczyć i rozjaśnić, co widzi. Ja oczami twemi widzieć niemogę, więc niewiem, co widziałeś. Twoja zdolność, której zgoła w téj chwili tak świetnie dowiodłeś, nie miałażby rozwiązać téj zagadki? S. Powiedzże mi choć tyle, czyli owe cienie i postaci są rzeczywistemi istotami z krain wewnętrznego żywota i czyli mają istotny byt za mną? F. Czy myślałeś kiedy nad tem, czem są senne widziadła? S. Czczemi marami, niczem więcej. F. Któż tworzy te mary? S. Dusza marząca, ruch krwi, humor naszej istoty i mnóstwo podobnych rzeczy. F. Otóż odpowiedziałeś sam na twe pytanie, S. Jak to? A więc jedynie w nas, nie zaś za nami są duchy? Zaczem nieboszczki, z którymi mię zapoznać przyobiecалеś, mają być li fantazmagoryą głowy cierpiącej gorączkę? F. Wszystko to prawda, lecz tylko dla naturalnego, zewnętrznego człowieka. Człowiek nadnaturalny, czyli wewnętrzny wchodzi z podobnemi do siebie istotami w związek, bez względu na przestrzeń i czas. Dla niego tak zwane duchy, lub też nieboszczyki mają przedmiotową i realną wartość. S. Coś rzekł, wydaje mi się, — lecz przebac wyrażeniu, — niedorzeczności; może dla tego, iż niepojmuję cię należycie. F. Pojmiesz mię, po dłuższej praktyce i wprawie w rozpoczętem dziele. S. Ale owe cienie i postaci, mamże je za nic uważać? Czemuż więc mię trapią i obłąkaniem mi grożą? F. Kto powiedział, że masz je za nic uważać? Ja tego nierzekłem. Dla istotnego badacza przyrodzenia żadne zjawisko niejest rzeczą obojętną i niegodną bliższego poszukiwania. — Już Pytagros mawiał do swych uczniów, iż senne widziadła dali Bogowie ludziom, chcąc zwrócić ich uwagę na świat wyższy, wieczny, nadziemski. Senne widziadła, to działalność naszej czystej, czyli od zewnętrznego świata uwolnionej jaźni; to dusza Platona, uglądająca w pewnych szczęśliwych chwilach bez cielesnej opony, co niegdys w niebie widziała. Czy przypominasz sobie tyle snów,

historycznie udowodnionych i dziś jawiących się tu i owdzie, co były przepowiednią, później co do joty sprawdzoną? Sen jest stanem jaźni proroczym. Jest to somnambulizm jaźni, którego co noc doświadczamy. Czytałeś cuda somnambulizmu, które zatrudniają już od dawna naturalistów? Sądziście może, iż to czcze brednie? — Człowiek śpiący, ten obraz trupa na marach, zwiedza kraje, okolice, miasta, góry, lasy; widzi zwierzęta i ludzi ze stron dalekich, widzi Żywych, Umarłych i Jeszcze nieurodzonych; żyje wśród nich, rozmawia i działa z nimi; słowem przebywa w innym, lepszym świecie, tak zupełnie, jak jaźń nieśmiertelna, co opuściła na zawsze swe ciało. On cieszy się tu wewnętrznym żywotem; nie jest ograniczon przeszczerzeniem i czasem; przeniósł się w krainy wieczne i jest wszędzie, gdzie zechce, jak Bóg; posiada pełną świadomość samego siebie; myśli i czuje, jak na jawie; przypomina sobie zgoła po przebudzeniu się ze snu, wszystko, co widział. I cuda te, miałyżby swój początek we krwi i humorach ciała? Jedyne płytkość tak mniema; jedynie materialista tak sądzi! Cuda te sprawia budzący się człowiek wewnętrzny w chwili, gdy człowiek zewnętrzny zasnął. Senne marzenia dają nam wielką naukę, którą jest: „Uśpij w sobie człowieka zewnętrznego, a rozbudzisz przez to twego wewnętrznego człowieka!“ Sen powiada nam wyraźnie, że pod skórą, mięsem i kośćmi znajduje się w nas cudowny żywot; że pod powłoką cielesną jest w nas istota działająca, czująca, mająca nawet osobne swe zmysły. Słupy, kto tego nieuznaje! Tak jest, senne marzenia są najpierwszym dowodem swobodnej, żywotnej, wyższej w nas istoty, która bez naszej woli i chęci porusza się, jak sumienie; tworzy i w utworach swych znajduje upodobanie. Jest to fenix, występujący co noc żywcem ze swego dziennego, t. j. zewnętrznego światowego popiołu. — S. Ach, Księżę, niedając mi wcale jasnej pochodni, wprowadzasz mię bez litości coraz głębiej w ciemne labirynta! F. Przez ciemne labirynta idzie droga do świątyni wewnętrznego żywota i nadziemskiej mądrości.

Chcesz, czy niechcesz, musisz już wędrować tą drogą. Tak jest, wędrowka przez ciemne labirynta jest losem twym dalszym. Żywot wewnętrzny leży przed tobą jeszcze od-mętym: ty sam masz wydobyć z niego słońce i nowy twój uporządkować. — Senne marzenia są dla tego jedy-nie, aby nam roztworzyć jaźniowe oko, i dać pierwszy po-pęd do wyższej, szlachetniejszej, najgodniejszej człowieka pracy. Jest to transcendentarność w nas żyjąca i na-gląca nas swym conocnym jawem, byśmy się nad nią za-stanowili. To część niebios, pozaświat, wieczność w naszej piersi. Skazówka ta naszego początku nadmysłowego ma być podstawą twego badania, czyli i czym jest nieśmier-telność? Człowiek jest zbyt zajęty światem zwyczajnym i dla tego bóstwo w nim drzymiące przypomina mu we śnie o świecie nadzwyczajnym. Zgłębić aż do dna należy świat ten nadzwyczajny, a pozyskamy taką dzielność, co Chorzy, znajdujący się w tak zwanym stanie magnety-cznym, to jest, iż jaźń nasza nietylko we śnie, lecz na jawie, spoglądać będzie swobodnie w świat boski, i ujrzy dziwy, których przez żadne szkiełko niedostrzeże oko zwy-czajnego mędrca. Kto wśród jawu patrzy na senne cuda, ten widzi istotę rzeczy w kształcie Słowa Bożego, taką istotę, jaką był każdy przedmiot w niebie, nim oblokł się w sukienki zmysłowej znikomości. Kto wśród jawu oglą-da, jak we śnie, rzeczy istotę, postawił się na stanowisku jasnowidzenia, jasnoślyszania i jasnoczucia, a przed jego zmysłem pęka wszelka kurtyna. On jest, równie jak Bóg, panem bezmiaru w przestrzeni i czasie, i jeśli wy-kształcił się na istotnego mistrza, zdobędzie nietylko ma-drość nadziemską i nieśmiertelność, lecz także pewną czą-stkę Bożej wszechmocy. Jeżeli zechce, będzie Herkulesem lwy dławiącym i sam jeden rozpedzi liczne wojsk za-stępy! — Filding rzekłszy to, odszedł do kościoła. Silbert bawił u niego trzy tygodnie, oddając się niewinnym wsi uciechom. Gdy miał odjeżdżać, rzekł do niego proboszcz: „Przyjacielu! Dawniejsze twe zadanie tak rozwiązałeś: Jaźń moja jest moim człowiekiem wewnętrznym. Jest to pra-

wda; ale czem jest ten człowiek? Starajże się teraz dociec, czem jest człowiek wewnętrzny, nie tylko twój, lecz mój, każdy inny, czyli w ogóle. Lecz niedość. Staraj się ujrzeć twego człowieka wewnętrznego, czyli jaźń własną na żywe oczy! — Dla roztargnienia się wśród pracy, czytaj w tej oto książeczce, którą Ci podaję. Jest to zbiór historii o nieboszykach, oraz powieści nadzwyczajnych, mających związek z twojem zadaniem. Znajdziesz tu trzy powieści z pewnem zastosowaniem do Ciebie, to jest Nieboszczka prorokini, Sobowtór i Opętana. Inne powieści są bez objaśnień. Wolno Ci je objaśniać sobie, skoro objaśnienie samo się nawija. Inaczej daj pokój, bo mógłbyś popaść w błąd wszystkich filozofów, którym objaśnienie, czyli zrozumienie, większą ma wartość od samejże rzeczy. — Pracuj teraz przez miesiące sześć i żyj ascetycznie, jak dotąd. Dopiero po upłynionym tym czasie pozwalam ci, abys mię odwiedził. Bądź mi zdrów i pamiętaj o danem przyrzeczeniu!”

Po sześciu miesiącach przyjechał Silbert do Fildynga i mówił: „Pytanie, czem jest człowiek wewnętrzny, tak rozwiązałem: Jest to człowiek jądrowy, wieczny, święty, pochodzący z niebios, stanowiący w przedświecie, świecie i pozaświecie, czyli przed urodzeniem, teraz i po śmierci, życia naszego posadę. Jeżeli żywot wewnętrzny jest żywota tego jądrukropowym wyrazem i objawem. Widzę dookoła siebie nieboszyków, widzę wszystkich Umarłych, nawet ojca i matkę, lecz jaźni własnej ujrzeć niemożę.“ Fildyng rzekł na to: „Jest to znakiem, iż niezdołałeś jeszcze twego człowieka uwolnić należycie od terażniejszości, w której żyje człowiek twój zewnętrzny. Ale ujrzałeś już ojca i matkę, t. j. dwie jaźni najbliżej z tobą spokrewnione. Jest przeto nadzieja, że wkrótce zobaczysz jaźń własną. Musisz koniecznie znaleźć samego siebie, musisz ujrzeć się w czystości twego wiecznego początku. Dla tego szukaj na nowo przez trzy miesiące twój jaźni, a przytem zbadaj, czem jest jądrowa natura w ogóle.“ — Po upływie trzech miesięcy,

rzekł Silbert do swego nauczyciela: „Jądrowa natura jest słowem Bożem, wiecznem słowem wszechmocy, stanowiącem niezmienny korzeń całego istnienia i każdej rzeczy. Świat jest tylko zbiorem gałązek, liści i kwiatów, rozwijających się z tego korzenia i przemijających, że tak rzekę, rok rocznie. Widzę nieboszczyków, jakich tylko zażądam; widzę Sokratesa, Platona, Cezara i Bonapartego, skoro im rozkażę, aby przedemną stanęli; widzę powietrze przepelnione dookoła mnie cieniami Zmarłych, lecz jaźni własnej ujrzeć nigdzie nie mogłem. I tracę nadzieję dopięcia tego celu, gdyż jaźń moja należy do Żywych, nie zaś do Umarłych. Fildyng: I owszem, należy ona jeszcze do Umarłych! Skoro ożyje rzeczywiście, stanie przed tobą, i ujrzysz ją tak, jak inne wiecznie żywe jaźni istotnych nieboszczyków. Myślże więc teraz przez rok cały, czem jest słowo Boże w Tobie i staraj się jaźń własną ożywić.“ — Po roku mówił Silbert: „Słowo Boże we mnie, niemoże być czem innem, tylko bóstwem. Bóstwo nie jest częścią świata realnego, ani częścią świata idealnego, lecz stanowi wszędzie świat trzeci, równie odmienny, jak dwa światy pierwsze, świat boski, zawierający się i przepływający z całą swą cudowną mocą w udzielną jednostkę. Bóstwo w człowieku jest tem, czem słowo Boże w rzeczy, lecz jest i czem więcej. Jest żywotnem, gorącym tchnieniem Boga w ostateczne swe stworzenie własną istotą. Bóstwo nie jest Bogiem, lecz ostatniem najdoskonalszem Jego dziełem. Jest to *vivum summarium omnium Dei verborum*. Dla tego własnością jego jest świadomość, oraz zdolność poznania wszystkiego na świecie. Z nieboszczykami rozmawiam, ilekroć zechcę. Prawią mi dziwy o tamtym świecie i o wiekuistym życiu. Ojciec i matka ciągle niemal znajdują się przy mnie. Jaźni méj przecież uchwycić za sobą nie mogłem. A więc jeszcze nieożyła!“ Fildyng: Rozstań się teraz z całym światem; zamknij się w twem mieszkaniu i nierozmawiaj z nikim. Myśl bez najmniejszej zewnętrznej przeszkody, czem jest tve bóstwo, a może ujrzysz jaźń własną i znajdziesz samego



siebie. Gdy się to stanie, dopiero wróc do mnie. Inaczej rzeknę o tobie: Oleum et operam perdidisti!“ Uplęnęło pół roku. Silbert stanął przed proboszczem i tak mówił: Zamknąłem się w mój izdebce, wedle twego rozkazu, a wylamanem w ścianie okienkiem podawano mi, jak mnichowi na pokucie, lub ciężkiemu zbrodniarzowi w więzieniu, żywność. Teraz owoce mój samotnej pracy: „Bóg jest najwyższą istotą we wszechświecie, i dla tego niema odpowiedniego sobie predykatu, czyli omówcy. O Nim powiedzieć można właściwie li: Bóg jest Bogiem. Bóstwo jest również najwyższą istotą w człowieku; nieda się przeto opisać. Bóstwo jest bóstwem. Długo daremnie pracowałem nad znalezieniem samego siebie. Nareszcie przed tygodniem ujrzałem, jak w powieści twój kapitan v. Haerdteck, sobowtóra. Niechciałem z początku wierzyć mym oczom; lecz codziennie staje przedemną. Zaczem widzę teraz jaźń własną na żywe oczy i przybywam do mego mistrza.“ Fildyng: „Witaj, witaj mi drogi! Poznałeś drzewo twe święte aż do rdzenia, uwolnione od wszelkiej kory doczesnej; ujrzałeś istotę własną, jaka była przed urodzeniem i jaką będzie po śmierci! Silbert. Powiedźże mi, dla czego wypadek ten ostateczny kosztował mię tyle lat i mokołu, gdy tymczasem ów kapitan doszedł do niego tak snadno? F. On był prostaczkiem, ty zaś Uczonym, a nadto Skeptykiem bez wiary. Z rajy bliższa jest droga do niebios, niż ze świata, a dla prostaczków stoi otworem brama do Królestwa Bożego. S. Przekonałem się już na nieboszczykach, że jest nieśmiertelność, Księżo, radbym iść dalej! Co mam czynić ku pozyskaniu mądrości nadziemskiej, ku zostaniu prorokiem? F. Skoro tak się rzecz ma, to siadaj ze mną na brykę. Udamy się w małą podróż. Zawiozę cię do mojego nauczyciela Mohrlanda, którego znasz już z danych ci odemnie powieści. On cię dalej powiedzie. Przestrzegam cię tylko, bądź pilny i pracowity. Inaczej go znużysz i mógłby cię napowrót do mnie odesłać. Silbert. Zaczem Mohrland rzeczywistą jest osobą i żyje? — Cie-

szę się, jak dziecko iż mię z nadzwyczajnym tym człowiekiem zapoznasz!“

Przyjechali do Mohrlanda, który ujrzawszy proboszcza, zawołał: „Co widzę, brat mój! Jakże się miewasz, ukochany! I cóż cię do mnie przyprowadza? Może wiesz mi nieznanego Naszyńca?“ Fildyng odpowiedział: „Nie naszynea, bo tego byś natychmiast poznał, ale dopiero Cwiercnaszyńca, który dopiął już tyle, że widzi nieboszczyków i znalazł samego siebie we własnym wiecznym pierwowzorze. Przywożę go tu z sobą, abys mi dopomógł prowadzić go dalej na drodze, wskazanej nam przez wewnętrzną naturę. O twardego to człowieka, i twar dości swój jeszcze niestracił!“ Mohrland, spojrzawszy na Silberta od dołu do góry, powitał go ujrzejmie i rzekł: „Młody mężczyzna i prześlicznie zbudowany! Matka natura mieć będzie z takiego syna wiele radości.“ Silbert, przypatrzawszy się również dobrze Mohrlandowi, przypomniał sobie, że go dawniej już widział. Ale, gdyby mu kto rzekł naówczas, iż uda się później do tego prostego górnika po naukę, nazwałby go szalbierzem. Mohrland mówił do Silberta: „Natura, mój przyjacielu, podług niezmiennych praw, idzie wiecznie jednostajną swą drogą. Prawa te poznać należy w samym jej sercu, a pozyskamy, jak ona, tenże bieg wieczny i spokojny. Żyć wedle tych praw i panować nad nimi wszechwładnie, jest człowieka wewnętrznego powołaniem. Wiem, iż postąpicieś już daleko; jeszcze atoli nie przy końcu podróży. Dla tego śmiało naprzód, a trafisz do kresu! — Długoż tu u mnie zabawicie?“ Fildyng odrzekł: „Trzy dni.“

Przetoczyły się spiesznie dwa pierwsze dni wśród rozmów, nadających Silbertowi pewne namaszczenie w świeżo odrodzonej jaźni ku dalszym, nieznanym mu jeszcze pracom. Trzeciego dnia rankiem, rzekł Mohrland: „Potrzeba też nowemu przyjacielowi naszemu pokazać miejsce mego

codziennego zatrudnienia. Jeżeli się Wam podoba, pójdziemy w góry i spuścimy się pod ziemię do głównej kopalni złota.“ Ksiądz i adwokat przystali na to; udano się więc w drogę. Ciasnym otworem, jakby czeluścią od piekła, spuszczone się na koszach i linach w przepaść kilka set sążni głęboką. Mohrland pokazywał gościom swym przez czas niejaki różne mineralogiczne i geognozyjne osobliwości. Później zaprowadził ich do pewnej pieczary, mającej kształt rozległego pokoju i kazał przynieść śniadanie. Po lekkim posiłku rzekł: „Oto najmiłsze mieszkanie moje! Tu nauczyłem się mądrości nadziemskiej i teraz jeszcze rozmyślam tak o tym, jak tamtym świecie, o ziemi i niebie. Siedząc, że tak powiem, w środku żywota matki natury, siedząc w tym grobie, odkryłem wyjście z rzeczywistego grobu i zmartwychpowstanie ku wiekiestemu życiu. Z dołu, z ziemi ma wydobyć się wszystko, co chce posiadać istotną wartość. W całym wielkim przyrodzeniu nieznajdziesz bowiem ani jednej roślinki czysto wodnej, powietrznej, lub ogniowej, wszędzie ziemia jest calcem i kardynalną treścią. Z ziemi wychodzi wsze Dobro ziemi. Większą część życia mego przepędziłem tam na górze, wśród milionowego roztargnienia, jak to zwykle. Dopiero w późniejszym wieku dozwolił mi los mieszkać w tej świątyni zebrania się w samym sobie i wyższego natchnienia. Tu rozpędziłem mgły i chmury, oblegające prawdziwy żywot człowieka, tu pozyskałem nieznaną mi dawniej równowagę jaźni, a z nią zbawienie, o jakim tam pod słońcem nikt niemarzył“ — Silbert, postępując to, padł do nóg Mohrlandowi i błagał, ażeby go w tej podziemnej Odalisce świętej zostawił i wziął w dalszą naukę. Nadgórnik, jak naturalna, przystał na to, i tak dalej mówił: „Widziałeś drogie kruszce w samym ich zarodzie. Skądże ta ich wyborność, ten blask, barwa i dźwięk? Tu państwo piekielnego Plutona! Przedzierają się blask, barwa i dźwięk Olympu aż do głębi ciemnic Orku! Czy w Plutonie żyje dzielność Jowisza! Czy Jowisz sam mógłby istnieć bez Neptuna i Plutona? Wszędzie jest światło,

wszędzie powietrze i woda, wszędzie siła metaliczna. Niebo jest w ziemi, a ziemia w niebie. Powietrze i woda są właściwie pracownikami, których przeznaczeniem, przygotowywać, obrabiać i czyścić rozliczne nieba z ziemią mięszaniny. Natura ze wszystkimi swymi niebami jest jednością. Człowiek także może stać się tą jednością, a przeniosłszy w swą całość potęgę całości, wystąpić jako pewnego rodzaju wszechmoc. — Człowiek jest żywotem, jawiącem się w kwiecie powszechnego żywota. W jakim stosunku stoi on do całości natury? Człowiek jest ciałem, duszą i jaźnią. Ciało jego jest ziemią; dusza, w której porusza się sterowa myśl, jest niebem pełnym światła; a jaźń, to architekt, rządca, sternik w tym materialnym świecie. Uczucie i czyn w jaźni, która jest bóstwem, to powietrze i woda. Anaxymenie i Talesie, jak głęboki był wzrok wasz, robiąc powietrze i wodę pierwiastkami przyrodzenia! Jak Jowisz ziemię, tak myśl ma przeniknąć ciało, ma je przeniknąć aż do dna, aż do dzielnic Plutona. W takim razie jaźń przyjdzie do równowagi z sobą i swym ciężarem, to jest człowiek wewnętrzny z zewnętrznym człowiekiem; przyjdzie także do równowagi z nieskończoną naturą, tym zewnętrznym człowiekiem bez granic. Byt jaźni stanie się tak wieczny, a moc jęj tak wielka, jak byt i moc pierwiastkowych potęg we wszechświecie. — Jak dojsć do tej wielkiej, niezmierzonej, boskiej równowagi? Jak zdoła myśl zlać się z ciałem w bezwarunkową jedność i oddać się w moc jaźni zupełną? Światło ze wszystkimi swymi siedmiu barwami przenika ziemię aż do tych pieczar Hadesu. Również myśl powinna przeniknąć ciało. A co stanowi barwy czyli odzienia myśli? Mowa, liczby i formy. Nowy nasz przyjacielu! Przez całe twe ciało, przez wszystkie członki, organy, muszkuły i nerwy, rozlej językową zdolność mówienia, liczenia i formowania myślowych postaci! Gdy to potrafisz, stanie ci się własna twa istota, ludzka historia, ziemia, niebo i Bóg sam rzeczą na wylot przejrzy-

stą. Bądźże mi zdrów, a ponieważ należysz do Twardych, odwiedzę cię dopiero za miesiąc. Pracuj pilnie nad otrzymaniem zadaniem. Potrzeby twe zaspakajac będzie jeden z mych pracowników.“

Po miesiącu przyszedł Mohrland do swojego więźnia i zastał go w okropnym stanie. Wzrok jego obłąkany, włosy, najeżone, usta przekręcone na wywrot, jakby gwałtem jakim zewnętrznym. Zapytał go: „Jak się masz przyjacielu?“ Silbert zerwał się na to: jak ze snu głębokiego i rzekł: „Ach źle, źle, dłużej niewytrzymam! Potwory, jakich niema pod słońcem, otaczają mię dookoła i przesładują bez miłosierdzia. Tu wielki, czarny pies trójpaszczysty szczeka na mnie przeraźliwie, i wyszczerzywszy tryłokciowe zęby, chce mnie rozszarpać. Tam roztwierają ogromną beczkę, wybitą wewnątrz ostremi goździami i chcą mię w nią tacać. Z innej strony stoi obrzydliwy olbrzym, i chce mię przywalić mtyńskim kamieniem. Zewsząd snują się tłumy poczwara piekielnych. Słyszę szatańskie dysputy, wyszydające wszelką świętość i miotające przekleństwa najzuchwalsze przeciw Bogu, oraz wszystkim stworzonym od Niego bóstwom. Z cnoty, z moralności i mądrości, której się uczę, wszędzie szyderstwo. Gwizdy i pohuki zbójcekie, jęk mordowanych, wrzask hien i lampartów, to muzyka mych uszu. Nawet w tej chwili, gdy z tobą mówię, widzę, słyszę i czuję to wszystko. A każde słowo, każdy świst dziki, przedziera się do głębin mój jaźni i wierci mi w mózgu, jak świdrem. Żywot mój wewnętrzny zaplątał się w rozbrat sam z sobą. Po mój skórze płonie ogień, tak, iż mniemam, że mię smażą w goręcej smole. We wnętrzościach kołysze się rozhukane morze. Serce, ach serce ze mnie uciekło! Szukam go i nieznajduję. Przekonasz się sam, że nic na lewym mym boku niepuka i że pulsa me niebiją. A przecież życie mię nieopuszcza. Pod czaszką mój głowy szumi i łoskoce coś, jakby wichry w skale Eola. Ach! co cierpię! Stan mój przechodzi ludzkie siły!“ — Mohrland podał przyjacielowi rękę i uczuł gwałtowny ogień w jego żyłach. Oczy jego przelatowały szybko z miejsca

na miejsce, lękając się spocząć na jakimkolwiek punkcie. Usta jego drgały konwulsyjnie, a zęby dzwoniły, jakby je trzęsła febra. Mohrland, nie tracąc przytomności, rzekł: „Bracie, bądź mężem, nie tchórzem, a wszystko skończy się dobrze. Wiem, że bóg twój ciężki, bom go sam doświadczał, lecz słodki tryumf cię czeka! Silbert: Tak jest, słodki! Oto w owym kącie oglądam bramę do niebios, lecz smoki ogromne zasłaniają natychmiast ją nocnymi swemi skrzydłami! Mohrland: Owa brama do niebios, to cel twój walki. Musisz ją zdobyć, jako bohater wiecznego żywota. Potwory, które ci ją zasłaniają i które przesładują cię zewsząd, usiłują cię od niej odpedzić, są to naturalne przeszkody do wejścia. Sam Bóg postawił przed bramą tę srogich strażników, chcąc grzesznikom, niedołęgom i próżniakom wstęp utrudzić. Przeszkody te mają początek, nie w kim innym, tylko w tobie. Jest to światowa mądrość, twe umiejętności i nauki, którym hołdowałeś tak długo. Oddzielając się wreszcie od właściwej twój jaźni, występują przeciw tobie w najprawdziwszej swój postaci, to jest jako potęgi mitologicznego Tartaru. Szukają zemsty za to, że je opuszczasz, i jak silnie je dawniej kochałeś, tak silnie dziś cię dręczą. Ale znak to dobry, bo świadczy, iż uczyniłeś nowy krok naprzód. Brytan trójgłowy, to Cerber, broniący ci wstępu do Elizyum. Jest nim dawniejsza twa filozofia. Poczwały i potwory, to Furye i Eumenidy, czyli dawniejsze twe umiejętności i nauki. Lecz śmiało, przyjacielu! Staw im czoło spokojne, a ustąpią, przepadną w nic, z którego powstały, i wolne wejście do niebios ci zostawią. Wyrzecz się aż do dna jaźni dawniejszej twój niewiedzy, którą zwałeś zarozumiałe wiedzą; wyrzecz się starych twych myśli, uczuć i chęci, a straszdyła znikną. Pracuj i walcz! Inaczej niezdobędziesz złotego runa! Teraz opuszczam cię na dwa tygodnie.“

W wyznaczonym czasie wrócił Mohrland i ujrzał adwokata tarzającego się konwulsyjnie po ziemi, tudzież krzyżącego coraz to innym tonem. Usta jego były spienione.

Słowem, przypominał psa wściekłego. Nadgórnik zawołał: „Jak się masz, Silbercie? Co porabiasz? Szalony siadł w kuczkach na ziemi i mówił: „Ach, co się ze mną dzieje! Czerdzieści i cztery tysiące szatanów wstąpiło w me ciało, wrzeszcząc ze mnie czterdziesto-czterotysiącami cudzoziemskich nieznanymi mi języków, a każdy innym głosem. Miotają mną, jak widzisz. Ręce i nogi mi połamią; roztrzaskają głowę na miążgę!“ Ledwie to wyrzekł, porwały go demony, ciskając nim na prawo i na lewo, wrzeszcząc różnym tonem i różną mową. Mohrland, podniosłszy go z ziemi i kazawszy mu stać prosto, jak rekrut, mówił: „Piekło to było od dawna w światowej twój jaźni i nieczułeś go wcale. Gdyś rozstał się całkowicie z ulubioną niegdyś filozofią, wystąpiło z ciebie i straszło cię zewnątrz marami. Stawileś rycerskie czoło marom, i przeszły znowu w ciebie, ale jako zewnętrzność od Ciebie odrębna, aby cię trapić w samym szpiku. Jest to z ich strony krok ostatni, krok rozpacz. Wytrzymaj tę napaść, a ustąpią i przepadną na wieki. Tylko przez piekło idzie droga do nieba. Sam Chrystus musiał poddać się temu prawu. Zaczem, odwaga i wytrwałość! Chwila zwycięstwa już bliska. Silbercie! Czy przypominasz sobie historią Karoliny Ruppert? S. Umiem ją na pamięć. M. Wiedz przeto, iż znajdujesz się teraz w jej stanie, w który wpadłeś, nie chorobą, lecz swobodną wolą i własną siłą. Znasz sposoby, któremi ją leczyłem. Użyj tychże samych środków i lecz się sam. Stój prosto, trzymaj się silnie na nogach, czuj w sercu twoje Ja; módl się z pokorą najgłębszą, słowem czyni, co Karolina czyniła! Silb. Wleźże w końce mych palców ogień żywotny!“ Mohrland zdawał się namyślać przez chwilę, rzekł wreszcie: „Ty sam powinienbyś ogień ten w palcach rozpalić. Lecz zostawmy to na czas późniejszy, boś bardzo twardy. Podaj obie ręce w me dłonie!“ Silbert uczynił jego woli zadość, i czuł, że siła żywota w końce palców mu wstąpiła. Mohrland zaś mówił: „Przyjacielu, masz warownią i tarany przeciw piekłu. Zaczem doboju! Za dwa tygodnie cię odwiedzę.“

Czasu swego ukazał się Mohrland znowu i napotkał ucznia w stanie dość spokojnym. Silbert tak prawił: „Długo walczyłem z piekłem mych piersi i wnętrzości, lecz stojąc krzepko na nogach i dotykając końcami palców miejsca zboleła, pokonywałem je dość szczęśliwie. Wczoraj nareszcie zaszło ze mną coś nowego. Byłem zupełnie w méj jaźni i czułem się tylko nią. Wtém słyszę głos za sobą wielki, jako trąby. I obróciłem się, abym głos obaczył. Ujrzałem siedm świeczników złotych. Śród nich stała postać w długiej szacie, przepasana pasem złocistym. Poznałem Chrystusa i mimowolnie ukorzyłem się przed Jego obliczem. A Zbawiciel rzekł: „I Żywy byłem i Umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków, i mam klucze śmierci i piekła.“ — Ustąpiło święte zjawisko, i czułem, jak kilka tysięcy szatanów uciekło ze mnie, przepadując w ciemnościach téj podziemnej nocy.“ Mohrland: „Recytujesz mi pierwszy rozdział Apokalipsy. Bóg dozwala ci więc doznać tego samego objawienia, jakie miał Jan S. apostoł. Silbert. Cóż to ma znaczyć? Objawienie Sgo Jana jest wieczną, ciągle powtarzać się mogącą historią końca świata w człowieku. Gdy słońce i wszystkie gwiazdy ziemskości twój zagasną, odrodzisz się niebem i będziesz należał do synów Boga. Przeżyjesz wszystkie rodzaje Apokalipsy, jak przeżyłeś pierwszy, jeżeliś łaski Zbawiciela godzien, i piekło opuści twe ciało. Bądź zdrów! Zobaczymy się za trzy tygodnie.“

Mohrland, tęsknie oczekiwany, zawitał wreszcie, Adwokata twarzą jaśniejącą niebem, rzucił się w jego objęcia i mówił: Po mnóstwie cudów apokaliptycznych, które widziałem i które wygnały ze mnie światowość, a wraz z nią i piekło, ujrzałem rzekę wody żywota, jasną jako kryształ, wypływającą ze stolicy Bożej, Chrystusowej. W pośrodku ulic téj stolicy i z obu stron onéj rzeki stało drzewo żywota, rodzące owoców dwanaście, na każdy miesiąc podając owoc swój, a liście drzewa tego ku leczeniu filozofów poganów. I niebyło we mnie żadnego już przeklestwa, ale stolica Boża i Chrystusowa we mnie była, i słudzy



pańscy służyć mi zaczęli. I oglądałem oblicze Boga oraz Chrystusa, a imię ich zapisano na mem czole. I nocy więcej dla mnie niema, a nietrzeba mi światłości słonecznej, bo Pan Bóg sam mię oświeca. Mądrość nadziemska rozlewa się przezczystą jasnością około méj jaźni i widzę dno niebios, dno piekieł i dno serca mego. Duch Święty zstąpił na mą głowę, i rzekł mi, że odtąd będzie mym przewodnikiem. Czuje, że mógłbym stać się założycielem prawdziwej wiary, gdyby jój niebyło, i wyrzec do świata: „Tego tylko was nauczam, com widział i słyszał u Ojca mego w niebie!“ Mohrland zawołał: „Przyjacielu, winszuję ci serdecznie zwycięstwa! Teraz na górę pod słoneczne światło, bo i światło to jest piękne, oraz boskie! Jest to najwierniejszy obraz światłości niebios.“ — Silbert zabawił u Mohrlanda przeszło trzy tygodnie, pojąc się radością, że zdobył wreszcie pożądane runo złote. Mohrland podzielał jego radość, jednakże nie głośno, lecz zachęcając go do dalszych prac jakimś uroczystym milczeniem. — Adwokat myślał: „Ma on słuszność; milczenie jest mową duchów. Stary Paracelsus, który to wyrzekł, musiał znać także mądrość nadziemską.“ Gdy przyszło do odjazdu, górnik ofiarował się adwokatowi, że chce mu towarzyszyć do księdza Fildynga. Udano się w drogę.

Zajechali przed wiejską plebanią. Fildyng, powitawszy gości jak najuprzejmiej i patrząc na Silberta mówił: „Zaczem jeszcze nie Naszyniec!“ Nadgórnik odrzekł: „Dopiero ujrzał objawienie S. Jana i zdobył wiekuistą wiedzę bezpośrednią. Miałeś słuszność. Oj, twardy to człowiek! Zaledwem zdołał oczyścić go od świata. Ty musisz wziąć go znowu w twe mistrzostwo i dokonać dzieła.“ — Silbert, słysząc to, spojrział na Nadgórnika z podziwieniem, albowiem mniemał, iż wyrobił się już aż do samego kwiatu wewnętrznego żywota. — Niemogąc wytrzymać, zawołał: „Jako? Albożem nieprzeniósł już w siebie stolicy Bożej

i Chrystusowej z całą jej niebiańską światłością?“ Mohrland mówił: „Tego nieprzeczę. Ale rozwiązałeś moje zadanie? Czyli umiesz wszystkimi członkami mówić, liczyć i tworzyć myślowe postaci?“ Silbert odrzekł: „Na cóż to przydatne? Czyliż niedość, że pozyskałem mądrość nadziemską? Mohrland: Niepozyskałeś jej jeszcze. Przeszedłeś do nadziemskiej wiedzy, lecz niezdolnyś nadziemskiego czynu. Wiedza sama bez czynu jest czezą i niepożyteczną. Wiedza i czyn, to dopiero mądrość. Czy potrafisz np. dotknięciem twój ręki przywrócić wzrok ślepemu? S. Wszakżeś wlał w końce mych palców ogień żywota. M. Były to li krople apteczne, służące ci przeciw cielesnym boleściom. Już je spotrzebowałeś. Ogień żywota ma nie same końce palców, lecz całe ciało wypełniać. Wtedy jedynie będzie trwały i nieopuści nas nigdy, gdy nie podarowanym nam szelągkiem, lecz samodzielnie nabytym jest skarbcem.“ — Silbert zdawał się tego niepojmować. Proboszcz zbliżył się przeto do stołu, nalał w szklanke wody i podawszy ją adwokatowi, mówił: „Skosztuj, co jest w tej szklance?“ Silbert skosztował i rzekł: Woda. F. Jesteś tego pewny zupełnie? S. Jak tego, że żyję.“ Fildyng dotknął dłonią powierzchnię wody i podając adwokatowi szklanke, prosił, aby znowu skosztował. F. „Co pijesz? S. Stare, przewyborne wino węgierskie!“ Teraz Mohrland dotknął się cieszy, która zaszumiała, i dał pić adwokatowi. Ten bierze szklanke, a skosztowawszy, woła: „Na Boga żywego, wino szampańskie!“ Kazano Silbertowi spróbować, czyli posiadać takową dzielność czynu. Dotykał dłonią i końcami palców, chuchał i dmuchał w szklanke, lecz woda pozostała wodą. Zawstydzony, stał jak żak nieumiejący lekcji przed kleką. — Po czterech dniach górnik odjechał, a adwokat prosił księdza o dalszą naukę.

Fildyng mówił: „W podziemnej pieczarze nastąpił koniec świata dla ciebie. Umarłeś dla świata, a urodziłeś się dla nieba, lecz wszechmoc jeszcze w ciebie niewstąpiła. Ujrzałeś w końcu Chrystusa i ukorzyłeś się przed

nim mimowolnie. To przypomina Komedya nieboską, zamykającą się wyrazami: Galilee vicisti! Wiedźże przeto, że Chrystus jest najpierwszym Naszyńcem, królem i mistrzem zakonu, do którego zaciągnąć się pragniesz już od tak dawna. Tylko za Jego pośrednictwem i łaską przyjsz można do robienia cudów. Widziałeś Go. On żyje wiecznie i stanął przed tobą. Jest to znak, że możesz być Wezwanym. Przedewszystkiem więc uwierz w Niego; uwierz w Niego tak ślepo, jak malutkie dziecko w moc olbrzymią swojego ojca. Bez wiary nikt nieobaczy, a tém mniej niedokona cudu. Ale wiara bez modlitwy jest martwą. Modlitwa daje jój życie i skrzydła Serafinów. Módlże się przeto! Jak? Wedle woli Chrystusa, t. j. wedle słów: „Nieczyn wiele wyrazów! Gdy chcesz modlić się, mów: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, itd. O, przesłiczna to modlitwa i pełna mądrości nadziemskiej! Teraz dopiero zrozumieć ją zdołasz. Odmawiaj ją ustawicznie, od rana aż do nocy; odmawiaj tak długo, aż się jój, nie sama głowa, lecz także serce, wątroba, ręka i noga, każdy członek twój na pamięć nauczy. Gdy pacierz szpikowy goreć w tobie zacznie i mówić będzie Ojcze nasz wraz z tobą; wtedy otrzymasz jaźniowy chrzest od Zbawiciela i staniesz się godnym dalszej Jego łaski. Oto zadanie nowe. Idź w miejsce samotne, żyj korzonkami, jak pustelnik i niewracaj do mnie bez chrztu!“

Adwokat udał się do czarnego lasu i wyszukał odludną okolicę. W jednym kącie jeziora Tytys, o którym lud prawi rozliczne dziwy u stóp wysokiej góry zarostłej lasem i na brzegu wody, stała odludna chatka rybka. Najął ją i rozpoczął życie pustelnicze. Korzonki drzew, a czasami rybka, były jego pożywieniem. Lud z miejsc okolicznych, np. z Neustadu, Lenckirchu, miał go za Świętego i zaczął odprawiać doń pobożne pielgrzymki. — Po pięciu miesiącach stanął przed proboszczem i rzekł: „Otrzymałem od Chrystusa chrzest jaźniowy, czyli, jak mówi Pismo, że biblijny duch nie jest tem, co świat zowie duchem, lecz jaźnią. Przyszedłem do szcze-

ścia tego ustawiczną pracą i wprawą.“ Fildyng uczynił próbę i przyznał, że chrzest nastąpił rzeczywiście. Po trzech dniach rzekł do pragnącego oddalić się przyjaciela: „Czyli przypominasz sobie, co powiedział Mohrland, że wszystko, co ma posiadać istotną i niezmienną wartość, powinno zaczynać się od ziemi, od dołu? Otóż teraz sam się o tem przeświadczysz. Widzę, że jesteś Wezwanym i tuszę, że będziesz Wybranym. Myśmy Chrześcianie i niepotrafimy nic bez Chrystusa. Od Niego pochodzi wszelka nasza dzielność. Słuchaj zatem; Proś Zbawiciela, ażeby ci obmył nogi! Niezperaj nad znaczeniem tych wyrazów, lecz staraj się, ażeby tak się stało! Jak sprawdziło się to, com ci pierwój dał do roboty; tak sprawdzi się, jeżeliś godzien, i niniejsze zadanie. Więcój niemam ci nic do polecenia.“

Sześć miesięcy pracował znowu Silbert w rybaczopustelniczój swój chacie. W siódmym stanął przed Fildyngiem i mówił: „Moje nogi są oczyszczone.“ Ksiądz przedsięwziął rozmaite próby i przeświadczył się, że tak jest w rzeczy samój. Po kilku dniach wypocznienia, prosił adwokat o dalszą naukę. Proboszcz rzekł na to: „Tylko z czystymi rękami można zbliżać się do świętości. Ręce twe jeszcze nieczyste. Jak dawniej nogi, teraz ręce masz nappełnić mocą niebiańską. Błagaj więc Chrystusa, ażeby cię uściskał za ręce! Oto twe zadanie.“

Już po trzech miesiącach wrócił Silbert do Fildynga i tak mówił: „Niewiem wprawdzie, czyli zdołam, jak Zbawiciel, dotknięciem samem uzdrawiać Chorych; lecz czuję, że ręce me przeppełnił ogień żywota. Proboszcz zaczął mocy rąk jego doświadczać, i przekonał się, że cudowny płomień w nich żyje. Teraz także adwokat potrafił zamieniać wodę w wino, co najżywszą sprawiło mu radość. Nazajutrz tak odezwał się ksiądz do swego przyjaciela: „Od czasu obmycia nóg apostołom aż do śmierci na krzyżu, wszystko, co stoi w biblii, dla nas było napisanem. Co wydarzyło się arcymistrzowi w tych okropnych trzech dniach, jest wiekuistym dla nas pierwowzorem. Musisz otrzywać

ciężki pólczek i doświadczyć biczowania, krzyż dźwigać i skończyć na nim, jeżeli pragniesz zmartwychpowstać, jako Bóg-człowiek. Idź, przyjacielu, i poddaj się z pokorą całej męce Pańskiej! O, wiele bardzo wiele, więcej jeszcze, niż w Mohrlandowem podziemiu teraz wycierpisz! Ale to praca niemal już ostatnia. Wielki Boże. Oto ukochanemu bratu podawać muszę kielich ogrojcowy! — Po tych słowach padł na kolana i błagał Pana miłosierdzia, ażeby raczył przyjacielowi podać palec wszechmocny. Silberta to rozczuliło. Gdy oddalał się, proboszcz tak się z nim żegnał, jak gdyby to być miało po raz ostatni. I w rzeczy samej rozstawał się po raz ostatni ze starym swym przyjacielem, co miał się przeistoczyć w zupełnie nowego człowieka.

Upłynęło miesięcy piętnaście. Silbert zawitał wreszcie w plebani i mówił: „Mękę Pańską wycierpiałem, umarłem na krzyżu, i oto stoję przed tobą, jako Zmartwychpowstaniec. Patrz na me ciało! Przejrzyste, jak eter, i ząb śmierci szkodzić mu niemoże. Ale, co widzę? Twoje ciało również jest przezroczyste! Czemu tego nigdy dawniej niewidziałem?“ Fildyng odrzekł: „Boś jeszcze należał do znikomego świata i niebyłeś tego godzien.“ Po tych słowach uściskali się dwaj przyjaciele, jako przezyste jaźni niebiańskie, czyli jako wieczne duchy; jako Umarli dla ziemi, a Żywi dla niebios; jako istotni synowie Boga.

Proboszcz i adwokat pojechali na tydzień do Mohrlanda, który zoczywszy Silberta i wołając: „Naszyniec, bo przejrzysty!“ uściskał go, jak rodzonego brata. Silbert widział teraz, że górnik także przejrzysty. Po trzech dniach udali się na nowo do kopalni złota i do znanej już sali podziemnej. Po śniadaniu rzekł Mohrland głosem uroczystym: „Bracie Silbercie! Odrodziłeś się jaźnią, czyli biblijnym duchem. Duch ten potrzebuje bierz-

mowania. Jak chrzest odbyłeś, tak odbyć musisz bierzmowanie. Po nie przywiozł cię tu brat Fildyng. Bez bierzmowania moc cudowna twa nieznaczyłaby wiele. Jesteś przejrzysty. Gdy każdy przedmiot, którego dotkniesz, stanie ci się również przejrzyстым, gdy ziemię zobaczysz taką, jak była przed upadkiem Adama, to jest przezroczywą, jak sól lub szyba ledu; gdy będziesz widział w głębokościach jój łona, kruszce, kamienie drogie i ludzi pogrzebionych; otrzymasz żądane bierzmowanie. Wtedy, przeglądając wszystko na wylot, będziesz mógł czynić cuda. Uleczysz każdą chorobę, bo dostrzeżesz jój zarodu i siedliska. Zbójcę, złodzieja tajnego, spojrzawszy nań, odkryjesz. Zostań tu na trzy dni, i staraj się, abyś był bierzmowan. Spodziewam się, iż krótki czas ten wystarczy. Bądź pilny, bo dokonywasz ostatniego dzieła, wiodącego do doskonałości! — Lecz jeszcze jedno. Liczbą apostołów jest dwanaście, liczbą ewangelistów cztery, a liczba wiecznej rzeczywistości trójca. Teraz wiesz już wszystko. Usiłuj ostatnie słowa me zrozumieć i umieć wykonywać praktycznie. Gdy to potrafisz, czytać zaczniesz w przyszłości i będziesz prorokiem. Bądź zdrow!

Trzy dni minęły. Silbert kazał wynieść się z kopalni na górę i stanawszy przed przyjaciółmi, mówił do Mohrlanda: „Ziemia stała się szkłem dla mych oczu; ostatnie twe słowa umiem głową, sercem i ręką; prorokiem jestem; bierzmowanie otrzymałem.“ — Pokazano mu list zamknięty, i przeczytał go bez roztworzenia kuwerty; postawiono go przed szafą zamkniętą i widział, co się w niej znajduje. Wszystko robiło się mu jawnem, czego dotknął ręką. Wiedział, co w Europie dzieć się będzie za lat kilkaset i dalej. Przyszłość zaczęła dla niego również mieć historią, jak przeszłość. Dziękował przyjaciołom za tyle zbawienia, które nań zlali. A Mohrland rzekł: „Bracie, jesteś mędrcom rzeczywistym, boś Jasno widzący!“ — Siódmy dzień gościu u Nadgórnika zszedł na radości, iż pozyskał zakon nowego brata. Radzono, jaki rodzaj życia ma teraz uczynić swem powołaniem. On chciał oderwać

się od wszystkiego, co ziemskie, a poświęcić się dla Boga i niebios. Lecz Mohrland oraz Fildyng mówili: „Nie, bracie! Czyn jest twoją powinnością. Majątek otwiera ci podwoje do wielkiego świata. Idź w świat i działaj!”

---

## 5. Jasnowidzący.

Silbert, nauczywszy się nadziemskiej mądrości i czując w sobie moc cudotwórczą, wrócił do miasta, w którym się urodził i przed czasy mieszkał. Najął sobie na ustroju domek i zaczął żyć samotnie. Celem jego było ćwiczenie się we wzroku proroczym i czytanie w tajemnej księdze historii przyszłości. Ułynęło nad tą pracą półtora roku. Dajemy tu z niej pewien zarys. Silbert był niegdyś za rządem republikańskim i jako demokracja głośny, trudnił się wiele polityką. Spojrzał tedy nasamprzód w dzieje polityczne przyszłych czasów. — I widział z początku wojny cząstkowe za wolność, które kończyły się na niczem i niedopinały celu; później zaś wojnę powszechną, długą, okropną. Duch nowy zwyciężył. Każdy z ludzi przyszedł do politycznego własnego uczucia i zwał się Bogiem-obywatelem. Nastąpił zupełnie nowy porządek rzeczy, o jakim dziś niemają ludzie ani wyobrażenia, a wieki nasze policzono do barbarzyńskich średnich czasów, zrobiono je ogonem Scholastyki. Państwa były potężne i narody szczęśliwe, lecz Republik nie było na ziemi. Rząd konstytucyjny wydoskonalonym został do najwyższego szczytu i objął berło nad światem. To tak zmartwiło naszego Republikanina, iż niechciał dalej patrzeć w polityczną przyszłość. — Teraz wziął księgi przyszłości religijnej. Tarcie się między chrześcijańskimi wyznaniem jest powszechne. Rozpo-

czyna się zacięta walka wiary z myśleniem. Bezbożni i przekłęci filozofowie ze swem poznanie<sup>m</sup> otrzymują górę. Wali się kościół Sgo Piotra, a na jego miejscu powstaje przybytek Jana apostoła. Wyznania chrześcijańskie zjednoczyły się pod chorągwią jednej wiary. Jeden kościół na europejskiej ziemi i jeden pasterz w niebie. Trwa stan ten dość długo. Ale znowu podnosi się duch buntowniczego przeczenia. Pada wiara przenajświętsza. Nowa jakaś wiara rozszerza się szybko po świecie. Na całej ziemi niema już ani jednego Chrześcianina. Co gorsza, wrzeszczy świat bezbożny, iż dawna wiara nie była dziełem niebios, lecz, przebóg, demonomanią! Tu rzucił Silbert księgi religijne przyszłości i niepragnął w nich czytać dalej. — Porównyiwając przeszłość z przyszłością, do takiego nasz Jasnowidzący przyszedł ostatecznego wypadku: Fałszem jest i li umnem młokosów marzeniem, że ludzkość ciągle postępuje i rozwija się coraz świetniej. Przeciwnie, ludzkość marnieje, co chwila ma bliższe śmierci a raczej galopujące suchoty. Z początku byli sami synowie Boga; dziś masz ich zaledwie kilku; później niewiadać ani jednego. Synowie człowieka zamieszkują ziemię i codzien<sup>ie</sup> bardziej głupieją. Im ciemniejsi, tem jaśniejsze przypisują sobie światło. Ziemskość owładuje wszystkich, niebo staje się bajką. O Boże, racz oddalić horoskop ten straszliwy! Mohrlandzie! Ty i uczniowie twoi, ostatnie to światelka mądrości nadziemskiej! Lampa Boża zagaśnie. Siedm<sup>iu</sup> świeczników złotych stopi świat na dukaty.“

W czasie badań tych Silberta rozchodziły się o nim po mieście najdziwaczniejsze pogłoski. Jego samotność i osobliwsze postępowanie dawały do tego powód. Długo niebyło go w domu; zaczęł<sup>o</sup> musiał być w podróży. Gdzie? Nikt niewiedział. Jedni mówili, że w Jeruzalem, modląc się na grobie Zbawiciela, a drudzy, że w Indyach lub w Syrii pod przewodem jakiegoś Armeńczyka, nauczył się tajemnych mądrości. Wielu pragnęło poznać go bliżej. Spodziewano się odkryć w nim coś nadzwyczajnego, bo już dawniej słynął niepospolitą zdolnością, tudzież dowiódł



jój nieraz, jako adwokat i sejmowy poseł. Silbert ze swój strony, odwróciwszy oczy od gangreniejącej przyszłości, i przypomniawszy sobie, że nauczyciele zachęcali go do czynu, postanowił żyć dla terażniejszości, i działać, jako Półbóg dobroczynny. W takowem usposobieniu publiczności i Silberta, zapukano do drzwi naszego mędrca. Wchodzą wystąpiły Towarzystwa przyjaciół nauk, zapraszając go na uczone swe posiedzenie, a później na skromny obiad, na który przyjść mają same gwiazdy i pochodnie miejscowego społeczeństwa. Przyjął to wezwanie. Słuchał, jak przeczytano kilka uczonych rozpraw, lecz nieznajdował w nich, jak naturalna, interesu. Odezwał się przeto do tych, co mu towarzyszyli, jako goście, uprzejmie: „Lituję się serdecznie nad tylu znamienitemi talentami, iż gryzą wióry, sądząc że to pieczeń!“ — Nadszedł czas obiadu. Prezydent miasta wniósł toast za zdrowie dawnego posła i adwokata, a dziś rzadkiego mędrca, prosząc go w imieniu młodzieży, ażeby zechciał rostworzyć szkołę i skarbców swój głębokiej wiedzy niezamykał li dla siebie. „Będzie to, mówił, pożytkiem i sławą dla naszego miasta, a my do pomożem, ile w naszej mocy.“ Ci, co siedzieli obok Silberta, namawiali go do przyjęcia tych zaprosin, utrzymując iż wszyscy mają nadzwyczaj wysokie o nim wyobrażenie; iż ledwie otworzy szkołę, będzie miał kilkaset słuchaczy, a przy pilności przyjść może do podwojenia swego majątku. Jasnovidzący milczał. Na toast Burmistrza wypadało odpowiedzieć. Wstał tedy i wyrzekł te słowa: „Dziękuję współobywatelom moim, iż o mnie niezapomnieli i tak wielką okazują mi życzliwość. Uważałem za istotny zaszczyt wzywanie mię do czynności ze strony szanownego naszego Prezydenta. Wymagacie, moi Panowie, bym otworzył szkołę i wykladał w niej zapewne filozofią; bym został tutejszym Herbartem, lub Szellingiem. Ale czemuż jest filozofia? Poświęcałem się jój długo, bardzo długo; znalazłem w końcu pyszną, zarozumiałą i na nic nieprzydatną czczość. Rzuciłem w kął Kantów i Hegłów, a badać zacząłem mędrców starożytnego świata. Tu także czczość

była ostatecznym rezultatem. Zajrzałem wreszcie do historii wiar objawionych i nauki Chrześcijaństwa. Teraz jawnem się mi stało, że wszystkie filozoficzne systema są li pozłożonemi ramami, z których uciekły owe stare obrazy, będące prawdziwej mądrości pierwowzorem. Usiłowałem wyszukać te stracone obrazy i po długiej pracy trafiłem do celu. Duch prawdziwej mądrości jest wieczności synem; czas rodzi tu tylko upiory. Z wiecznego morza myśli powinien duch ten płynąć, jeżeli pragnie wystąpić w barwach niebiańskich. Przebaczcie mi, spółobywatele, że niemam zamiaru otworzyć publicznej szkoły; w niej albowiem rozrzucać można li sycerskie, pozłożone ozdóbki, ale zwierciadła Boga i niebios niepodobna wywiesić. Nie słowo, ale czyn, nie język, ale ręka jest moją potęgą. Pozostaję między Wami. Skoro znajdzie się kto, co ma dość odwagi spojrzeć w bezdenną otchłań wieczności; niech zostanie mym uczniem! Od czasu, jak zgłębiłem istotę rzeczy i stałem się jej panem, niechęć już z kotła nadziemskiej mądrości zbierać szumowin i rozdzielać ich między duchowych żebraków!“ — Głos ten obraził wszystkich uczonych. Nazwano Silberta Mystykiem, marzycielem, a nawet baranem z kołową głową. — Pod wieczór rozeszło się towarzystwo.

Wielu było ciekawych poznać nieco bliżej tajemną mądrość Silberta i postanowiło wejść z nim w pewną styczność. Z tego powodu już nazajutrz zrana po owym objeździe zawitał do niego lekarz Lutweg i prosił, ażeby wziął go w naukę. Silb. „Namysłileś się Pan zbyt spiesźnie. Lut. Jużem niemłody, a czas ulata szybko, jak jaskółka. S. Trzeba więc czas umieć tak zatrzymywać, jak Jozue słońce. L. Czyli to podobieństwem? S. Tak jest, skoro zrobimy każdą chwilę wyłącznie naszą. L. Powołanie moje stoi temu na przeszkodzie. S. Bynajmniej. Wszędzie jest Bóg. Żaden czas, żadne miejsce i zatrudnienie nieoddala nas od Niego. W Nim znajduje się wszystko, czem jesteśmy i co czynimy. Dość na tem, chcieć Go szukać ustawicznie. L. Prawda to szczerza, lecz któż jest panem

swój myśli; kto zdoła kierować nią li w jedną stronę i do jednego celu? S. Jazn nasza, to pani i monarchini wszechmoena. Myśl jej jest służebnicą, a to równie, jak ręka. Zuchwalstwem jest odmawiać jej władzy, a grzechem zuchwalstwo. Kto grzechu się lęka, jest już w istocie Boga.

L. Przyznam się, że Pana nierozumiem. S. Naturalna. Idź, rozstań się ze światem i jego mamoną, przejrzyj transcendentálnością, a będziesz mię rozumiał.“

Lekarz odszedł i rozpowiadał po mieście rozmowę tę ze śmiechem. — Tegoż samego dnia popołudniu odwiedził Silberta Bilhart, professor filozofii i autor dzieł wielu, prosząc go, ażeby z nim pomówił o owój nadziemskiej wiedzy, co czystem rozjaśnia się światłem.

S. Ja niewdaję się w pogadanki. B. Raczże więc przyjąć mię za ucznia. S. Czy masz odwagę? B. Mam, skoro jej potrzeba. S. Daj mi dowód. B. Jaki? S. Okaż mi, iż nieulekniesz się chwili, gdy widmo śmierci zajrzy ci w oczy. B. Nierozumiem tego. S. Wiedźże przeto, iż jestem niebezpiecznym szermierzem w obronie prawdy, i ty mię niepodejdiesz. O, pragnąłbyś jabłek z mojego drzewa, gdyż gałązka twa niewydaje ani nawet czarnych jagódek glogowych. Jeżeli gałązka ta silnem rozrośnie się drzewem; to przyjdź do mnie! B. Co za językiem się odzywasz! Ja proszę cię o naukę; ty zaś wyrzucasz mi podstęp i głupotę. Czyli to się godzi? S. Znam ja dobrze Waszmości. Pójdiesz tam, gdzieś od dawna zasłużył. Tylko pokuta ratować cię może. B. Za co pokuta? S. Za twe fałszywe, bezbożne pisma i prelekye. Chodzi ci o pieniądze i frymarczysz prawdą. Chciałbyś u mnie pożyczyć nowego blichtru, ażebyś przez to tem bardziej mógł błyszczeć i wyławiać luidory z kieszeni publiczności. B. To są istne obelgi, za które musisz mi odpowiedzieć! S. Odpowiem. Przestrzegam cię tylko, że zapozwij mię przed sąd natychmiast, bo chwile twego szarlatanstwa są już niedługie.“

Bilhart odszedł w największem oburzeniu. Chciał go pozwać przed sąd, lecz nie miał świadków. Za kilka dni umarł, tknięty apoplexyą. Mówiono, że Silbert swem grubiaństwem tak obraził jego dumę, iż

śmierć była naturalnym skutkiem. — Przysłał Biskup do Silberta, zapraszając go do siebie. Lecz ten nagadał wiele nedorzecznosci Księdzu Kapelanowi, mówiąc np. że Biskup przyjsć doń winien, skoro ma interes; że jezuita ten fioletowy niegodzien jest stawić się przed jego obliczem, bo zajmuje się światem, nie zaś Bogiem, bo żyje lubieżnie, a nawet kazirodnie. To oburzyło Biskupa. Lecz milczał, niewiadomo dla czego. Żli ludzie mówili, iż bał się ze skargą o potwarz wystąpić. — Tym sposobem Silbert obrażał wszystkie najznakomitsze osoby. Uczeni i duchowni stali się otwartemi jego wrogami. Ogłoszono go w piśmiech publicznych szarlatanem, głupcem i grubijaninem nieznośnym; ogłoszono, że nauczył się jakiejś tam dzikięj mądrości od Samojedów. Silbert nieodpowiadał na to, bo, jak mówił, duch mu tego niedozwalał. Lecz zerwał zupełnie z wyższemi stanami i postanowił żyć dla ludu. „Co tylko, rzekł, należy do tak zwanego świata umiejętności, cywilizacyi i poloru, w tem szatan siedzi. Dla ludzi tych niema ratunku.“

Pewnego dnia rankiem wyszedł Silbert na przechadzkę do lasu i spostrzegł jakiegoś człowieka w stanie półobłąkania, rozmawiającego z samym sobą głośno, a dziko. Duch rozkazał mu mieć baczność na Nieznajomego. Idzie za nim zdaleka i niepostrzeżony, nawet w bezdroża dalekie i odludne. Wreszcie staje nieznajomy, dobywa pistolet z kieszeni i chcąc się zastrzelić, wykrzykuje: „Przebrzydły rodzie człowieczy, patrzaj, oto tak mszczę się na tobie!“ Wtem Silbert zagrzmiął: „Czekaj chwilę! Jedno tylko słówko!“ Nieznajomy chciał w nieproszonego świadka z pistoletu wypalić, lecz namyślił się inaczej i rzekł niecierpliwie: „Czego żądasz odemnie?“ S. Przestrzegam cię, że za trzy dni złamiesz nogę na rynku. Nieszczęście to wyjdzie ci na dobre, bo pogodzisz się z ludźmi, uczujesz bóstwo własnej piersi, będziesz szczęśliwy, jak nigdy pierwej i niepojmiesz, że mogło cię opanować tak wielkie szaleństwo, iż chciałeś zostać samobójcą. Nieznajomy: Pleciesz mi trzy po trzy. Jak mogę za trzy dni nogę złamać,

skoro za trzy minuty łeb mój prochem roztrzaskam? S. Złamiesz ją tak pewnie, jak że Bóg jest w niebie i na ziemi. N. Toś mi prorok doskonały! Boga niema wcale, więc zapewnienie twe jest niczem. S. Jest Bóg, i tak niezawodnie, jak za trzy dni złamiesz nogę. Bądź zdrow!“ Silbert odszedł. Nieznajomy przez chwilę myślał nad tem osobliwym wydarzeniem. Zawołał wreszcie: „Złamię nogę, tak pewnie, jak że jest Bóg, a Bóg jest tak pewnie, jak że złamię nogę. Niejesze to loiczny błaznek, czyli circus in probando? I tak nielogiczny człowiek śmie być prorokiem? To szaleniec jakiś z domu waryatów!“ Wtem spostrzega wiernego pudła swego, który tropi za nim węchem, trzymając coś białego w paszczy. Ciekawy, czeka i woła na psa. Ten podaje mu list. Siostra przyjechała, z którą niewiedział się od lat dziewięciu, i prosi go, ażeby wracał jak najspieszniej, bo ma odkryć mu ważne rzeczy. Oddała list służącemu, który niewiedząc, dokąd się pan udał, wyprawił za nim zamkniętego umyślnie od niego pudła. Nieznajomy rzekł do siebie: „Zobaczę siostrę; dowiem się, czego żąda; napiszę testament, o czem zapomniałem, i zastrzelę się jutro o te czasy. Dziś los się na mnie sprzysiągł. Szaleniec, pies, list i siostra, wszystko w tej chwili!“ — Wrócił do miasta. Siostra zajęła go gwałtem pilnemi sprawami. Trzeciego dnia w nocy szedł przez rynek, potknął się nieszczęśliwie, padł i złamał nogę. Ledwie się to stało, podnosi go obce ramię. Spogląda i załzania oczy, bo poznał złowrogiego proroka. Silbert odprowadził go do domu. W czasie choroby odwiedzał go pilnie, pogodził ze światem i zjednał dla siebie. Nieznajomy, rozważając te cuda, udał się do Silberta i prosił go o naukę. Przyjęty, robił wielkie postępy. Później zbudował domek na miejscu, gdzie chciał się zastrzelić; został pustelnikiem i ćwiczył się w mądrości nadziemskiej. Imię i stan jego: Herdtman poeta.

Silbert powracał raz do domu. Wtem duch ciągnąć go zaczął ku ratuszowemu wielkiemu półkolu. Idzie za wewnętrznym tem instykiem i spostrzega dwudziestoletniego

mężczyznę stojącego pod pręgierzem, otoczonego tłumem ludu. Biedny młodzieniec płakał rzewnie ze wstydu, zaklinając się na Boga i ludzi, że nie jest złoczyńcą, i że spotkała go sromota niesprawiedliwie. Silbert, przedarłszy się przez ciżbę i spojrzawszy na nieszczęśliwą ofiarę, zawołał donośnym, a poważnym głosem: „Młodzian ten jest niewinny!“ Obejrzał się potem do koła i zatrzymał wzrok na pewnym człowieku. Zwrócił się nagle ku policyi i żandarmom, mówiąc również głośno: „Ja znam istotnego winowajcę. Chwytajcie tego rudego Żyda!“ Żyd wskazany począł uciekać. Wnet go złapano i przywiedziono przed Silberta. Jasnowidzący spojrział nań przenikliwie. Żyd przejęty dreszczem padł mu do nóg i przyznał się publicznie do zbrodni. Na głośne żądanie ludu stawiono natychmiast winowajcę pod pręgierzem, a gromady odprowadziły w tryumfie niewinnego młodzieńca i Silberta do domu. — Zaledwie rozbiegła się wieść o cudownem tym czynie, wchodzi do Silberta pewien bogaty i znakomity obywatel i mówi: „Panie, co znasz wszystkie skrytości i tajemnice, udziel mi rady. Przed ośmiu laty bywał u mnie Kassyer miejski. Ten skradłszy pieniądze publiczne, uciekł i przepadł bez śladu. Wkrótce po jego ucieczce spostrzegłem, iż braknie mi sygnet z nader kosztownym dyamentem. Sądziłem, że ów kassyer zabrał go z sobą. Zrobiłem opis sygnetu dokładny i co rok kilkakroć kazałem go drukować w pismach śledczych. Wszystko daremnie. Przed dwoma tygodniami nadeszły z Rzymu papiery do tutejszego magistratu. Odpieczętowano je i znaleziono w bankocetlach wszystkie pieniądze złupione, które niegdyś Kassyer zabrał, z wiadomością, iż człowiek ten umarł jako prawy Chrześcjanin; iż zostawił wielki majątek i testamentem przesyłkę tę rozporządził. O moim zaś sygnecie niema w papierach tych ani wzmianki. Ma on, oprócz wewnętrznej ceny, tę jeszcze dla mnie wartość, że pochodzi od moich prapradziadów. Cheiałbym go koniecznie odzyskać. Racz mi przeto powiedzieć, Panie, czyli go ów Kassyer, lub kto inny ukradł, i gdzie się znajduje?“ Silbert, po-

myśliwszy chwilę, odrzekł: „Kassyer niezabrał twego pierścienia. Skradł go złodziej zwyczajny i ukrył u złotnika, mieszkającego ztąd o mil pięć. Złotnik ów przyjedzie tu w przyszły poniedziałek, stanie gospodą pod Jeleniem i będzie miał sygnet twój przy sobie. Napadnij nań z policją niespodzianie. Znajdziecie sygnet, a wtedy przycisniony potrzebą, wyda złodzieja.“ Tak się też stało. — Pewien ubogi mieszczanin przyszedł do Silberta i mówił: „Panie! Krewny mój dość bliski umarł, który zobowiązał się za uczynione sobie niegdyś ważne przysługi, zapisać mi dziesięć tysięcy talarów. Testamentu nieznalazł notaryusz, i inni krewniacy, co byli bliżsi odemnie jedną linią, podzielili się spuścizną. Czy zostawił nieboszczyk testament, lub nie?“ Silbert rzekł: „Zostawił. Znajduje się on u bratunka nieboszczyka Michała i jest zaszyty w lisiąg szubie. Udaj się do niego z policją niespodzianie, zabierz szubę, a znajdziesz testament.“ Co wyrzekł nasz Jasnowidzący, okazało się istotną prawdą. — Ódtąd oblegano dom jego, pytając w najtrudniejszych i niepodobnych do zwyczajnego rozwiązania okolicznościach. Nieraz potrzeba mu było prosić o kilka dni czasu, bo musiał wywoływać nieboszczyków, ażeby sami, jak niegdyś Piotrowin, dali odpowiedź lub świadectwo.

Dnia jednego siadając do stołu, uczuł w sobie działanie ducha i ujrzał numer 216. Wstaje i wychodzi na miasto. Duch powiódł go przed dom, namienionym numerem oznaczony. Słyszy wrzawę na trzecim piętrze. Zastaje rodzinę wyrobnika w rozpacz, a to z przyczyny, iż zabierano jég gwałtem sprzęty i posciel. Za co? Oto fabrykant pewien ogłosił się bankrutem, niewypłaciwszy swych robotników. Temu właśnie winien był za cały rok pracy. Zabierano więc biedakowi sprzęty, gdyż niemógł opłacić czynszu za mieszkanie. „Ileś winien?“ zapytał Silbert. — Talarów dziesięć. — Oto je masz! — Exekutor zawołał na to: Dobrze mój Panie, ale teraz moja należność wynosi talarów pięć. Za co? E. Za trudy, wynoszenie sprzętów na ulicę i pisanie protokołu. Silbert spojrział nań

przenikliwie, pomyślił, położył talarów pięć na stole i rzekł: „Wnieś sprzęty napowrót do izby i ustaw je na miejscu.“ Gdy się to stało i gdy exekutor chwytać chciał za pieniądze, zawołał Silbert: „Niebierz, stary zdzierco i oszuście! Ja to daję na zapomogę nieszczęśliwej rodzinie; tobie zaś oto tę dwuzłotówkę.“ Exekutor rozpoczął kłótnią, lecz Silbert wymagał, aby z temi pięciotalarami i z nim szedł natychmiast na policję. Zastraszony, ustąpił; a Jasnowidzący na to: „Jak jeszcze raz zgrzeszysz podobnie, nędzniku, miarka twa przebrana. Czeką cię wtedy śmierć okropna!“ — Ośm miesięcy upłynęło po tej scenie. Silberta powiódł duch do pewnej kamienicy na poddasze. Wchodzi do brudnej izdebki i zastaje Chorego w łóżku, który, zaledwie że go ujrzał, począł wrzeszczeć jak Opętany. Silbert poznaje Exekutora i mówi: „Co Ci jest, grzeszniku? Ex. Chory jestem śmiertelnie; cierpię boleści nieznośne; lekarze mię opuścili, a śmierć zabrać mię niechce. Już przeszło trzy tygodnie znajduję się w tym stanie. Ach, sprawdziły się twe słowa, Panie! Zdarłem dwanaście talarów z ubogiej wdowy i zaraz nazajutrz porwała mię choroba. Długom wstrzymywałem się od niesprawiedliwości, pomnąc na twą przepowiednię. Lecz w końcu rzekłem, że głupstwem jest wierzyć w takie zabobony, upadłem i oto mię Bóg ukarał.“ Silbert wziął go za puls i rzekł: „Jesteś istotnie godzien litości, bo cierpienie twe pochodzi od robaka, co toczy jądro twój istoty. Czy nie masz rodziny? Ex. Mam żonę i dzieci, alem je wypędził, bo trapiłem ich chłodem, głodem i brutalstwem przez całe życie, a teraz zdawało mi się, że widzę w nich pragnących zemsty mych złych duchów. S. Chceszże żyć, lub umrzeć? Ex. Ach, Panie, któżby żyć niechciał? S. Skoro tak jest, sprowadź natychmiast żonę i dzieci do siebie!“ Przyszły, a exekutor zalewał się łzami, wołając: „Jam was morzył, bił i krzywdził; jam was niegodzien!“ Silbert, kazał mu milczeć, i tak mówił: „Żono, pielęgnuj Chorego troskliwie, bo to twój mąż; dzieci, posługujcie Choremu z miłością, bo to wasz ojciec! Sąd o nim należy



nie do was, ale do Boga. Jeżeli mię nieusłuchacie, czeka was tenże sam koniec, co chorego. Pomrzecie wnet jedno po drugim, opuszczeni i pogardzeni od wszystkich! Ty zaś, ojcze, pomnij, żem odkrył ci raz już twą przyszłość, i słuchaj, co teraz nastąpi! Jeżeli będziesz cierpliwy, potulny jak baranek; jeżeli potrafisz miłość odpłacać miłością; jeżeli zrobisz mocne postanowienie niegrzeszyć więcej, oraz podwójnie nagrodzić wszystko złe, któryś uczynił; daję ci słowo, że za pięć dni będziesz zdrow. Inaczej porwie cię szatan.“ — Silbert odszedł. Chory modlił się i postanowił święcie dopełnić rozkazu proroka. Zasnął. Gdy się przebudził, czuł się zdrowszym i wołał: „O żono kochana, o dzieci drogie, czuję, że jad opuszcza me wnętrzności!“ Za pięć dni wyzdrowiał. Zaczął wyplacać dawne swe ździerstwa, osiadł cichutko z resztą pieniędzy, miłował rodzinę i żył jeszcze dość długo szczęśliwie, jak nigdy pierwej.

Gruchnęło po mieście, że Silbert uzdrowił opuszczonego od wszystkich lekarzy Exekutora. Szedł przez ulicę. Staje przed nim człowiek, chorujący na zadawniony reumatyzm, który poprzekręcał mu stawy i członki, wołając: „Panie, dotknij mię ręką, a będę zdrow! S. Czy wierzysz silnie w moc Boga? — Wierzę. — Czy wierzysz w Zbawiciela? — Wierzę. — Czy wierzysz, że sługa wierny Zbawiciela czynić może cuda? — Wierzę. — Kto ma wiarę, temu ustępują góry z drogi, tego opuści i choroba. Jeżeli wiara twa prawdziwa, dotykam cię ręką i mówię: Bądź zdrow!“ Chory był uzdrowiony. Stało się to publicznie wśród tłumnie zbierającego się ludu. — Odtąd żył Silbert w obłączeniu od chorych. Jednych uzdrowiał dzielnością ich wiary; innym, choć nie był pierwej niegdy lekarzem, podawał środki, nieraz zupełnie nowe, a skuteczne, słowem tak jak osoba znajdująca się we śnie magnetycznym. — Wkrótce Silbert rozgościć się musiał w jednym z kościołów, i siedząc w nim co dzień przez godzin kilka uzdrowiał chorych, robił cuda i pisał o wszechmocy

wiery. Z najdalszych stron zbiegano się do niego, wielbiąc go, jak proroka i Świętego.

Duchowieństwo radowało się z początku, sądząc, iż Silbert rozbudzi w massach zapał religijny; lecz później, przekonawszy się, że lud ceni go więcej, niż biskupa, a nawet papieża, i lękając się o wpływ władzy kościelnej, postanowiło przeciw niepoświęconemu od siebie cudotwórcy wystąpić. Z duchowieństwem połączyli się lekarze, uczeni i policya. Wytoczono Silbertowi kryminalny proces. Księża oskarżyli go, jak to zwykle, o ateuszostwo i odwodzenie ludu od prawdziwej wiary; lekarze o szarlataństwo; uczeni o rozszerzanie guślarstwa, a policya o buntowanie i niepokojenie gminu. Przysłano mu pozew i wyznaczono dzień, w którym miał stanąć przed sądem. Lud dowiedział się o tem prześladowaniu swego ulubieńca i począł szemrać; a gdy nadeszła godzina sądowa, zgromadził się licznie przed ratuszem. Silbert ukazał się wśród niego. Przyjęto go z okrzykiem radości, wyniesiono w górę, a on tak powiedział: — „Zacny, czcigodny ludu! Opuścili mnie wszyscy, prócz Boga i ciebie. Oskarżają mnie, że cię uczułem bezbożności i odzierałem, jak to czynią inni; że cię truję, jak lekarze, że cię łudziłem jak uczeni; że cię karałem, do wieży pakowałem, jak policya. Ludu, czy to prawda? Lud: Nie, nie! Łgarstwo wierutne! S. Ludu ukochany! Czyli mam stanąć przed owymi faryzeuszami tam w ratuszu, co w nikogo niewierzą, tylko w samych siebie, co są zarazem memi oskarżycielami i sędziami? Lud: Nie, nie! My cię sądzimy! Tyś nasz prorok, lekarz i dobroczyńca. Zabijem, rozdepcem na miazgę każdego, co poważy się dotknąć ciebie. S. Ale oskarżono mnie publicznie, więc publicznie usprawiedliwić się muszę. Ludu, dziś szczególnie Bóg jest ze mną! Idźmy do szpitala! Ulecę natychmiast trzydziestu chorych.“ Lud krzyknął: Niech żyje mąż święty! i potoczył się ogromnemi masami na ulicę szpitalną. Silbert wszedł do domu cierpienia i wywiódł wkrótce z sobą trzydziestu uzdrowionych cudownie, którzy całowali mu nogi, wielbiąc moc Boga i jego proroka. — A Silbert mówił:

„Idźcie na ratusz i oddajcie mi świadectwo. Sunęły się masy ku ratuszowi napowrót wraz z uzdrowionymi. Później odprowadziły proroka aż do jego mieszkania. Silbert pożegnał lud z okna i polecił mu rozejść się spokojnie, co też i nastąpiło.

W kilka dni po tej rewolucyi otoczono żołnierzstwem mieszkanie Silberta o północy. Wszedł do pokoju naczelnik policji w towarzystwie trzech żołnierzy, zbrojnych w bagnety. Naczelnik mówi: „Panie proroku, siadaj natychmiast na wóz, który właśnie zajeżdża. Pod eskortą wyprowadzę cię za granicę państwa. Silbert. Jak to? Jam tutejszy obywatel; tu się urodził i tu mam majątek! Naczelnik: „Nic to niepomocze. Oto rozkaz!“ Silbert uniósł się gniewem; — duch przybył mu na pomoc i zrobił go Samsonem. Pochwycił naprzód naczelnika, później żołnierzy, i powyrzucał ich oknem, jak jabłka. Stało się to w jednej sekundzie. Co większa. Żaden z wyrzuconych, choć spadł z pierwszego piętra, karku nie skręcił i najmniejszego nieponiósł szwanku. Był to cud oczywisty. Silbert zagrzmiął z okna: „Żołnierze, marsz do koszar! Kto z was poważy się podnieść rękę na wystawca niebios, padnie trupem i pójdzie na wieki do piekła!“ Słowa te tak skutkowały, że żołnierze niesłuchali głosu kommanderującego oficera, lecz pędzili do koszar, jak oparzeni. — Silbert spojrział teraz na papier leżący na stole i przekonał się, że to był rozkaz królewski. Choć wiedział, że Bóg jest potężniejszy od wszystkich mocarzy świata, niechcąc atoli dalej gwałtu gwałtem odpierać, postanowił opuścić rodzinne miasto. Napisał pełnomocnictwo jednemu z przyjaciół do zarządzania swym majątkiem i nazajutrz wyjechał dobrowolnie, otoczony wielką processyą oburzonego ludu. Koił lud słowami pisma, powtarzając: Biada prorokom w własnej Ojczyźnie!

Silbert podróżował po Niemczech i innych krajach, lecz nie był szczęśliwy. Gdzie tylko się dłużej zagościł i począł robić cuda, wypędzano go natychmiast. Jeździł

przecież i nieustawał pracować, mówiąc: „Szatan panuje na ziemi, lecz sługa niebios powinien walczyć z nim wytrwale. Bóg mię powołał. On wie, dokąd mię prowadzi. Cześć Mu i chwała na wieki!”

## 6. Biesiada.

Przez czas niejaki przybywając Silbert w Hollandyi, postanowił odwiedzić majtka Wipnera. Wywiedziawszy się o miejscu jego pobytu, puścił się w podróż i wszedł do skromnego wiejskiego mieszkania. Nadspodziewanie zastaje dawnego majtka, którego poznał po prostej, rybaczéj odzieży, człowiekiem przejrzystym. Spojrzał po innych osobach i ugląda dwu mężczyzn, oraz niewiastę, wszyscy ludzie przejrzyści. Oni też z równemże podziwieniem spostrzegli w nim przejrzystość. Silbert zawołał: „Czy mię wzrok ludzi, lub też widzę tu samych Naszyńców?” „Tak jest, odpowiedziano; witaj nam nieznany bracie!” Silbert, uściskawszy Wipnera, i widząc wchodzącą do pokoju żonę jego Elzę, którą poznał po krzątaniu się gospodyni, pytał się, kto są inni panowie i obca dama. — Dowiaduje się, że to dawniejszy kapitan, a dziś pułkownik von Haerdtek wraz ze swą małżonką, znaną nam Karoliną Ruppert i z domowym niegdyś jój lekarzem, który był na nauce u Mohrlanda. Silbert, oświadczywszy, iż zna ich życiopisy, i że sam jest także Mohrlanda uczniem, tudzież wyjawiwszy swe nazwisko, pozdrowił przytomnych, jako starych przyjaciół. Zagadnął później Wipnera, czyli widuje jeszcze postać prorokującej kochanki. Ten odpowiedział: Nie. — Gdy nadgórnik mię opuścił, rozmyślałem długo nad jego słowami. On mię zapewnił, że ja i postać kochanki jest to jedna i tażsama moja istota. —

Pracowałem nad sobą i kochanka wróciła we mnie na zawsze. Oko me niecielesne rozwidniało, a język nabył proroczego daru.“ Teraz zwrócił się Silbert do Karoliny i prosił jęj, aby mu objawiła, jakim sposobem przyszła do jasnowiedzenia. Ona odrzekła: „Mohrland, uleczywszy stan mój demoniczny, zostawił mię już na wysokim stopniu wykształcenia, bom znalazła samą siebie. Czcigodny lekarz mój, powróciwszy od Mohrlanda, przywiódł mię w kilka miesięcy do Chrztu i Bierzmowania.“ A pan półkownik? — „Ja, odrzekł wojskowy, byłem u Mohrlanda przez rok i puścił mię od siebie prorokiem.“ Lekarz odbył także naukę w dość krótkim czasie. Wtedy westchnął Silbert i mówił: „Przeświadczam się na nowo, jak wielka wszechmoc i cudowność ukrywa się w wierze. Kto jęj niema, musi być niezmiernie długo piekła męczennikiem, nim stanie się godnym nadziemskiej mądrości. — Mnie niestety, to spotkało!“ — Towarzystwo bawiło kilka dni u Wipnera. Umówiono się nareszcie, aby wszyscy razem siedli na statek parowy, udali się Renem do Niemiec i odwiedzili spólnego nauczyciela Mohrlanda.

Nadgórnik przyjął niespodzianych, a miłych gości z otwartemi rękoma, i wysłał list do księdza Fildynga, zapraszając go do siebie. Silbert napisał znowu do ucznia swego Herdtmana, by przybył natychmiast. Zebrało się tedy w jednym miejscu siedmiu proroków i jedna prorokini. Nastąpiła biesiada w Panu. — Każdy z członków, towarzystwa opowiadał pewną osobliwość, którą ujrzał w przyszłości lub przeszłości. Przytaczamy tu tylko historyczną powieść Mohrlanda, jako stanowiącą wieniec naszego opowiadania.

„Któż niewiedział, — prawil górnik, — przeslicznego romantycznego zamczyska w Heidelbergu, leżącego dziś w pysznych, a ciekawych rozwalinach? Któż niewie, że niegdys zamek ten byl siedziba slawnęj rodziny Hrabioów Pfalcu, z której wybrano kilku cesarzów rzymskich i królów niemieckich? Opowiem Wam jednę kartkę z żywota tęg rodziny.“

„Działo się w czternastym wieku. Francuzi wkroczyli do Niemiec, zalewając Lotaryngią, Alzacyą i wszystkie zachodnie kraje germańskie, aż do skalistych cieśnin Czarnego lasu, zwanych Piekłem. Powodem do tego napadu było, że w Niemczech obrano dwóch Cesarzów, — z kąd nastąpiły rozsterki, burze domowe i smutny stan wewnętrzny, — a Francuzi, korzystając z nieładu, postanowili porozbijać stronnictwa i przyłączywszy Germanią do Gallii, utworzyć napowrót cesarstwo, jakim władał niegdyś Karól Wielki. Pomiarkowawszy to stary hrabia na Heidelbergu i widząc, że Niemcy, zajęte zaciekle wojną domową, niepołączą sił swych w jedno potężne wojsko, przedsięwziął sam walczyć z Francuzami i poprzysiągł przed ołtarzem Boga-Rodzicy, że nieschowa miecza do pochwy, aż najeźdników wypędzi. Zebrał lenników i wraz z dwoma starszymi synami wyszedł na wojnę, zostawiwszy w domu najmłodszego, mającego lat ośmnaście, ażeby ćwiczył się w sztuce rycerskiej, dojrzewał, a w razie potrzeby bronił matki, sióstr i zamku.“

„Rok upłynął nim Hrabina otrzymała pierwszą od męża wiadomość, gdyż gońcom w czasach tak burzliwych trudna była droga i opłacali ją zazwyczaj życiem. Smutne nowiny! Hrabia niemógł podolać Francuzom, wiódł więc walkę z konwulsyjnym wyteżeniem. Obaj jego synowie polegli już w boju. Cofnąć się niemógł, bo nie-dozwala przysięga. Co gorsza! — Nieroztrzygnął się ani na stronę pretendenta Bawarskiego, ani na stronę pretendenta Austriackiego; zaczęł tak jednego jak drugiego wojska, napotkawszy go, i sądząc, że trzyma z anty-cesarzem, obchodziły się z nim po nieprzyjacielsku.“

„Hrabina postyszawszy o zgonie dwu swych synów, leżała kilka dni krzyżem w kaplicy zamkowej. Uspokoivszy pierwiastkową boleść, przyzwała kapelana do siebie, i tak doń mówiła: „Księżę, wiesz, jak srogie nieszczęście mnie dotknęło! Dwaj starsi synowie śpią pod mogiłą, daleko od grobu ojców; trzeci pozostał, jedyna rodu nadzieja i podpora. On musi być dzielnym, straszliwym rycerzem,

bo jego obowiązkiem, pomścić się śmierci dwu braci, a może i ojca. Sługo Boży, co znasz tajemnice niebios, zrób go niepokonanym; namaść jakim świętym olejem, ażeby mu żaden miecz, żadna kula szkodzić niemogła! Niech siła jego będzie olbrzymia, a ciało, jako granit, którego niezranisz!“ — Kapelan odrzekł, iż rzeczy takie są niepodobieństwem. — „Jak to? zawołała. Nieprawidłżeś sam w kazaniach, że Bóg podaje ramię wszechmocy tym, co są tego godni? Patriarchowie żyli Bogiem i w Bogu, który robił ich niepokonanem narzędziem świętej swój woli. Jozue, Gideon i Dawid byli wojownikami, a Pan dał im moc nadziemską, opiekę cudowną i zwycięstwo nad tysiącokroć silniejszym nieprzyjacielem. Abraham widział los własny i los swego potomstwa daleko naprzód. Nawet rodu naszego ojcowie mieli bezpośrednią styczność z Bogiem, który robił ich panami przyszłości własnej i późnych prawnuków. Kapłanie! Czemu ma być dziś inaczej? Czemu udziałem naszym jest niemoc i ślepotą ducha? Jeżeli my starzy jesteśmy grzesznikami; wychowaj mego syna tak, aby drugim był Józefem Egipskim, aby wolny od grzechu, umiał zjednoczyć się z Bogiem.“ — Kapelan przyznał, że Bóg wszystko może, i że hrabina ma słuszność; oświadczył jednak, iż niejest zdolny ku udzielaniu takiej nauki. Mówił dalej, że zna jednego ojca Benedyktyna, który słynie cudami i mądrością nadziemską; że jeżeli mu wolno będzie, uda się w świat, aby go wyszukać, i nakłonić do przyjęcia nauczycielstwa w tym zamku. Hrabina nagliła do odjazdu. Żądał od niej, — ponieważ czytać nieumiała, — herbowego pierścienia, mówiąc: „Ten, co go na powrót przyniesie, dowiedzie, iż odemnie jest wysłan.“ — Otrzymał pierścień i pomimo dróg wojną, oraz rozbojem groźnych, puścił się w podróż.

„Po czterech miesiącach przybył do Heidelbergskiego zamku Benedyktyn z herbowym pierścieniem. Hrabina przyjęła go, jak Świętego. On zaś rzekł: „Wezmę panna w naukę, lecz pod następnymi warunkami. Oddasz mi go Pani w moc całkowitą i do niczego wtrącać się nie-

zechcesz. Będzie nieraz ciężko chory, bo musi umrzeć starem, ziemskim ciałem, które jest słabe i przyjmuje rany, a odrodzić się wiekuistem, niezającym bólu i śmierci. Może każe go na wieży zamurować, aby żył samotnie i pracował. Proszę tedy, byś Pani była w takich razach spokojną, mając ślepą ufność w Bogu i mojej sztuce. Że niebędę wzywał na pomoc szatana, lecz Boga, że nauka ma niejest czarnoksięstwem, lecz najgłębszem chrześcijaństwem, niech to dowodzi, żem nabył jój w Rzymie od najpierwszego z kardynałów. — Jak długo trwać ma nauka? „Zależec to będzie od panicza. Jeżeli ma wiarę taką, jak Mojżesz, wnet stanie się Mojżeszem i rozbije z garstką swych towarzyszków najliczniejsze zastępy Faraona, a jego mieczowi nic się nie oprze.“ — Hrabina przyjęła warunki.“ —

„Przyprowadzono panicza przed ojca Benedyktyna, który zastał go w najlepszem do nauki nowój usposobieniu. Młodzian albowiem marzył dzień i noc o Sylfach, Gnomach, Upiorach, oraz innych mocach nadziemskich, starając się już od dawna zabrać z nimi bliższą znajomość i zapewnić się o niewidzialnej ich pomocy. Wzywał po sąsiednich Odenwaldu górach Oberona, króla duchów, błagając go, aby mu dał trąbkę cudowną, na której głos wrogi skakać mają, jak im czarodziej zagra. Benedyktyn rzekł: „Ja wskażę ci cudowną trąbę jeszcze dzielniejszą, bo na głos jój rycerze twoi natchną się Bogiem, tudzież męztwem niezłomnem, a który z nich głos ten zasłysz, zabitym być przez cały dzień niemoże. Ale trąbkę tę sam zdobyć musisz. Jakim sposobem? „Wierząc bez granic w Boga i Jego wszechmoc; czyniąc to, co ci polecę. Ja wskażę ci drogę do pożądanój trąbki.“ Panicz uradowany przyrzekł mu wiarę, odwagę, wytrwałość i ślepe posłuszeństwo. Później kazał mnich młodzieńcowi wykonać okropną przysięgę, iż wszechmocy i mądrości nadziemskiej nieużyje nigdy na korzyść własną lub też swego rodu, lecz zachowa ją ku obronie Boga, Chrześcijaństwa i ojczyzny; iż nigdy walczyć niebędzie pod własnem, ale



pod obcem, raz na zawsze przybranem imieniem; iż wreszcie czyny swe, nie sobie, lecz Bogu przypisze. Jeżeli cię porwie, mówił, zarozumiałość, oślepniesz duchem i moc Boża Cię opuści.“

„Rozpoczęła się nauka i trwała tylko przez półtora roku. Ale bo też wiara mocną była owego czasu i na całej ziemi nieznalazłbyś takich ludzi, jakim do nas przybył Silbert. Mnich prowadził młodzieńca bez wątpienia znanym nam już sposobem, to jest dał mu chrzest i bierzmowanie na Naszyńca. Gdy był gotów, wyznaczył dzień próby. Kazał paniczowi modlić się gorąco od godziny szóstej do dziesiątej z rana. — Kto był w Heidelbergu, przypomina sobie z obu stron zamczyska dwie rozległe i okropnie głębokie otchłanie, wysokimi murami zamknięte i dębami odwiecznymi zaroste. Dęby, choć wysokie, kryją się w otchłaniach tych, jak małe drzewka. Otóż doły te stanowiły niegdyś hrabiowski zwierzyniec, który napełnion był niedźwiedziami, dzikami i innymi drapieżnymi bestyami. — Hrabina udała się za wolą Benedyktyna wraz z córkami, liczną służbą i mnóstwem hołdowanych rycerzy na zamkowy podwórzec. Na dany znak panicz wchodzi za kratę zwierzynca bez miecza i spisy, bez żadnej broni, z gołymi rękami, jak rzymski szermierz. Wyskakuje przeciw niemu tur, którego w Alpach złowiono, i chce rozbić go rogami. On zaś porwał zwierzę za gardziel, rzucił o ziemię, jak piłkę i zdławił jak pisklę. Wnet kilku niedźwiedzi i odyńców udusił, a inne zwierzęta drapieżne uciekły przed nim, jak przed lwem. — Gdy wykonał cudowną tę próbę i wrócił na podwórzec, ukląkł publicznie i dziękował Bogu. Wreszcie padł do nóg ojcu Benedyktynowi. Hrabina całowała księdzu ręce, córki jej płakały z radości, a podziwienie ogarnęło wszystkich.“

Przystępuję do pierwszego wojennego czynu młodzieńca. Stanęło mnogie wojsko pod Heidelbergskim zamkiem. Dowódzca jego żądał w imieniu księcia Luxemburskiego, najgorliwszego z obrońców bawarskiego pretendenta, poddania się na łaskę. Młody pan zamku, wchodząc w poli-

tykę ojca, wedle której należało się walczyć za kraj, lecz niewdawać się w wojnę domową, odrzekł, iż tego nieuczyni. Nieprzyjaciel zabierał się do szturm. Młodzian zebrał swych rycerzy, których było zaledwie trzystu, i kazał im mieć się w gotowości do odporu. Udaje się sam do ojca Benedyktyna i mówi: „Widzisz tam tyle tysięcy wroga, a moich tak mało. Wiem, że Bóg dopomoże, lecz gdzież jest owa trąbka cudowna, którą mi przyrzekłeś, abym nią ludzi mych zagrzał i od śmierci oczywistój zasłonił?“ Mnich zaś na to: „Weź trąbkę, jaka ci wpadnie do ręki. Nie w niej, lecz w tobie znajduje się moc cudowna. — Gdy zatrąbisz, zapalą się twoi płomieniem cherubinów i otrzymają miecze ogniste, a nieprzyjaciela porwie dreszcz śmiertelny i niesłychana trwoga.“ — Młody rycerz wziął trąbkę myśliwską z ojcowskiego gabinetu i wyszedłszy na dziedziniec, przemówił do rycerzy: „Nie ludzie, nie wielka liczba, ale Bóg zwycięża. Widzieliście sami niedawno, jaką moc Bóg mi dał. Ja wam powiadam, że zwyciężymy i uścielem ziemię trupem. Oto trąbka cudowna, którą zdobyłem za pomocą ojca Benedyktyna. Kto głos jój posłyszysz, a w Boga wierzy, niezginie. — Śmiało więc za mną!“ — Roztworzono bramy i spuszczone się z góry ku nieprzyjacielskim zastępom. Luxemburczycy, ujrawszy tak małą garstkę i to pod przewodem młokosa, śmiać się poczęli. Młodzian heidelberski zatrzymał się nagle, rozdzielił swe rycerstwo na dwie połowice, i wyprawivszy jedną w tę stronę, w którą wróg rozbity uciekać zacznie, kazał jój walczyć zacięcie, z drugą zaś rozpoczął bój zaczepny. Odezwała się trąbka. Spięły się rumaki pod jeźdcami, i tak ludzi jak konie owionęła dzielność nadziemska. Uderzyli na wroga, jak sto tysięcy okropnych i zabójczych gromów. W jednym oka mgnienu zastępy nieprzyjacielskie ustępują w największym nieładzie, wpadając na zastawioną drugą połowicę zamkowych. Wzięto ich z przodu i z tyłu na obosieczne miecze. Rzucali oręż na pole usłane trupem i krwią zbroczone, a klękając, żebrali miłosierdzia i ochrony życia. Dowódzca Luxemburczyków stanął jako

wojenny jeniec przed wojownikiem młokosem, zasłaniając sobie oczy od wstydu. Ten puścił go wraz z rozbrojonymi rozbitkami na wolność, przykazawszy mu, ażeby nieważyl się nigdy więcej z nim wojować, gdyż wtedy nie go nieocali od śmierci. — Młodzian tryumfujący wjechał napowrót do ojcowskiego zamku, dziękował Bogu publicznie i rzucił się do nóg Ojca Benedyktyna, oraz na pierś rozradowanej matki. W grodzie trwało przez kilka dni wielkie rycerskie wesele.“

„Wyprawiono gońca do starego hrabiego, który wciąż ucierał się z Francuzem w Alzacyi, z wiadomością, iż najmłodszy syn tak świetnie zamek obronił. Ojciec pozwolił, aby go pasowano na rycerza. Nastąpiła przeto nowa uroczystość. Gdy ceremonią skończono i rozjechali się goście, wezwał ojciec Benedyktyn nowo pasowanego rycerza przed siebie i tak do niego mówił: „Teraz ja w imię Boga mam cię pasować na rycerza. Przysiągłeś, iż walczyć będziesz, nie na cześć twoję, ni też twego rodu, lecz za Boga, Chrześcijaństwo i Ojczyznę. Tego wymaga pokora i wyrzeczenie się samego siebie dla sprawy niebios, a nawet własny twój interes, albowiem, skoro sławie, dumie, lub innej jakiej światowej próżności hołdować pocznie, Bóg cię opuści. Ilekroć tedy wyciągniesz w pole, — wyjąwszy obronę własnego zamku, jak to było w ostatnim razie, — ilekroć wystąpisz publicznie, jako rycerz cudowny, musisz być nieznanym nikomu, to jest mieć inne imię i inny herb. Pan tak chce, ażebyś zwał się rycerzem Siegfrydem, a na chorągwiach i zbrojach twych rycerzy będzie godło: Credo w następnój postaci:



„Oto herb twój! Zbrojnym twym towarzyszom a nawet ojcu, matce i siostrze polecisz, aby niewyjawiali twego rodu i wysokiego znaczenia. Kto to uczyni, polegnie w najpierwszej bitwie, lub umrze wnet, jako zdrajca sprawy Bożej.“ Mnich kazał uklęknąć rycerzowi. Pobłogosławił nowe jego imię i nowy herb. Rzekł nareszcie: Pośiannictwo me wypełnione. Pamiętaj na wszystkie me przestrogi i bądź zdrow! Ja wracam do klasztoru, uczyć chłopców łaciny.“

„Nieza długo infantcy kawalerowie mieczowi, porozumiawszy się z brandenburskim księciem, wtargnęli z wielkim wojskiem do Niemiec, podbijając hrabiów i baronów, jednego po drugim, szerząc swe zabory szybko na wszystkie strony, bez najmniejszego oporu. Tak więc Germania, wojną domową rozdarta, wziętą teraz była we dwa potężne ognie; z jednej strony Francuz, a z drugiej zakon mieczowy. Młody hrabia heidelbergski dowiedziawszy się niezawodnie, iż ojciec wzmacnia coraz bardziej siły swe w Alzacyi i pomocy jego niepotrzebuje, ruszył na obronę zagrożonej północy. — Gdy przybył na miejsce, wezwał udzielnych panów, ażeby łączyli się z nim przeciw spólnemu wrogowi. Ci pytali się z szyderstwem: „Co to za jakiś tam rycerz Siegfryd? Może on i nie szlachcic, bo ma dziwaczny gzygzak miasto herbu. On nieznan i znak jego nieznan, a ludzi ma tylko garstkę. I awanturnik ten chce nam narzucać prawa!“ Siegfryd zapewniał, że pod jego przewodem zwyciężą, albowiem Bóg go tu przysłał. Oni mu na to: „Gdzie twoje wojska? Czy się mierzyć zdołasz z siłą tak ogromną. Niema dla nas zbawienia, tylko w układzie!“ Wojownik zaś nasz prawił: „Autor układu się piórem, mnich językiem, a rycerz mieczem. — Niechciecie wojować. Dobrze! Sam pójdę na wroga, i za prawdę powiadam wam, nim pięć razy wschód słońca nastąpi, już go tu niebędzie!“ Tak się też i stało. Kawalerowie mieczowi przyjęli tak zwanego awanturnika z lekceważeniem, które opłacić musieli dziesięcią tysięcy swojego wojska i pełną sromu ucieczką z pola. Mówiono, że Sieg-

fryd i jego zastęp zabija samem spojrzaniem. — Po świetnym i niemal niepodobnym do wiary zwycięstwie, zaczęto ufać nieznanemu rycerzowi i zbierano się masami pod jego chorągwie. Zakon, podobny do odradzającego się ustawicznie smoka, wystawiał co chwila nowo wojska, lecz Siegfryd rozmiatał je, jak marny proch ziemi. Czyliż mam tu rozpowiadać wszystkie bitwy, wielkie czyny i cuda Siegfryda? Nie, wy wiecie, że do dziś dnia prawi lud o nim rozliczne dziwy, będące treścią naszych ballad i romanśów. Złamał on potęgę kawalerów mieczowych na zawsze, iż wyrzekli się planu, rozszerzania zaborów swych po Niemczech. Nieraz hrabiowie i baronowie po odniesionych zwycięztwach, tak lub podobnie do niego mówili: „Boski bohaterze! Padlibyśmy w téj chwili przed tobą na kolana, jak przed oltarzem Zbawiciela, gdybyśmy niebali się grzechu. Jesteś oswobodzicielem Germanii. Niema godnej ciebie nagrody i chwały!“ On zaś im odpowiadał: „Błagam was, dajcież mi pokój i nieobrażajcie uszu mych pochlebstw kadzidłem! Czemże byłbym bez mego nauczyciela? Czem bez ukochanej matki, która się o niego wstarzała? Bóg jedynie jest wszechmocny i wspiera tych swem ramieniem, co mu wiernie służą. W Jego ś. wierze polega siła, zastępy wrogów rozmiatająca. O, dopomóżcie mi, moi Panowie, wielbić tego wielkiego mocarza! Wołajcie ze mną od rana do nocy: Boże, Tyś zwyciężył! Tobie jedynie cześć, chwała i dzięki!“ A rycerze posłuszni szepotali między sobą: „Siegfryd zasługuje na podziwienie. Jego mowy są równie chwalebne, jak czyny. Tyle dzielności, a przecież tyle pokory! Tyle mocy, a jednakże jaka bogobojność, skromność, łagodność i dobroć! Zaiste, sądzilibyśmy, że to wszystko pięknem jest zmyśleniem, gdybyśmy na osobę i czyny jego niepatrzyli własnemi oczyma!“ —

„Ukończywszy wyprawę na inflancki zakon mieczowy, powrócił rycerz nasz do domu i zastał w nim ojca, który niechciał wierzyć świetnym wieściom o swym synie, lecz teraz sam z ust jego dowiedział się o istotnej prawdzie

— Siegfryd zabrał się wkrótce do nowój roboty. Jako pan heidelburskiego zamku zachęcał szlachtę i panów do boju przeciw mieszkańcom, których pretendent bawarski zbuntował i uzbroił ku swój obronie. Nieśmiano mierzyć się z tak ogromną, a nadto przeciw rycerstwu zażartą siłą. Sam więc, — lecz jakoby nieznany — pogromca inflanckiego wroga, przeciw niej wystąpił i stał tyków na miazgę pod Frankfurtem. Wjechał do Frankfurtu w tryumfie i mówił: „Nie wam, mieszcuchy, oręż! Bóg przeznaczył wam handel i rzemiosło. Gdyby tak niebyło, gdyby wam i chłopom miecz podawano w dłonie, ustałyby wszystkie zatrudnienia, a każda, choćby najkrótsza wojna kończyłaby się powszechnym głodem i morem!“ — Zwycięstwem tem ośmieleni panowie, zwołali nowy Sejm elekcyjny. Przybył nań i młody hrabia Pfalcu, lecz jako Siegfryd. Naczelnik prawy Elektorów zapytał zgromadzenie: Czy Ludwik Bawarski prawnie obranym jest cesarzem? Odpowiedziano: Nie. Naczelnik: Czy Henryk Austryacki prawnie obranym jest cesarzem? Odp. Nie. Nacz. Czy mamy przystąpić do wyboru nowego, a prawdziwego cesarza? Odp. Tak jest. — Teraz powstał jeden z Elektorów i zapytał się uroczyście: Czyli sławny, a nieznany rycerz Siegfryd zacnego jest rodu? Siegfryd musiał tu odrzec prawdę, że ród jego jest jeden z najstarszych i najpierwszych w Niemczech, lecz że wyjawić mu właściwego imienia, stósownie do wykonanej przed Bogiem i kościołem przysięgi niewolno. „Skoro tak jest, mówił dalej ów Elektor, więc przedstawiam tego wielkiego, cudownego bohatera, co zowie się Siegfrydem, co oswobodził nas z jarzma inflanckich kawalerów mieczowych, a rozmiotłszy nieprzeliczone tłumy mieszcuchów, przywrócił nam dawne prawa, przywileje i swobody; co sprawił, że mogliśmy na sejm ten zebrać się tutaj; co okazał po tylekroć, że Bóg jest z nim; przedstawiam go, mówię, na naszego cesarza!“ Elektorowie zgodzili się na to jednomyślnie i okrzyknęli go swym panem. Stary hrabia Pfalcu zemdlał z radości, lecz przyszedłszy do siebie, udał

przypadkową niemoc. Wiedziono Siegfryda na tron, przybrany pysznie w szkarlaty, lecz on wstąpić nań niechciał i zapewniał, że mu przyjąć dostojności téj niewolno, że sam Bóg mu to zakazuje. Zdziwieni byli wszyscy tą odmową; później byli oburzeni taką obrazą. On zaś błagał, by mieli cierpliwość tylko do jutra, a wszystko będzie dobrze. Między innemi rzekł: „Wiem, że dzielność dana mi jest wielka i że stać mógłbym na szczycie ludzkiej potęgi; wiem, że zgruchotam całą zjednoczoną Europę mojem uderzeniem, gdy tego będzie potrzeba. Jest we mnie moc, której nic na ziemi niezlamię. Lecz właśnie wołą mocy téj niejest, ażebym odział się purpurą. Powiodła mię tu zapewne umyślnie, by mię wystawić na próbę; by mi okazać, jak wysoko ten wznieść się zdoła, kto jój postuszny. Cześć i chwała i dzięki Bogu, lecz korona cesarska nie dla mnie! Słuchajcie! Jutro otrzymacie wiadomość, iż Ludwik pogodził i ułożył się z Henrykiem, wyrzekając się prywaty ku powszechnemu dobru. Okoliczność ta zmieni dotychczasowy smutny stan rzeczy, a cesarz trzeci dałby powód do nowych i długich domowych rozruchów.“ To powiedziawszy, wyszedł. — Posiedzenie rozwiązano, a dzień jutrzejszy ziścił przepowiednię.“

„Siegfryd walczył jeszcze wielekroć za Ojczyznę, świętych dokonywając czynów, zapisanych w kronikach i pamięci naszego narodu, żył długo, lecz nigdy rodu i herbu swego niezdradził.“

„Do Ciebie szczególnie, pułkownika von Haerdteck, — mówił dalej Mohrland, kończąc tę powieść, — stósowałem me słowa. Tyś żołnierzem z powołania. Gdy wojna zagrzmie, będziesz generałem i naczelnym wodzem. Wtedy użyj cudownej twój mocy i stań się drugim Siegfrydem! — Wielu Naszyńców znajduje się w historii. Stary testament opisuje ich żywoty i czyny. Na czele starożytnych stoi Mojżesz. W czasach najnowszych należą do nich: Dziewica Orleańska i Napoleon. Siegfryd jest jednym z najpiękniejszych przykładów. Był czysty, pokorny i bogobojny, szedł za Bożą, a nie za własną wołą, nieu-

niósł się nigdy pychą i blaskiem władzy. Dla tego też nieskończył życia ani na stósie, ani na wyspie Ś Heleny.“

— Tu Mohrland przestał mówić.

Biesiadę zakończyło towarzystwo proroków wycieczką w kraje sztuk pięknych. Herdtman poeta deklamował przednie wiersze, w chwilach samotności i nadziemskiego natchnienia ułożone; Fildyng śpiewał hymny na cześć Boga i Zbawiciela, a Karolina grała na fortepianie arye, jakich ją Serafini niebiescy nauczyli.

I ja na biesiadzie tej byłem, z prorokami jadłem i piłem, a co widziałem i słyszałem, to ninie Wam opowiedziałem.



## II.

### CZĘŚĆ TEORETYCZNA.

Wykształcony należycie i rozsądny czytelnik polski, zastanowiwszy się nad sześciu powyższemi powieściami, rzeknie niezawodnie, że to są arabskie romanse z tysiąc nocy i jedna, nafiltrowane dzisiejszą filozofią; rzeknie, że chcieliśmy podać wzór prozą, jak się mają pisać ballady, lub legendy godne wieku naszego, że o prawdę i poznanie rzeczywistości niechodzą tu bynajmniej, lecz że bujny um (fantazyja) odgrywa tu poetycką rolę. Atoli rzecz się ma inaczej. Powieści owe nie są bez wartości umiętnej, bo wyświecają nam szare, nocne strony ludzkiej istoty. Wartość ich jednakże niejest tak wielka, jaką do nich ten przywiązał, co po raz pierwszy światu je ogłosił. J. Kerning, (właściwe nazwisko Krebs, lecz Kerning stoi w podpisach i tytułach dzieł), uczony i filozofujący Niemiec, mieszkający dziś w Donaeszynge, wśród Czarnego lasu, buduje na powieściach tych nową teorią mądrości nadziemskiej. Zdaje się, że przedstawia sam siebie pod nazwą Mohrlanda,

a uczniów swych, praktykujących w świecie, chrześci pseudonymicznie Silbertem, Fildyngiem, Herdmanem itp. Kerning wydał kilka dzieł, z których najważniejsze: „Klucz do świata duchów, czyli Sztuka życia; Droga do nieśmiertelności; Główne zarysy Biblii; Wolny mularz”. Ponieważ w naszym, chorym ciężko na malignę czasie, podnoszą trupią swą czaszkę śmiało do góry Supernaturalizm, Pientyzm, Mystyka i wszelkiego rodzaju upiоровe teorye; ponieważ zgoła utworzyła się liczna sekta Swedenborgianów, wywołująca nieboszczyków i wypędzająca demonów, tudzież zdołała zapewnić sobie byt polityczny w Królestwie Wirtembergskim; ponieważ dziś, jak za czasów upadającego Cesarstwa Rzymskiego, — co bardzo niedobrym jest znakiem i przepowiada wielką odmianę, — włóczą się po Francyi, Belgii, Anglii, Niemczech i innych krajach fałszywi prorocy, oraz szarlatani najrozlicniejsi; ponieważ wreszcie pisma Kerninga, jak każde poetyczne, szatą cudowności powleczone głupstwo, znajdują dość lubowników, wchodzą w praktykę i mogłyby dostać się w ręce nieprzygotowanych na nie pobożnych rodaków; więc powieści owe nabierają tu tem większego znaczenia. Idzie nam bowiem, nie już o samo psychologiczne usposobienie cudotwórców i lunatyków, ale o posady nowój nadziemskiej mądrości, roszczącej sobie prawo do berła nad człowieczeństwem, tudzież o jeden z rysów charakteru naszego wieku. —

Powieści dane wyjęliśmy z pism Kerninga, przecież z całkowitem ich przerobieniem, tak że podałyśmy je mogli za oryginalne. Tylko cel rzeczy zostawiliśmy bez zmiany. Kerning pisze rozwlekłe i nader niewprawnem, choć starem już piórem. Powieści jego trzeba było skrócić, lepiej uporządkować, ożywić i pewną dzielnością natchnąć. Znana dobrze to prawda, że głowa za tępa i za ciasna dla mądrości ziemskiej, lubi gonić za nadziemską mądrością, gdyż i ona pragnęłaby wysterknąć nad inne w świeczniku sławy. Podobnież się ma z Kerningiem. Teozofia, metafizyka i fizyka jego jest jak najnędniejsza. Dzieli np. naturę na nieżywą (!?) i żywą. Do pier-

wszędzina należą ziemia i rośliny (!?); do drugiej zwierzęta i ludzie. Powieści nasze polegają na jaźni i rozbudzeniu w niej jądrowego, boskiego życia. Kerning tymczasem, jako Niemiec, germańską filozofią zarażony, niema o jaźni należytego wyobrażenia. — Raz chwyta ją z prawdziwej strony, to jest jako transcendentalność w nas żyjącą, czyli jako wieczność, jako świat trzeci, zasadniczy i boski, jako wolę, przedsięwzięcie i moc czynu, sumienie, wolność i własne uczucie; inny raz znowu widzi w niej dli duszę, ducha, a nawet myślenie, które sam jako potępieńca i demona wyklina. Wszystko to musieliśmy poprawić i zmienić. Nauki Mohrlanda, Eildynga i Silberta, zatrzymawszy cel swój, to jest budzenie w człowieku transcendentalnego żywota, nabyły przeto u nas inną zupełnie umiejętną iszczynę.

Kerning nienawidzi systematyczności i rozprawia jak np. nasz Mickiewicz, jak wschodni poeta, lub zachodni prostak z pewnem ducha usposobieniem. Kiedyśmy poznali już podstawę jego nadziemskiej mądrości, wdać się nam trzeba nieco bliżej i w tę mądrość samą. Przywodzimy tu teorią tego Niemca, lecz w podobnymże przeobrażeniu, jak dawniej jego powieści. Oto nowa nauka, pragnąca świat zreformować i zbawić:

„Pierwiastkowy ród ludzki przepełnion był żywotem wewnętrznym, transcendentalnym, nadziemskim i boskim; żywotem mądrego Mohrlanda. Ale zajmawszy się zupełnie światowością i począwszy holdować Materyalizmowi, uronił ten żywot, a z nim i światłość jedynie prawdziwą. Wszystkie księgi odwieczne, święte i nieświęte, są dla nas Sfinxa zagadką. My ich nierozumiemy, bo straciliśmy zdolność ku temu, t. j. zmysł dla nadziemskiej prawdy. Urim i Thummim Hebrajczyków przepadły dla nas na zawsze. Symbola jakarnacy indyjskiego Wisznu stały się nam niedorzecznymi baśniami. Samo wcielenie się Chrystusa przechodzi władzę naszego pojęcia. Pyszniimy się z naszego rozumu i umysłu; lecz pierwsi mieszkańcy ziemi mieli wyższą daleko ducha potęgę, oglądając Boga i rzeczy

Boskie bezpośrednio. My potęgi téj nieposiadamy. Świat ludzki zgubił coś wielkiego, coś niebiańskiego, coś takiego, co stawilo go w równi z Cherubinami i innymi mieszkańcami krain wieczności. Szuka on straty téj od dawna. Odkrycie na nowo tego klejnotu stało się celem i dotychczasową daremną pracą Wolnego mularstwa. Chrześcijaństwo ma to znaczenie, że Bóg, chcąc rodowi ludzkiemu nagrodzić tę stratę, zesłał Syna swego na ziemię i kazał mu świat transcendentálny na nowo odświeżyć. Ono dało nam prawdziwą wiarę, lecz nieprzywróciło bezpośredniego zmysłu dla wiekuistej prawdy. Mohrland szukał kamienia mądrości, odkrył go w głębinach jaźni ludzkiej i wskazał światu gościniec, którym idąc każdy z nas, zdobyć potrafi nieoszacowany ten skarbiec.“

„Wiara zastępuje dziś miejsce dawnego jasno wiedzienia. Ona jest największym człowieka szczęściem, trzyma jaźń jego w niebiańskiej czystości i wiedzie go w końcu do zbawienia. Filozofia, umiejętność i nauki mają początkiem swym rozbrat z wiarą. Wywołały je zapamiętała miłość świata i spraw jego, oraz szatańska tak zwanych jeniuszów pycha. Jest to słusznie od Boga Adamowi i Ewie zakazany owoc z drzewa ziemskiej, skończonej, co chwila innej wiadomości. Wszystko tu, nawet najeteryczniejszy bezwarunkowy Idealizm, jest na dnie prawdy Materyalizmem, polega na samolubstwie zbuntowanej, czyli od ducha złego uwiedzionej jaźni. Wszelka nauka i sztuka, zgoła zatrudnienie każde, mające li rzeczy ziemskie na celu, jest demonem, który urodził się w piekle i panuje na naszym biednym świecie. Taki demon umie jaźń ludzką, jak pajak muchę, uplątać w swe sieci, zrobić ją branką i kołysać aż do końca życia w braku uczucia własnego. On pożywa jęj swęj roztropności, przebiegłości, zręczności i dzielności, tak, że jaźń sądzi, iż ma jeniusz lub wyniosłe talenta, za pomocą których rozbija napotykanę w drodze zawady, przychodzi do sławy, lub wysokiej dostojności i panuje nad ludźmi. Niedziw: potężny demon ją opętał i przelął w nią swe siły! Śmiało rzec można, iż każdy człowiek,

zwłaszcza wykształcony, tak mężczyzna, jak niewiasta, jest opętany. W niejednym siedzi cały pułk demonów. Rzadki tu bardzo wyjątek. Ludzie o tem niewiedzą, iż mieszka w nich piekło w nich i kieruje nimi, jako posłusznem swem narzędziem; albowiem przyjsć do takiej świadomości ten jedynie zdoła, na kim spoczywa łaska Boża, lub też kto żywot swój wewnątrz w tak znakomitym rozbudził już stopniu, jak np. chora Karolina Ruppert. Wszakże sam adwokat Silbert niewiedział, nim przejrzał prawdą, że 44 tysiące demonów nim władało. Oprócz tego szatan jest takim lisem, że potrafi niewolnikowi swemu ukryć to, iż nad nim panuje, a człowiek naturalny znowu tak głupim, iż słodkiego, gorąco ulubionego jarzma swego bynajmniej niespostrzeża i nieczuje. Ale biada temu, w kim przy końcu życia poruszy się boska jaźń samodzielnie i ujrzy piekielne swe dyby! Czeką go los podobny, jaki spotkał np. Linneusza, Weissego i tylu innych, to jest zdziennienie i kołowatość ducha w starości.

Od czasów Hermesa Egipskiego, a nawet pierwój jeszcze, trudniły się najcelniejsze ziemskie jeniuzsze filozofią, umiejętnością i nauką, polując nieraz całemi rotami za prawdą. Ale, cóż zrobiono? Jedna teoria zbija tu wciąż drugą, a po najslawniejszym mądrości całokształcie (systemie), następuje wnet całokształt jeszcze slawniejszy. Zkąd to pochodzi? Oto, że na polach znikomości, którą trudnią się w gruncie wszystkie nauki, prawdy niebyło, niema i niebędzie. Zaczem miasto za ocean mądrości, chwymano tu ciągle za fata morgana. Późno wybrał się do krainy, dzisiejszy wędrowcu! Tu już wszystko zwiedzono, a niczego nieodkryto. Lepiej zrobisz, iż wyszukawszy Mohrlanda, zawołasz z nim razem: „Filozofia i nauka jest ziemskim głupstwem w szychowej mądrości szacie. Precz z bibliotekami, księgami, systemami; precz ze wszelką uczoną bazgraniną! Mądrość rzeczywista zdobywa się li cudowną praktyką. My jesteśmy ludźmi czynu!“

„Patryarchowie świata posiadali mądrość nadziemską i żywe głębokie uczucie nieśmiertelności, oraz boskość

własnej. W naszych czasach, gdzie abstrakcyje i syllogizmy wyziębily serce aż do dna, gdzie każdy niemal człowiek jest adwokatem Silbertem, niezdolnym czuć i wierzyć, lecz szukającym filozoficznej myśli; w takich czasach, tuszymy, iż nauka nasza przyjdzie w pomoc niejednemu i bogie przyniesie zmaterializowanemu światu korzyści. Uczyniliśmy wreszcie to tylko, co Pan niebios i ziemi nam polecił. — Siły wewnętrznego żywota, jak to widzimy na marnościach sennych, są ustawicznie w ruchu i niemogą nigdy spocząć. Siły te nieznają, czem jest z mordowanie i znużenie, bo są wiecznej natury i promieniem nadziemskiej wszechmocy. Skoro człowiek wejdzie z nimi w równowagę i zamieni je w dowolne, posłuszne sobie siły własne, skoro wśród jawu zdoła widzieć, słyszeć i czuć cudowne ich utwory; natenczas ustaną w nim być nieświadomymi, otrzymają prawdę swą, rzeczywistość i znaczenie, odsłonią mu nadziemskie dziwy i dadzą, czego tylko żąda. Przez nie wstąpi w niego prawdziwa mądrość i część wszechmocy. Senna marności i dowolne jasno widzenie, oto pierwszy i ostatni kraniec wewnętrznego żywota. Na nich opierają się objawy snu magnetycznego, wszystkie tajemnice natury ludzkiej i nauka nieśmiertelności w każdej religii; na nich, jak na niewzruszonych barkach Atlasa, spoczywa także mądrość, którą ogłaszamy. — Świat dzisiejszy w nic niewierzy, jak adwokat Silbert, i nieśmie odepchnąć od siebie przeszłowiecznego przesądu, zowiącego cuda i transcendentalne dziwy, duchy i upiory głupstwem. Filozofia i umiejętność utwierdza go codziennie silniej w niewierze. Ztąd pochodzi, że porywa go przesyt jakiś nieznośny i brak zadowolnienia z życia; ztąd owa powszechna dążność za zbytkiem, rozkoszą i zmysłową uciechą. Świat dzisiejszy niezna wiary, ani jej nawet pojąć nie może; dla tego niezdolny jest do ofiar za wolność, której ognistą miłość udaje. On niekocha wolności prawdziwie, bo gdzie braknie wiary, tam niema równie miłości, jak nadziei. Świat dzisiejszy jest nieszczęśliwy, jak adwokat Silbert. Dla tego też zniewolić go tak potrzeba do

wiary, jak Silbert. Wróci on na drodze tej do wiary, albowiem ujrząwszy na żywe oczy zjawiska i dziwy, których ani pod rubrykę rzeczy przyrodzonych, ani też pod kategorię filozoficzne podciągnąć niemożna, w ubóstwie swój, również upadkiem pierwotnego człowieka napiętnowanej mowy, zawoła: Siły, jakie rozwijam w sobie i przenoszę za siebie, są transcendentalnej, to jest nadziemskiej, wiecznej, boskiej, takiej natury, której pojąć niezdolam, lecz w którą, doświadczając jej potęgi sam na sobie tak widocznie, wierzyć muszę bez warunku. Środki do tego wielkiego celu wskazaliśmy w uczy (metodzie) Mohrlanda i Fildynga. Są proste i niezawodne, choć trudne. Kto ma odwagę chwycić się ich, przekona się wkrótce, jak dalecy dziś jesteśmy od własnej naszej jaźni prawdziwej i nadziemskiego jej żywota. Temu zapewniamy uroczystość, iż pozna sam siebie we wnętrzościach i głębokościach serca; iż dopnie tego, co Silbert i Mohrlanda dzisiejszemu światu potrzeba! Oto nauka Messyjanizmu, o którym prawią wszyscy, co oczekują nowej Epoki w dziejach ludzkości!

„Ród nasz rozpadł się na dwa przeciwne sobie bieguny. Człowiek żyje albo w zupełnej światłości niebios i wedle praw Bożych natury swój jądrowej; albo też w ciemnościach ziemskich, służąc tym lub owym potężnym znikomości demonom. W obu razach zdola posiadać jedność z sobą i równowagę we własnej jaźni. Człowiek pierwszego biegunu rzadko upada, bo żyjąc w światłości, widzi wybornie każdą otchłań i rzucić się w nią niezapragnie. Ale gdy człowieka biegunu drugiego opuści dawna ślepota i zarozumiałość, gdy ujrzy wysoko nad sobą obłoczek wiekuistego światła; co ma czynić naówczas i jaką udać się drogą? Nie inną, tylko którą wędrowali Karolina Ruppert i adwokat Silbert. Jego cała natura rozstroi się, jak klawikort, na który spadł kamień żarowy, i nastąpią w niej tak duchowne jak cielesne chorowite symptoma, których psycholog zwyczajny niepojmuje, a lekarz uleczyć niepotrafi. Wtedy sztuka Mohrlanda jest sztuką Zbawi-

ciela, wypędzającą z opętanych szatanów i przez to przywracającą im zdrowie. O, gdyby nam wolno było zaglądać wraz z lekarzami do szpitali i izb cierpienia! Ileż zjawisk odkrylibyśmy, których początkiem jest przechód z niewiary w wiarę, że światowości w nad światowość, czyli nagle ujrzenie niebios i stracenie przez to równowagi, w dotychczasowej li ziemskiej swój jaźni! Wszystko, co objawia się gwałtem i nagle, pociąga za sobą niebezpieczną rewolucją. Również przechód z nocy żywota do jasnego dnia prawdy. Jak łagodnie tymczasem rozjutrznia się słońce niebiańskie w duszy majtka Wipnera i kapitana v. Hærdteck! Jestto dowód pierwszeństwa wiary i prostactwa nad wykwitną ciemnotą naszego oświecenia!“

„Człowiek zabłąkał się od wieków w kręte ścieżki i krzyżowe bezdroża. Dla własnego więc szczęścia wrócić powinien na prostą drogę, którą mu Bóg przeznaczył. Jagódki i jabłuszka zebrane na błędnej wędrowce, oraz pożyte z chciwością, przeistoczyły się w jego światową istotę; trucizna ich przeto niedaje się tak snadno z niej oddalić, ani też zrobić nieszkodliwą. Siły nadziemskie tymczasem działają w nim bez ustanku, tworzą w nim myśli, uczucia, wyrazy, formy i postaci, które, jak się to dzieje we śnie, mimo jego chęci i woli uśmiechają się doń łagodnie, lub też trwożą go i prześladują. Jeżeli człowiek, tak usposobiony, odepchnie choć w pewnej części od siebie wpływ zewnętrznego świata i zacznie poczuwać się wewnątrznie, albo raczej jądrowo; to rozdwojenie własnej jaźni i stracenie żywotnej równowagi, tudzież idący za nimi stan magnetyczny, jest w nim koniecznością. Wtedy, zwłaszcza, gdy rozbrat jaźniowy wzrasta i walka w piersiach wre silnie, wzgardzone światowe siły, chcąc wyptoszyć młode siły nadziemskie, objawiać się mogą w kształcie zewnętrznych poczwar i strasydeł. Kto w takowym razie nie straci odwagi i przechyli się zupełnie na transcendentalną stronę; ten odeprze groźnego wroga zwycięzko, ujrzy pierwowzory niebios i posłyszcy Boże słowo wiekuistego, prawdziwego żywota. Przez labirynty idzie gościniec w kraj



istoty. Błogo temu, kto natrafi tu na nie Aryadny, lub na Aryadnę samę, to jest na rękę przyjaciela, znającego się dobrze na rzeczy, na jakiego Mohrlanda! Taki wyjdzie z otaczających go niebezpieczeństw szczęśliwie. Inaczej mógłby ulęknąć się przeszkód i ulgnąć znowu w twarogu zwyczajnego wegetowania, nazwanego jakby przez szyderstwo, człowieczem życiem. Gwiazda niebios wyprowadza nas z ciemności, skoro otrzymaliśmy oko niecielesne. Kto ujrzał tę gwiazdę, niech idzie za nią, a trafi do Betleem, jak niegdyś trzej królowie, i pozna prawdziwego Boga-człowieka! Niech idzie za nią z wiarą, nadzieją i miłością, niedozwalając osłepić się śmieciowym mądrościom, przypisującym takie cuda przeladowaniu żołądka, krwi, lub niepokodzie! Człowiek posiada sam w sobie niezawodnego przewodnika, który go przeprowadzi szczęśliwie przez chmury i mgły zwyczajnego życia. Lecz przewodnika tego należy ze snu obudzić; później zaś pójść za nim z całą ufnością.“

„Trzy są główne i pierwotne światy, przenikające w szereg-istnienie: materialność, duchowość i boskość. Bóg nad światami temi panuje, jako ich Stwórca, tudzież mistrz i władca naczelny. Jaźń ludzka jest boskością, stanowiącą nasz wiekuisty szpik i korzeń; jest tchnieniem Bożem w nas. Kto żyje w samem jądrze swęj jaźni, rozbudził w sobie boskość. Jeżeli mu się uda, boskość własną stopić w jedność ze wszelką boskością, natenczas stanie się istnym obrazem i podobieństwem Boga, a dwa inne pierwotne światy, to jest materialność i duchowość, będą mu posłuszne. Wtedy rzeknie do góry: Przenieś się z miejsca tego na inne! — i góra pójdzie za ręki jego skinieniem, jak potulna niewolnica. Wtedy rzeknie: Odsłoń się przed mem okiem mądrości przedwieczna! — i mądrość ta stanie się jego dziedzictwem!“

„Człowiek ma być zupełnie własnym panem, to jest ma posiadać sam siebie całkowicie. Oto cel wszelkiej jego nauki i mądrości. Nietylko więc w sercu, lub w głowie, nie! w całym ciele, w każdym członku, mu-

szkule i nerwie, niech usiłuje uczyć się i poznać w pełni! Inaczej podobien będzie do francuskich karykatur, przedstawiających głowę, serce, żołądek, lub wątrobę olbrzymią w ciele karła, i niewyrobi się do jednozgodnego z sobą we wszystkim żywota. Pod tym względem błędzą ludzie najczęściej. Ten pragnie być li myśleniem, ów li uczuciem! Niebaczni! Czyliż zapominacie, że nie sama głowa, ani samo serce jest waszem ciałem, lecz że każdy członek w was ma również wysokie przeznaczenie? Starajcie się utrzymywać to, co już posiadacie, i miejcie przekonanie, że gdzie w was objawia się żywot wewnętrzny najwyraźniej, tam najbliżej Boga jesteście. O, niebądźcie stroniczemi względem władz i potęg waszych! Nabierzcie téj pewności, że istotna doskonałość polega na równej dzielności sił wszystkich. W najniższych tonach muzyki ukrywa się cała wyższych tonów orkiestra. Dla tego spuście się do najniższych komnat waszego ciała, pomnąc na to, że sam Chrystus wstępował do piekieł, i usiłujcie wsze siły, wsze duchy przeprowadzić zład do niebios, do wyższego życia! Nieustawajcie pracować i niespocznujcie tak długo, aż każdy członek, nerw i muszkulek wasz przeistoczycie w soczewkę, przez którą spoglądać będziecie w tajemnicze obszary wieczności; niedozwólcie szukać się podszeptom świata, wymagającego od was li głowy, ręki, lub nogi z zaniedbaniem reszty ciała! Precz z poznaniem bez uczucia, z uczuciem bez prawdziwej myśli, z myślą i uczuciem bez czynu! Miejcie odwagę być samemi sobą w całkowitej pełni; inaczej podobni będziecie do owych łotrów, którym na krzyżu nogi połamano, i których z tego powodu zdjąć z krzyża niewolno było! Ufajcie długości czasu, lecz korzystajcie z każdej cieknącej chwili, albowiem wiele pracy i mnóstwa lat potrzeba, nim człowiek rzeczywisty dojrzeje w was zupełnie; nim okryjecie jądro żywota i potrafcie w nim tron dla siebie zbudować.

„Rzeknie kto, iż nauka nasza jest niepraktyczna, bo oddala człowieka od zwyczajnych zatrudnień i obowiązków od świata i wymagań społeczeństwa. Kto śród wrzawy

chleborodnej, opowiadamy, potrafi, jak np. majtek Wipner, rozbudzić i pielegnować w sobie ogień wewnętrznego żywota, niepotrzebuje wcale rozstawać się ze swą zwyczajną czynnością; kto zaś pomimo najserdeczniejszych życzeń i najgorliwszych usiłowań, pozostaje w ciemnościach, powinien starać się usunąć zawady i tamy, jeżeli nie chce wyrzec się samego siebie i lepszój swój przyszłości. Wreszcie mało jest Bogu dzięki, takich stanów i zatrudnień, w którychby niepozostawał czas wolny ku pracy nad samym sobą i własnem zbawieniem.“

„Położenia takie, w których duma i przebiegłość ludzka otrzymuje wonne kadzidła, są najniekorzystniejsze dla dążności za rzeczywistym żywotem, gdyż zdobywają nas całkowicie i robią przymioty nasze złotemi cielcami, przed którymi chętnie bijemy czołem. Przeciwnie zaś położenia, wymagające pracy, mocołu, rzadkiej pilności i pokory, okazują się ku naszym zamiarom dobroczynne, gdyż oddalają gwałtowną w jaźni rewolucyą, a wiodą ją do spokojnej i cierpliwój reformy. Wreszcie różne środki prowadzą tu do tegoż samego celu. Życie zewnętrzne i wewnętrzne mają zazwyczaj mniej więcej jednaką potęgę. Gdzie wątpliwość, tam delikatna dusza. Karzeł niepokusi się porwać za maczugę Herkulesa, a synek olbrzyma skałę i drzewkłoce robi swem cackiem. Również w krainie ducha i jaźni. Kto ma głęboką wiarę, z tym zaczynaj wprost od chrztu jaźniowego. Praktyka nasza stosuje się przeto ściśle do naturalnych i duchowych usposobień osoby.“

„Harmonia tonów, matematyczne figury i estetyczne formy polegają na prawach nieomylnych; dla tego też zawodzić nas niemogą. Również pewną stać się ma w nas harmonia żywota, opierająca się na niezmiennych prawach Boga i nosząca nieomylność w samój sobie. Nieomylność jest waszym celem. Za nią ubiegacie się wszyscy, począwszy od rolnika aż do filozofa. Każdy pragnie znać przedmiot swój doskonale. Wielu rzecz ta się udaje, innym zaś za ledwie w pewnej części; lecz dążność za nieomylnością leży w ludzkiej istocie. Szukajcież więc nieomyln-

ności tam, gdzie chodzi o żywot prawdziwy, gdzie nagroda wielką jest bez miary i występuje w ciągle odświeżającej się niebian rozkoszy. Nieomyślność ze wszystkich największa znajduje się w jasnowidzeniu. My wiemy, was do niej. Do roboty więc, bracia! — Nieoddawajcie prawdziwego żywota za czeze jego pozory. Co rzeklibyście o matematyku, któryby kochał się w geometrycznych figurach, lecz niepytał wcale o geometryczne prawdy? Nazwalibyście go pędrakiem. Również po pędracku postępują owi, co kąpią się w znikomych bagnach życia, nietroszcząc się bynajmniej o życie samo, ani szukając zbawienia swego w poznaniu i wykonywaniu niemylnych praw jego. Zdobywszy prawdę rzeczywistą, powinniście dziękować Bogu, nie tylko za tę prawdę, lecz także za to, że wam dał zdolność jej zdobycia. Zdolnością tą albowiem możecie osiągnąć nieśmiertelność. Bóg jest przedwieczną prawdą. On wlał w was lampkę światłości swój, abyście zdołali uwolnić się od nocy i otoczyć dniowym jego blaskiem. Bóg jest wszędzie i prawda wszędzie, a człowiek stworzon został na to, aby poznał Boga i prawdę. Zasadom tym pragnijcie hołdować, bo zjednoczą was niezawodnie z boską wszechmocą, pod której opiekuńczą tarczą żyć będziecie szczęśliwie. Jak prawda jest wieczną; tak wiecznym staje się człowiek, który ją posiada. Toż samo znaczy się o wszechmocy i boskiej mądrości.“

„Są ludzie, którym transcendentalność jest bajką dla gminu i którzy nam zarzucają, iż nauczamy urojenia. Panom tym odpowiadamy: Jestże urojeniem senne marzenie, którego sami co noc doświadczacie? Czy urojeniem jest stan magnetyczny, objawiający się po ciężkich chorobach, któremu od lat tylu poświęcają uwagę lekarze, naturaliści, filozofowie i teologowie? Czy urojeniem są historyczne przepowiednie, które się sprawdziły, i prorocтва starego testamentu? — Moi Panowie, wiele jest rzeczy na niebie i na ziemi, o których się wam ani śniło, które przechodzą moc waszego rozumu?“

„Nauka nasza nietylko zgodna jest z chrześcijaństwem, lecz owszem stanowi klucz do gruntowniejszego jego poznania. Tu także, jak u nas, mądrość tego świata zowie się głupstwem przed Bogiem; tu także filozofia, umiejętności i nauki są odepchnięte, jako dzieła buntowniczego ducha. Oto słowa Pisma: „Patrzcież, by kto was nieoszukał przez filozofią i próżne omamienie; wedle ustawy ludzkiej, wedle żywiołów świata ucząc, a nie podług Chrystusa.“ (Koloś. II. 8.). Gdzież mądry, gdzie doktor, gdzie badacz świata tego? Ażali nie głupią uczynił Bóg mądrość tego świata? Albowiem gdy w mądrości bożej świat nie poznał Boga przez mądrość, podobano się Bogu przez głupie przepowiedanie zbawie wierzących. Głupstwo Boże jest mędrze nad ludzi, a młdłość Boża mocniejsza nad ludzi. Bóg wybrał głupstwa świata tego, aby zawstydził mądrych; a młdłe świata tego wybrał, aby zawstydził mocnych. — A opowiadamy nie mądrość wieku tego, ani książąt wieku tego, którzy niszczej; ale mądrość bożą w tajemnicy, onę mądrość zakrytą, którą Bóg przezna czył przed wieki ku chwale naszej. Opowiadamy, czego oko nie widziało i ucho nie słyszało, co w serce człowiecze nie wstąpiło, a co nagotował Bóg tym, którzy go miłują. — Któż z ludzi wie, co jest człowieczego? Wie to jeno duch człowieczy. Także też, co jest Bożego, nikt nie wie, jeno duch Boży. A my nie wzięliśmy ducha tego świata, lecz ducha, który jest z Boga, abyśmy wiedzieli, co nam Bóg darował. A człowiek cielesny niewie, iż napisano: „W niwecz obróć mądrość mądrych, a do wciup rozumnych odepchnę! — niepojmuje przeto tych rzeczy, które są z ducha Bożego. Albowiem są jemu głupstwem i niemoże ich rozumieć.“ (Korynt. I. Rozdz. I i IV.) — Te miejsca, jako też mnóstwo innych dają nauce naszej religijne bierzmo.“

„Jak my, tak i wyznania chrześcijańskie, wiodą człowieka, naprzód przez zasady łatwe do pojęcia, rozbudzające w nim przekonanie o istniejącej wieczności i będącej jego rdzeniem, oraz zapalające jej miłość; później uwieczniają

dzieło swe wiarą. Wiara jest świętem nasieniem, z którego wyrasta bogate żniwo wewnętrznego żywota, szczęścia i zbawienie. Nie ślepa wiara, ale oświecona wewnętrzną i zwykłym badaczom nieznaną naturą, tudzież duchem Świętym, jest naszym i Chrześcijaństwa celem. Jak nowego testamentu, tak i naszą kardynalną zasadą jest zdanie: „Zaprawdę, powiadam wam, że wszystkie grzechy będą odpuszczone synom ludzkim, i bluźnierstwa, którekolwiek bluźnili; ale kto bluźni przeciw Duchowi Świętemu, niema odpuszczenia na wieki i będzie winien grzechu wiecznego.“ (Ew. Marka. Roz. III. 28. 29.) Duch Święty jest jasnowidzący i daje jasnowidzenie. On, to król wszystkich proroków i cudotwórców! Niechcimy bluźnić przeciw Niemu, i dla tego ożywijmy Nim naszą wiarę! Wiara nasza jest cudowną potęgą, wznoszącą się z głębokiego uczucia żywota i nadziemskiego w nas jądra, porywającą za istotne poznanie i napełniającą nas światłością Bożą. Uczeń o wierze tej wyobrażenia niemając. „Kto ją posiada, ten ją zna. Niejest to owoc syllogizmów, lecz doświadczenie wyższe, dzielność czynnego i za niebem tęsknego żywota.“

„Są miejsca w Biblii, dające nauce naszej świadectwo, że ogień żywota wewnętrznego przejmując Boga-człowieka i leczy chorych, mających głęboką wiarę. Robimy tu następujące wyjątki: „A gdy wszedł Jezus do Kafarnaum, przyszedł do niego rotmistrz, prosząc go, i mówiąc: „Panie, sługa mój leży w domu powietrzem ruszony i utrapion srodze. I rzekł mu Jezus: „Ja przyjdę i uzdrowię go. I odpowiadając rotmistrz, rzekł: „Panie niejestem godzien, abyś wszedł pod dach mój. Ale tylko rzeknij słowo, a będzie uzdrowion sługa mój. A usłyszawszy to Jezus, dziwował się, i rzekł tym którzy szli za nim: „Zaprawdę powiadam wam, nieznalazłem tak wielkiej wiary w Izraelu. I rzekł Jezus rotmistrzowi: „Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie. I ozdrowiał sługa tejże godziny.“ (Ewan. Mat. Rozd. 8. w. 5. 6. 7. 8. 10. 13.). Jezus przyszedł na prośbę rodziców do umarłej ich córeczki. Odstępnie mówił, al-

bowiem nieumarła dziewczeczka, ale śpi. I śmiano się z niego. A gdy wygnano rzeszę, wszedłszy, a ujął ją za rękę. I powstała dziewczeczka. (Mat. Rozd. 9. w. 24. 25.) Dwaj ślepi szli za Jezusem, wołając: Zmiłuj się nad nami synu Dawidów. A gdy przyszedł do domu, przystąpili doń owi ślepi. I rzekł im: Wierzycieź, iż wam mogę to uczynić? Rzekli mu: tak Panie. Tedy dotknął się oczu ich, mówiąc: wedle wiary waszój niechaj się wam stanie. I otwoczyły się oczy ich. (tamże w. 27 — 30.)

„Chrystus wymaga także odrodzenia się zupełnego, i tylko tym co się odrodzili, przyrzeka nieśmiertelność, czyli królestwo Boże. Oto Jego słowa: „A był człowiek faryzeusz, imieniem Nikodem, ksiązę Żydowskie. Ten przyszedł do Jezusa w nocy i rzekł Mu: „Rabbi, wiemy, iżś przyszedł od Boga nauczycielem, bo żaden znaków tych czynić niemoże, które ty czynisz, jeśliby z nim Bóg niebył.“ Odpowiedział mu Jezus: „Zaprawdę, zaprawdę mówię ci, jeśli się kto nieodrodzi, z nowu, niemoże widzieć Królestwa Bożego!“ (Ew. Jana. Rozd. 3. w. 1—3.).“

„Królestwo Boże, wedle nauki Chrystusa, jest w nas, i powinniśmy wydobyć je z siebie. „A będąc spytany od Faryzeuszów: kiedy przyjdzie Królestwo Boże; odpowiedział: Nieprzyjdzie tak, aby je spostrzeżono. Ani rzeką: oto tu, albo tam. Albowiem oto królestwo Boże wewnątrz was jest! (Ew. Łukasza r. 17. w. 20. 21.).“

— Tu na ziemi i za życia mamy zatem pozyskać Królestwo Boże; po śmierci niebędzie to już w naszej mocy. Z ciała i ducha własnego potrzeba nam wydobyć jaźń, czyli ducha, pochodzącego od Boga. Sądzicie może, iż jaźń rozbudzi się sama w pełni swój, iż duch Boży przyjdzie niewołany i nieproszony? Wszakże już złe duchy, czyli demony światowe, jak np. różne nauki, wymagają z naszej strony mozołu poświęcenia się i czasu nader długiego!“

„Równie, jak my, wypędza Chrystus demony z ciała Opętalców, lecz wypędza je snadniej, bez korowodów i jeźdnem słowem, albowiem był urodzonym Bogiem czło-

wiekim, nie zaś takim, co dopiero ciężkim trudem wypracować się musiał do tego rzadkiego na ziemi szczytu. Demonami są także w biblii potęgi światowe, wstępujące w ludzi, co ujrawszy światło nadziemskie, zapragnęli rozstać się z niemi, i stracili przez to jaźni swęj równowagę. Dajemy tu przykłady do rozmyślenia i porównania: „A gdy był wieczór, przywiedli mu wiele Opętanych. I wyrzucał duchy słowem. I wszystkich, którzy się źle mieli, uzdrowił. — Zabieżeli Mu dwaj Opętani, z grobów wychodząc, bardzo okrutni, tak iż nikt niemógł przejść oną drogą. A oto zakrzyknęli, mówiąc: „Cóż ty masz z nami Jezusie, synu Boży? Przyszedłeś tu przed czasy męczyć nas!“ A było niedaleko od nich stado wielkie wieprzów na paszy. Tedy czartowie prosili go, mówiąc: „Jeśli nas wyrzucasz, puść nas w stado wieprzów!“ I rzekł im: Idźcie! A oni wyszedłszy, weszli w wieprze. Alie oto wszystko stado z wielkim pędem z przykra wpadło w morze i pozdychało w wodach. (Mat. Rozd. 8. w. 16. 28—32.) Patrz Mateusza Rozdział 15. w. 22. 28. Rozdział 17. w. 14—20. Marka Rozd. 1. w. 23—34. Widzimy tu, że demony pisma zgodne są zupełnie z nauką naszą. Wszakże mają naturę właściwości tych osób, które dręczą, są przeto wyrostkami ich żywota. Duchy te są świadome siebie i posiadają mądrość wysoką, gdyż wiedzą, kto jest Chrystus i jaką ma nad nimi władzę. Jestto przebiegłość tego świata, nienawidząca, jak w Silbercie, świętości wiekustej, a przecież mimowolnie korzyć się przed nią zmuszona.“

„Ze nie sam Zbawiciel robił cuda, lecz dał i wiernym swym wyznawcom moe podobną, dowodzi niejsce następane: Jezus mówił apostołom: Idźcie, ucźcie i opowiadajcie, iż się przybliżyło Królestwo niebieskie. Niemoćne uzdraiwajcie, timarłe wskrzeszajcie, frędownate oczyszczajcie, czarty wyrzucajcie. Darmoście wzięli, darmo dawajcie! (Mat. X. 7. 8.)“

„Ze ludzie wejść mogą bezpośrednio we związek z niebem i jego mieszkańcami, dość jest dowodów na to w sta-



rym testamencie. My przywodzimy tu jeden tylko z nowego: „A po sześciu dniach wziął Jezus Piotra i Jakóba i Jana brata jego i poprowadził ich na górę wysoką. I przemienił się przed nimi. A oblicze jego rozjaśniało jak słońce; szaty jego stały się białe, jako śnieg. A oto się im ukazali Mojżesz i Eliasz: rozmawiając z Nim. A rzekł: Panie, dobrze nam tu. Jeżeli chcesz wystawimy trzy przybytki, Tobie jeden, Mojżeszowi jeden i Eliaszowi jeden. (Mat. Rozd. 17. w. 1—4.) Patrz jeszcze w Łukaszu Rozd. 8. w. 11—12.)

„Oby wyjątki te z Pisma Świętego okazać zdołały dostatecznie, czem jest nauka nasza i Chrześcianaństwo! Śmierć pokonać, o to zadanie, które Chrystus rodowi naszemu uczynił, i które my w nauce naszej rozwiązać usiłujemy. Gdy wszyscy odrodzą się wiekuistym, boskim żywotem, ustaną choroby, i śmierć skończy swe panowanie. Dziś masz miliony Żywych, którzy są i będą na wieki Umarłymi, jak każdy zwierze, krzew, kamień lub kruszec.“

„Sumiennosc nakazuje, ażebyśmy także wskazali różnicę między nauką naszą a Chrześcianaństwem, wszelakoż różnicę na samejże biblii opartą. My jesteśmy, ściśle i właściwie rzecz biorąc, uczniami Sgo Jana Chrzciciela. Jak to rozumieć? Chcąc się wytłumaczyć, przywodzimy tu wstęp do ewangelii Jana Apostoła:

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, Bogiem było Słowo. To było na początku u Boga. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. W niem był żywot, a żywot był światłością ludzi. A światłość w ciemnościach świeci i ciemności jej nieogarnęły.“ (wiersz 1g 5.)

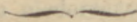
„Był człowiek posłany od Boga, który nazywał się Jan. Ten przyszedł na świadectwo, aby świadczył o światłości, aby przez niego wszyscy wiedzieli. Nie był ci on sam światłością, ale miał świadczyc o światłości. Byłać światłość prawdziwa, która oświeca wszelkiego człowieka na świat i ten świat przychodzącego.“ (w. 6—9.)

„Oto hieroglyf, wskazujący Chrześcijaństwu i nam osobne drogi, schodzące się w atoli u jednego celu. Chrześcijaństwo polega na początkowych pięciu wierszach powyższej ewangelii i jest Słowem, które było u Boga i Bogiem, co stanowi istny żywot i światłość samę. Nauka zaś nasza opiera się na czterech wierszach następnych, osobno wypisanych. Wyraźnie i jak najoczywistej jest w nich mowa o światłości takiej, jaką mieć mogli wszyscy, co przed Chrystusem żyli, wszyscy także, co dziś nauki Jego nie uznają, i filozofii, lub innym religijnym wyznaniom holdują. Chrześcijaństwo oświeca tych, co chrzest przyjęli wraz ze Słowem. Światłość zaś, której daje Jan Chrzciiciel świadectwo, niewyłącza żadnego człowieka, ani nawet poganina. I naszym też bratem być może, nie tylko Chrześcijanin, ale Żyd, Mahometanin, każdy z ludzi. Jest to światłość, choć nie wyłącznie chrześcijańska, ale i pra wdziwa, „któraż oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego.“ — Teraz pytanie, co to za światłość, o której Jan Chrzciiciel daje świadectwo? Chrześcijaństwo uczy wprawdzie wiecznego Słowa, jednakże li za pośrednictwem pisma, wszystkich sakramentów i obrzędów kościelnych; słowo zaś wieczne w swój bezpośredności i pierwiastko wój, naturalnej potędze żyje w pierśsiach każdego człowieka, żąda, aby je zbudzono i wyjawia się mocą ludzkiej mowy w pewnej formie myśli, lub czynu. Nauka Chrześcijańska wiedzie człowieka do Boga za pomocą Ewangelii; nauka zaś, o której Jan Chrzciiciel świadczy, czyli nauka nasza, wiąże człowieka z Bogiem wprost i dawszy mu tym sposobem namaszczenie olejem wieczności, przeprowadza go z ręcznie do Kościoła Chrystusowego. Inaczej nigdy by on może do niego niezapukał. Huż mędrków i półmędrków pracuje w każdym wieku nad zatratą Chrześcijaństwa! Jakoż dziś mamy Strausa, Brunona Bauer i Feuerbacha! Jan Chrzciiciel tedy, wiecznie w uczeniach swych i w naukę naszą żyjący, ma za obowiązek bronić Zbawiciela i dawać mądrości Jego świadectwo, a to mądrością wprawdzie naturalną, lecz wewnątrznie naturalną i dla

tego nadziemską. — Z téj strony mamy tenże cel zupełnie, co Wolne mularstwo. — I masoni są uczniami Jana Chrzciciela.“

„Lecz jeszcze jedna nauki naszej właściwość, której spuszczać z oczu nienależy. Mądrość nasza jest skutkiem i owocem silnej wiary w to, iż oko prorocze znajduje się w ludzkiej istocie, oraz jest jednym z jaźni naszej przymiotów. Dalej, jest skutkiem i owocem silnej wiary w to, iż wszechmoc Boża rozwija się w Bogu-człowieku i robi go Mojżeszem, wyzwajającym uciśnionych Izraelitów z pod jarzma Faraonów. Roztworzy owo oko i posiadzie tę wszechmoc każdy, co tak się przerobi i odrodzi, jak Silbert, lub Siegfryd.“

CZĘŚĆ PRAKTYCZNA



Daliśmy czytelnikowi przedmiot w całości pełni  
teraz mamy go ocenić i wyroc o nim nasze zdanie.  
Z góry i nasamprzód oświadczamy, że stan majłka  
Wpierał kapłan v. Baerdeck i Karoliny Rupert był isto-  
nie naturalny; że wice opowianie z nieboszczykami, ugła-  
danie ropowitą, opętanie od demonów, duchy, strachy  
nocny, poczwary nieistnie, kolacja i psalująca po domu  
przeszkoda, wiódźbiaństwo itp., mają swą przyczynę i nie  
są całkowicie czystą bzdurą; oświadczamy dalej, że sposób  
lecznia demonicznych chorób, jakiego Moland używał,  
jest najdoskonalszy ze wszystkich dotąd znanych, i że poj-  
mowanie jego cudownych lecz zjawisk psychicznych jest  
przewyższone i godne publicznej uwagi; oświadczamy, że  
ten Fildynga i Moland, za pomocą której wprowadzali  
w nie niewierzącego słowaka do światła swej mądrości,  
odpowiada jak najlepszy celowi, który mieli, i że każdy

tego nadziemską. — X tej strony mamy także cel za-  
 pełnić, co W. o. i. m. i. s. t. w. — I masom są uczyniami  
 Jana Chrzciciela.”  
 „Dobry jest też jedna nauka nazywająca się „Mądrość nasza jest skutkiem  
 spuszczania oczu niżej”. Mądrość nasza jest skutkiem  
 i owocem silnej wiary w Boga. W oko protokół znajduje  
 się w publikacji istocie, oraz jest jedynym z jakimi nauką przy-  
 miotów. Dalej jest skutkiem i owocem silnej wiary w Boga,  
 iż w szczególności Boga rozciąga się w Bogu-ciele i w Bogu-  
 go. Mądrość, w wyjątkowym uścisnieniu. Istotnie, X pod-  
 jęcia Farnonów. H. i. s. t. w. o. i. o. i. p. o. s. i. d. i. e. i. g. w. s. t. e. c. h.  
 nieo każdy, co tak się nie i odobli, jak Silber,  
 lub Siegfryd.”

### III.

## CZĘŚĆ PRAKTYCZNA.

Daliśmy czytelnikowi przedmiot w całkowitej pełni;  
 teraz mamy go ocenić i wyrzec o nim nasze zdanie.

Z góry i nasamprzód oświadczamy, że stan majtka  
 Wipnera, kapitana v. Haerdteck i Karoliny Ruppert był isto-  
 tnie naturalny; że więc obcowanie z nieboszczykami, ugła-  
 danie sobowtóra, opętanie od demonów, duchy, strachy  
 nocne, poczwary piekielne, kołająca i psotująca po domu  
 przeszkoda, wróżbiarstwo itp., mają swą przyczynę i nie  
 są całkowicie czczą baśnią; oświadczamy dalej, że sposób  
 leczenia demonicznych chorób, jakiego Mohrland używał,  
 jest najdoskonalszy ze wszystkich dotąd znanych, i że poj-  
 mowanie jego cudownych tych zjawisk psychicznych jest  
 przewyborne i godne publicznej uwagi; oświadczamy, że  
 ucz Fildynga i Mohrlanda, za pomocą której wprowadzali  
 w nic niewierzącego adwokata do świątynie swęj mądrości,  
 odpowiada jak najlepiej celowi, który mieli, i że każdy

z ludźmi, nawet Kant, Fichte, lub Hegel, poddawszy wolę swą potulnie tego rodzaju przepisom, zaszedłby tam, dokąd zawędrował Silbert; oświadczamy, że czywy jasnowidzącego Silberta i wojownika Siegfryda można uważać za prawdziwe; że sześć powieści, stanowiących podstawę tej rozprawy, gdyby zgoła były zmyślane, mogą być wzięte za historyczną rzeczywistość, bo są i prawdopodobne i na naturze ludzkiej ugruntowane. Niezbijamy tu przeto empirycznych dat i faktów, ani nawet spekulacyjnego ich układu, lecz obracamy się przeciw wyprawom w dziedzinie mądrości nadziemskiej. Uderzamy czołem przed praktyką i dzielną jej exegezą, lecz podnosimy głos przeciw zbudowanej na nich teorii. Sama teoria, będąca w gruncie najgłupszą w świecie hipotezą, jest tu najwyrafinowaną, najsztuczniejszą układnią prawd istotnych, obok krzyżujących fałszów i oczywistych przesądów, rzeczywistości obok urojeń. Oddamy więc jej słusność, to jest oddzielimy choć w pewnej części kłakol od pszenicy. Poczynamy od wyświecenia niedorzeczności.

Niezwalisz żadnej umiejętności, tak filozoficznej, istotnie, jak niby filozoficznej, niewykazawszy fałszu w samym jej pierwiastku. Zgruchotaj korzeń, a drzewo, choćby najpotężniejsze, samo upadnie! Kto tu obcina gałęzie i gałązki, lub łamie pojedyncze konary, niedopnie celu, bo wkrótce odrosną na nowo w doskonalszej postaci i sile.

Co jest pierwiastkiem nauki Kerninga, tej nowej, niby nadziemskiej, mądrości? Pojęcie sennych marzeń, mających być najpierwszym objawem mieszkającej w nas transcendentności; mających być poruszeniem się w nas wyższego, wiekuistego, rzeczywistego, czyli boskiego żywota, nieświadomą działalnością naszego wewnętrznego Adama. Jeżeli pojęcie to jest krzywe; krzywem także będzie pojęcie jasnowidzenia, jako świadomej działalności naszego wewnętrznego Adama; i cały system okaże się fałszywy. Utrzymujemy tedy, że pojęcie sennych marzeń, mija się tu z prawdą i zabieramy się do dowodu. Dowód ten leży w następnej teorii, wyjaśniają-

ceją nam istotę snu i sennych widziadeł. Musimy wdać się w rzecz głębiej i rozpisać się obszerniej; inaczej nie-dopięlibyśmy celu.

Czem jest sen? Nieodpowiadamy na to pytanie fizyologicznie, ale psychologicznie, bo tu chodzi li o psychologią. Sen jest odpoczynkiem, następującym po znużeniu. Człowiek całkowity, jak go widzimy, niedozna nigdy takiego odpoczynku, gdyż odpoczynek jego byłby zupełną, bezwarunkową śmiercią. Nawet śmierć zwyczajna nie jest jego odpoczynkiem, lecz odpoczynkiem li zewnętrznego człowieka. Wewnętrzny przechodzi tu w świat inny i powołan zostaje do nowego życia. Skoro człowiek całkowity nie zna i nie może znać odpoczynku; więc zna go jedynie człowiek cząstkowy, to jest pewna część człowieka. Sen przeto jest odpoczynkiem cząstkowego człowieka, czyli pewnej części istoty naszej. Uważajmy na ten wypadek, bo na nim rzecz polega.

Z jakich części składa się istota całkowitego człowieka? Z ciała, z duszy i z jaźni. Sen zatem jest trojaki, to jest stanowi albo odpoczynek duszy, albo wreszcie odpoczynek jaźni. Sen zwyczajny np. jest odpoczynkiem ciała. Kości, mięśnie i nerwy nasze, strudzone pracą dzienną, omdlewają tu, a my zasypiamy, bo natura, wymagająca posilku, zniewala nas do tego. Sen ciała jest dwojaki: chwilowy i ciągły. Pierwszy spotyka nas co noc, drugi w tak zwanym letargu. — Bezmyślność, będąca ciężkich prac umysłowych skutkiem, jest znowu odpoczynkiem duszy. Bezmyślność jest także dwojaka: chwilowa i ciągła. Pierwsza jest przemijającym znużeniem ducha, dająca się nieraz spostrzeżać u ludzi pracujących głową, a druga fixacją (torpor animi, Starrsinn). Fixatem jest ten, który myśl swą ulixował, to jest zrobił nieczynną, nieruchawą, trupią. Oto sen duszy. — Brak dzielności i energii, nieczułość dla powinności i cnoty, niezdolność do ofiar i poświęceń; słowem to, co zowie się w nowym testamencie człowiekiem umarłym, jest wreszcie odpoczynkiem jaźni. Odpoczynek ten jest również dwojaki: chwi-

łowy i ciągły. Pierwszy jest naturalnem wytechnieniem po pracach jaźni; drugi pogardliwością na rzeczy boskie, a czasami podłością, nikczemnością, moralnem szataństwem. — Znajdują się przeto, jak rzekliśmy, trzy rodzaje snu: sen ciała, sen duszy i sen jaźni. — *W molybde i żywioł ogół*

Poznaliśmy sen w ogóle; teraz poznać należy również w ogóle, ale w samymże pierwoju, którego dątką niemiano nigdy, na względzie, czem jest senne marzenie. Senne marzenie znaczy tyle, co urojenie podczas snu. Roją się pszczoły, muchy, komary, to jest bujają, swywolają, hasają w powietrzu, wychodzą za granice zwyczajnego ich życia i ruchu; roi się komu w głowie, t. j. snuje się mu coś dziwnego i dziwnaczego, coś takiego, co jest śmiesznością lub niepodobieństwem. Rojenie jest wezbraniem czegoś, podobnem do wylewu wezbranój rzeki, wyjściem za brzegi, grą rozkielznaných żywiołów. Niemcy zowią je *Schwärmen*. To też jest znaczeniem sennego marzenia. — Człowiek całkowity nieznając snu, niezna także sennych marzeń. Jak sen, tak marzenia senne należą do człowieka cząstkowego, czyli do pewnej części naszej istoty. Jak są trzy rodzaje snu, tak i trzy rodzaje sennych marzeń! — Przyjrzymy się im bliżej. — Senne marzenia naturalne, czyli cielesne są bujnością materialnego rozwoju. Sennie marzy np. ziemia w Tybecie, w Krymie, lub Norwegii, podskakując w góry niebotyczne; sennie marzy las, pod równikiem, rozrastając się przechodzącą wyobrażenie, olbrzymią i dziwotworną wegetacją; sennie marzy ciało zewnętrzne człowieka, rosnąc szybko w dziecięciu, upiękniająjąc się w dziewicy, ubierając lica młodości w rumieńce jutrzeńki, a pokrzepiając śród spoczynku członki starości nowych sił balsamem. — Senne marzenia duszne są znowu i graską myśli rozkielznanój. Widzieć je można w arabskich, indyjskich, słowem wschodnich powieściach, prawiących nam o lampach, pierścieniach i trąbkach cudownych, o drzewach, dzwigających rubiny, szmaragdy i inne klejnoty miasto owocu; widzieć je można w romansach, legen-

odach, balladach, w każdej poezji i fantazmagoryi. — Senne marzenia są jaźniowe wreszcie polegają na przesadzonej, fałszywej, lub zwodniczej czynności mieszkającego w nas telnienia Bożego. Marzy sennie jaźń chłopięcia, ścinającego główki badylom, w mniemaniu, iż rozbija silne nieprzyjacielskich wojsk zastępy; marzy sennie jaźń dziewczynki, powijającej lalkę, jako swą córeczkę; marzy sennie każdy nieszczęśliwy bohater, co daje gardło dla trojenia, a bopięknego głupstwa. — Tu pokazują się różnica, a nawet sprzeczność zupełna między snem, a sennem marzeniem. Sen jest, że tak rzekę, nadzwyczajnym odpoczynkiem, a senne marzenie nadzwyczajnym ruchem. — Sennie marzące ciało rośnie bujnie i krzepi się tajną mocą. Jest to siła naturalna w swywoli. Sennie marząca dusza buja rozkolysaną myślą. Jest to siła duchowa w swywoli. Sennie marząca jaźń odznacza się czynem przesadzonym, fałszywym, a nie nieprzydatnym. Jest to siła boska w swywoli. — Trojakiem to marzenie jest awanturnictwem i hulactwem, jest, że tak powiem, malignową siłą gorączką, i tańcem Sgo Wita. — Do którego z tych trzech rodzajów należeć mogą senne marzenia zwyczajne, na których Kerning mądrość swą opiera? Nie do sennych marzeń ciała, bo tu niechodzi o gwałtowny wzrost, lub inny jaki fizyologiczny proces szalony, nie do sennych marzeń jaźni, albowiem podczas ich trwania jaźń niedzielna wcale, niewykonywa ani prawdziwych, ani fałszywych bujnych czynów. Wszakże człowiek znajdujący się w śnie zwyczajnym, nie robi właściwie, a marzenia jego niesą ani nawet istotnem ścinaniem główek badylom, czyli niesą ani nawet owego chłopięcia rzeczywistą działalnością. Sennie marzenia zwyczajne, prawiające nam także arabskie klechdy, mogą być zatem li sennemi marzeniami duszy. Zład wynika, że fałszem jest, iż senne marzenia zwyczajne są objawem budzącej się w nas transcendentalności, czyli jaźni, że są poruszeniem się w nas boskiego Adama i rzeczywistego żywota. — Tu budzić się i poruszać może li dusza.



Człowiek całkowity, jak już namieniliśmy, nigdy nieusypia, lecz jeden z jego trzech czynników, to jest albo ciało, albo dusza, albo jaźń. Skoro człowiek całkowity nigdy nieusypia, więc musi być między trzema jego czynnikami przynajmniej jeden, który wtedy nawet czuwa, gdy dwa inne zasnąły zupełnie i śmierć zwyczajna ma miejsce. Czynnikiem tym jest jaźń. Jeżeli to prawda, to tylko ciało i dusza zasnąć mogą zupełnie, jaźń zaś zasypia li na pozór, li przez połowę. Jęj sen przeło okazuje się pół snem, a pół jawem. Myśl tu np. owe ścinanie główek badyłom! Zastanówmy się bliżej nad tym przedmiotem. — Jaźń jest bóstwem, czyli stworzoną od Boga wiekuistą istotą, żyjącą przed urodzeniem naszym, jako niebiański pierwowzór Platona, lub Ferwers Zoroastra, w przedświecie, t. j. w krainie możebności; żyjącą dziś w świecie, t. j. w rzeczywistości, a po śmierci w pozaświecie, t. j. w królestwie Bżem konieczności, doskonałości i całkowicie spełnionego objawu. Jaźń tedy, bóstwo to wiekuiste, niezna i nie może znać znużenia się żywotem, a więc niepotrzebuje wiecznego odpoczynku, czyli zupełnego snu, który jest śmiercią. Ona, mówiąc właściwie, ni rodzi się, ni umiera, lecz żyje wciąż, lubo coraz to w innym świecie; czy podobna zatem, aby kiedykolwiek zasnąć mogła zupełnie? tylko albo ciało, albo dusza, albo oboje razem, to jest li doć esny żywioł jaźni, że wewnątrz i wewnątrz, li podwójny jęj robotnik li najemnik światowy, którym służy się tu na łonie skończoności. Jedynie znikomośe morduje się ciąglem życiem i wymaga w końcu całkowitego odpoczynku, czyli zupełnego snu, śmierci. — Jakóż ciało zasypia co noc na kilka godzin po pracy dziennej, a w grobie na zawsze po pracach fizycznego życia. Dusza także zasypia śród życia zmysłowością i zewnętrznym światem zajętego, po ciężkich pracach umysłowych, za każdym razem, gdy nic niemyślimy, a na zawsze w późnej zgrzybiałości, fixacji, lub po śmierci człowieka. Jaźń tak niezasypia. Ona, ta wieczna czuwająca istota, zasnąć zdoła li na pozór, li przez połowę. Ponieważ sen jest odpo-

czynkiem po pracy, a świat ten, w którym dziś żyjemy, jest pracy padolem; przeto ani w przedświecie, ani w pozaświecie, ale w tym naszym, pełnem utrapienia świecie jaźni zasnąć przez połowę zdola. Jaki to sen? Popatrzmy nań chwilkę!

Gdy ciało i dusza usną w nas zupełnie, człowiek wewnętrzny opuszcza na zawsze człowieka zewnętrznego. To zowie się śmiercią. Sen cielesny i sen duszny, razem wzięty, są rozkładem człowieka zewnętrznego na dwie jego połowice, a tem samem rozstrojeniem, zabójstwem jego żywota. Ciało wraca tu do ogólnej materji, a dusza do ogólnego ducha, gdyż całość organiczna dawniejszego ich związku zburzoną została i nastąpiło zniszczenie naturalnej ich równowagi. W takim razie główny i stanowczy ich węzeł, święta wstęga jedności ich i harmonii, to jest jaźń uchodzi do niebios, czyli w pozaświat.

Tak sen cielesny jak sen duszny, wzięty znowu z osobna, jest przepołowieniem zewnętrznego i wewnętrznego człowieka. Albowiem, gdy śpi ciało, człowiek wewnętrzny staje się czuwającą duszą, a gdy zasnęła dusza, czuwającym ciałem. Czuwanie takie, jako jednostronne i wyrażające się w excentryczność, jest wyłożonem już sennem marzeniem. A co robi się teraz z jaźnią? Człowiek zewnętrzny nie został tu rozburzony zupełnie, lecz uhumart na czas pewien przez połowę. Człowiek wewnętrzny przeto cofa się przez połowę w pozaświat, a przez połowę pozostaje w czuwającej zewnętrznego człowieka części, to jest albo w duszy, albo w ciele. Oto znaczenie snu jaźni! Z przepołowieniem się człowieka zewnętrznego, to jest z przejściem jego w jeden ze swych czynników, w duszę lub ciało, połowicie także człowiek wewnętrzny, lecz innym sposobem, to jest zostaje połową w tym, a połową w tamtym świecie. Ztąd znika w nim pełność przeświadczenia. Sen jest dla niego najniezwyklejszym, najnienaturalniejszym stanem, bo ma on pełne przeświadczenie w przedświecie i w pozaświecie, wszędzie i zawsze, gdzie żyje swą całością; tu zaś wpada sam z sobą

w rozdwajenied. Jest to również stan ziemski i jego graniczo ności i igne do li, której zgola wiekuiste bóstwo doznaję, stan, mający ścisły związek z pojęciem grzechu pierworodnego, czyli przyczyny złego. Jażni podczas snu ciała lub duszy, podczas snu zwyczajnego tak rozszczepana, omdlała, w letargu leżąca i sił pozbawiona, czy zdoła objawiać czynność swą w człowieku? Nie, ona znajduje się tu w chwilowej półmartwości, jest w pęta ch ni en a wi st n e j s o b i e do c z e i s n o ś c i o d p o c z y w a j ą c e j i d z i a ł e ś n i e m o ż e . Falszem jest przeto, że senne marzenia są jażni, czyli transcendentalności objawem. Sen cielesny i duszny, to krócej lub dłużej trwające zabójstwo połowy zewnętrznego człowieka, zarażające zgola wiekuistą jażni półmartwości opiatem; jest półśmiercią, czyli śmierci obrazem. Są nawet przypadki, gdzie można uważać sen za śmierć zwyczajną i powiedzieć, że jażni wyodrówala tu z człowieka zewnętrznego zupełnie. Oto np. siedzi przed nami fixat, w którym myśl całkowicie skołowaciała. Czyli jażni znajduje się w tym biedaku? Nie, ona już z niego uciekła i należy do pozaświata, a gdy wstawiła się niegdyś w tym świecie, do historii, zostawiwszy tu li swą łupinę, w której dusza światowa, od jażni zaświatowej opuszczona, prześcęczyła się, że tak rzekę, w spirytus, konserwujący mięso. Również człowiek w letargu należy do takich przypadków, lubo tylko w części. Ciało jego jest trupem, lecz dusza w nim kołace się i rozkosznie marzy. Czyli jażni w nim przebywa? Nie, ona z niego wyszła niemal zupełnie, zostawiwszy światową duszę dawnego domku swego strażnicą, a w duszy tej mały, ciemny promyczek oświadości własnej. — Sen cielesny i duszny, zwyczajny, sen każdy jest albo obrazem śmierci, albo półśmiercią, albo śmiercią istotną; co gorsza, jest światową omdlałością i że powiem, chwilowem strupieniem wiekuistej jażni. Jakże więc w takim stanie człowieka jażni objawiaćby mogła dzielność transcendentalną i żywotów boski? Objawem boskiego żywota naszego? Nie, tak doski jak

Jażń jest jądrem naszym z niebios, będącym najprawdziwszą rzeczywistością, mającą więc swą realność, ludzież i dea ln o ś ć. I rzecz to snadna do pojęcia. Wszakże człowiek nasz wewnętrzny posiadać musi ciało i duszę, jeżeli nie jest czezem oderwaniem. Na jego transcendentalne ciało kładzie się ciało światowe, a w jego transcendentalną duszę wsiała dusza światowa. Tak przybrana światowością i związana ze światem, jaźń zaświała zowie się człowiekiem zewnętrznym. Jaźń, jako wiekuiste bóstwo, niemogąca znać, co rozstrój, czyli śmierć, znajduje się w niezmiennej równowadze transcendentalnej swój duszy ze swem transcendentalnem ciałem. Równowaga ta czynników jest wiekuistem jój zdrowiem. Jaźń choruje li wtedy, gdy jedną nogą, że tak powiem, stoi w tym, a drugą w tamtym świecie. Sen jaźni jest zatem jaźni chorobą — Inna rzecz z człowiekiem zewnętrznym. Podczas snu jego śpi ciało, a czuwa w dwójnasób, czyli marzy dusza, lub też odwrotnie. Jest to zniszczeniem równowagi między jego czynnikami. Zdrowie polega na harmonii ciała z duszą; a dysharmonia między ciałem i duszą jest chorobą. Na dnie tej prawdy opierają się wszystkie lekarskie patologiczne pierwiastki. Sen zwyczajny jest więc chorobą. Tutaj ciało odpoczywa, czyli staje się martwą bryłą ziemi, trupem; dusza czuwa w dwójnasób, czyli marzy; a jaźń, zostając przez połowę w człowieku zewnętrznym, przez połowę zaś przechodząc w pozaświat, wpada w otrętwienie. I jestże to stan nasz naturalny, zdrowy? Jeżeli stan ten jest zdrowiem; to zdrowie jest także ów fixat, w którym dusza śpi, a ciało czuwa w dwójnasób, czyli marzy, rozrastając się najbujniejszą wegetacją. Powtarzamy raz jeszcze, że wszelki rozbrat ciała z duszą jest chorobą. Z ustaniem cierpiętl i wo ś c i wzmaga się poruszl i wo ś ć i odwrotnie. Oto początek choroby wedle Browna. Również z usnięciem ciała czuwa w dwójnasób dusza i odwrotnie. Oto początek sennój choroby dla zewnętrznego człowieka. I sennie marzenia, będące skutkiem tej choroby, mają być objawem boskiego żywota naszego? Nie, tak boski jak

światowy żywot nasz jest tu w rozdrożeniu sam z sobą; jest nie w zdrowiu, lecz w chorobie; jest w malignie, i dla tego uglądamy marzenia. Li człowiek przesądny, goniący chętnie za guslarstwem, brać może cześć te w dziedziadła za rzeczywistość, a grzeszy tam ciężiej, widząc w nich rzeczywistość boską, wiekuistą, jedynie prawdziwą! Cóż pod słońcem bardziej jest znikome, jak senne marzenie? I onoż ma być wieczną rzeczywistością!

Jak objawia się właściwie transcendentalność, boskość, człowieka? Co jest dzielnością i czynem naszej jaźni? Silna chęć i nieugięta wola; śmiałe przedsięwzięcie: wytrwałość w wykonaniu; energia w każdym kroku; gorąca miłość prawdy, piękności i cnoty; poświęcenie się na śmierć za ludzkość, ojczyznę, wolność, lub przekonanie; wszelkiego rodzaju wzniosła i rzadka ofiara! To są objawy transcendentalności i czynu jaźni! Jaźń nieleka się śmierci, bo wie, że jest bóstwem, że istota jej posiada nieśmiertelność. Zład żywotem, zdrowiem i czynem jej jest walka przeciw złemu najzaciętsza. Oto świat boski, w którym każde bóstwo działać powinno i działa; oto mądrość nadprzyrodzona, nadziemską! I słusznie, bo mądrość ta wyższa jest nad samolubstwo i własny interes, które nie tu czy się tak chętnie ziemskie robaństwo. Czyliż wielkie czyny i ofiary, czyli to wszystko ma miejsce w czasie snu zwyčajnego? Bynajmniej! Jaźń tu leży w letargu, a ciało w otrępieniu, duch zaś bryka i płasza, jak szalencie, co stargał swe łańcuchy i uciekł z więzi. Piękna to myśl zaiste, że w czasie snu widzimy świat boski i pierwowzory niebios. Ona zawróciła już niejednemu głowę. Lecz jest to li poezya, li marzenie. Płytkość chwytła za nią chętnie, albowiem dla niej piękność jest prawdą. Piękność ma tu zwyczajne znaczenie, to jest jak ją biorą dzisiejsi poeci, którym szalone umidło przynosi rozkosz.

Podczas snu duszy, czyli osłupienia duchowego, ciało czuwa w dwojnásób i marzy, to jest odbywa funkcję swę z wybrykiem. Fixat, co utracił myśl wszelką, siedzi też

jak grzyb spokojnie, je i pije, co mu dadzą, rozrasta się w polcie słoniny, jak wieprz troskliwie tuczony. Przeciwnie zaś podczas snu ciała, to jest snu zwyczajnego, dusza czuwa w dwójnasób i marzy, czyli odbywa czynność swą ze swywolą. Ruch jęj eterowych skrzydeł jest tem większy, potężniejszy i cudowniejszy, iż uwolnioną została od wszelkich zawałd zmysłowych i panowania jaźni nad sobą. Jaźń omdlawszy, wypuszcza tu z ręki, jak Faëton na rydwanie słońca, cugle swych rządów. Dusza buja zatem szalenie po ziemi, niebie i piekle; raz jest ptakiem, innyraz rybą; niezna granic przestrzeni; przenosi się w najdalszą przeszłość i przyszłość, rozmawia z osobami, będącemi za szerokim Atlantykiem, z mieszkańcami księżyca, słońca, gwiazd wszystkich, z ludźmi umarłemi i jeszcze nieurodzonemi. Jaźń jest w człowieku, jak i w Bogu, pierwiastkiem jednostkowości, jest absolutum individuum. Dusza, uwalniająca się z pod berła jaźni, rozbija szranki swój jednostkowości, staje się duchem powszechnym, rozstrzela się w bezmiar przestrzeni i czasu. Oto tajemnica cudownej jęj sennój hulatyki! Ztąd wynika, że zwyczajne sennie marzenia, nie jaźń, lecz duszę mają swą rodzicielką; że więc nie transcendentalności w nas żyjącej, nie bóstwa, nie świata trzeciego, boskiego, lecz metafizyczności naszej, idealizmu rozkołysanego, myśli uwolnionej od realności i przewodztwa jaźniowej, rozważnej woli, słowem świata drugiego, spirytualnego są objawem. Kto tu bierze idealność lub spirytualność za boskość, metafizyczność za transcendentalność, błądzi jak Kerning i cała spekulacya niemiecka. Taka zmięszka, czyli tak nieloiczne Qui pro quo, które zgola Hegel popełnił, wiedzie koniecznie do panteuszostwa.

Teraz zgłębić nam trzeba istotę sennych marzeń zwyczajnych w ich genezie. Dopniemy tego celu, zastanowiwszy się nad tem, jak w czasie snu ciała dusza przychodzi do marzeń, czyli do tworzenia idealnych widziadeł. — Ciało zasypia. Zasypiają z niem, nie same kości, nerwy i muszkuły, lecz także empiryczne źródła poznania i bier-

ności naszej potęgi, t. j. zmysł, wyobraźnia, pamięć i rozum. Człowiek śpiący niewidzi, niesłyszy, niewącha, nieśmakuje i niedotyka żadnego przedmiotu z zewnętrznego świata, a więc niewyobraża go sobie, niepamięta i rozumem nieobrabia. On niewie, co się koło niego dzieje. Gdzie niema zmysłowych wrażeń; tam braknie wyobrażeń, przypomnień i pojęć. W człowieku śpiącym spoczywa więc ciało ze wszystkimi przywiązaniami do siebie empirycznymi władzami. Dusza jego budzi się za to, czuwa w dwójnasób i zaczyna być nadzwyczaj ruchawą. Ruchawość ta rozkołysuje się wnet, jak swobodne morze śród burzy, bo żaden hamulec realny, ani rozkaz boskiej jaźni niestoi jej na przeszkodzie. — Poznaliśmy władze ciała, czyli władze empiryczne, realne, które w czasie snu martwieją. Teraz pytanie: jakie są potęgi duszy, i co działa najczynniej w czasie jej senniej galopady po wszechświecie. Potęgami duszy, jak to już na wielu miejscach okazaliśmy, są: um, czyli fantazya, ta metafizyczna wyobraźnia, rozsądek, odpowiadający pamięci, i umysł, przeciwnik rozumu i najpionowszy antypoda zmysłu. Rozsądek, jako władza sądzenia o utworach boskich i ludzkich, o dziełach natury i sztuki, ten krytyk rzeczywistości wszelkiej, i umysł, ojciec idei, twórca głębokich umiejętnych spekulacyi, nie mogą być czynne w duszy śpiącego człowieka, bo pracują li śród jawu, li w czasie wyteżającej się nad umiejętność głowy. Sennych widziadeł igraszka uwłóczyłaby wysokości ich godności, nie jest więc ich przeznaczeniem. Cóż więc pozostaje dla czynnej duszy śpiącego człowieka? Nic innego, tylko um, ten od Boga uprzewilejowany poeta, czyli bezczelny igrarz, a nad to, ponieważ hasać tu może bez wędzideł rozsądku i umysłu, bez tam uspiionych potęg empirycznych i bez Neptunowego trójzęba rozkazującej jaźni, um sza-Forry! Czem jest um? Jest potęgą twórczą w człowieku duszy, potęgą ducha najpierwszą, najkardynalniejszą, lecz właśnie dla tego nie czysto idealną, to jest nieuwolnioną należycie od zmysłowości. Jego utwory w naturalnym stanie jawu zowią się ideałami, to

jest ideami obłeczonemi jeszcze w pewne ciało, jak np. ideał piękności, aniola, szatana, Jowisz, Mars, Minerwa, Gnom, Syll, Kobold. Um niewidzi świata boskiego, czyli rzeczywistego, a o świecie naturalnym, czyli realnym nie wiezieć niechce. On ugląda świat duchowy, idealny, spirytualny, i przyobleka go w zmysłowe, nieraz najpotworniejsze szaty. Siły natury przerabia w olbrzymów, Tytanów lub Bogów, to jest w fizyczne urojone osoby i jest ojcem mytologii. — Um ten zaczyna tedy brykać i tworzyć umidla, czyli szalone widziadła w duszy uspio-nego człowieka. Czem są zatem te jego utwory, to jest senne marzenia? Ideałami, wywołanemi do bytu i życia znikomych jętek bez pomocy rozumu, rozsądku i umysłu, to jest częzą rozbujalęj myśli chłopięcój igraszką. Senne marzenia widzimy, nie okiem ciała, ni okiem jaźni, lecz jedynie okiem duszy; widzimy je dla tego, że um nietylko tworzy, lecz i uzmysławia — jak np. madonna w głowie malarza i na płótnie, — swe utwory; widzimy je tak, jak zapalony sztukmistrz widzi niewidzialny swój ideał. — Czy mają senne marzenia rzeczywiście? Niemają jęj, ponieważ im zbywa na realności, a bez realności rzeczywistość jest uludą. Jest to li chłopięca, swywołająca w nas idealność. Istnieją jedynie w duszy śpiącego człowieka, to jest jako jego niedojrzałe, potworne myśli, nie zaś jako przedmioty realnego i rzeczywistego, naturalnego i boskiego świata; jedynie w nas, i to w pół nas, nie zaś za nami. — Rzekliśmy, iż w czasie snu nieczynna jest także pamięć. Zapyta więc kto: czemu przypominamy sobie senne marzenia? Odpowiadamy: Przypominamy sobie li te marzenia, które mieliśmy w chwilach przebudzania się powolnego, to jest w chwilach, kiedy ciało i jego potęgi, zaczęły także pamięć budzić się, tudzież odprawiać funkcyę swe poczęła.

Senne marzenia są przeto grą chima, rycznego umu; są pewnego rodzaju szaleństwem, duszy. Kerning prawdy tęg niedociekł, lub ją odepchnął, jako niepoetyczną, niby trywialną; dla tego też się oblikał. Wielki



wieszcz, lub cudotwórca, marzy na jawie. On niewidzi rzeczywiście, lecz widzi rzeczywistość swe marzenie, i właśnie dla tego jest waryatem. Podczas snu zwyczajnego szaleje dusza na kilka godzin; dusza ta staje się szaloną na długo, lub na zawsze, gdy zgoła jaw swój przeistoczyła w sennie marzenie! Cóż zatem sądzić o takiej mądrości, co marzenie sennie robi swym pierwiastkiem, a jasnowidzenie, czyli oglądanie dowolne sennych marzeń w czasie jawu, ostatecznym swym celem? Jak sennie marzenie, tak jasnowidzenie takie jest w gruncie szaleństwem duszy, czyli grą rozkiełzanego umu, i tylko ten, co cierpi to szaleństwo, zdoła oglądać w niem żywot rzeczywistości, działalność boskiej jaźni, świat transcendentalny! Zaiscie, trzeba zawołać: „Kerningu, Fildyngu, Silbercie, Mohrlandzie, każdy demonologu! wasze sobowtóry, nieboszczyki, przeszkody, szatany i poczwary, wasze piekło i niebo, są zawrotem głowy, bajdą duszy uzmysłowioną, jedynie w gorączkowym mózgu początek i byt swój mającą! I wy nas wieśćd chcecie do tego rodzaju mądrości nadziemskiej? Obejdziem się bez pomocy waszćj, bo gdybyśmy mądrości téj zażądali, zastąpi was godnie lada obłąkaniec z domu warszawskich Bonifratów! Widziadła i nauki wasze są mrzonkami, którym braknie istotnego bytu i prawdy przedmiotowćj; mają one ważność, jako cierpienie, li psychologiczną! Wy uczycie, nie mądrości nadziemskiej, lecz najgminniejszego ziemskiego przesądu i załobonu!”

Powołujecie się na prawdziwe, a cudowne i trudne do zwyczajnego pojęcia zjawiska Mezmeryzmu, pragnąc, ażeby on dał nauce waszćj świadectwo i poparł ją swemi barkami. Tem gorzej dla was! Albowiem stan magnetyczny niektórych osób jest ciężką chorobą, którą także wy, sprzecznymi z sobą, leczycie chcecie, i zasługuje raczej na politowanie, niż na chęć wyrobienia go w sobie! Stan ten świadczy, że również wasze jasnowidzenie ciężką jest chorobą; że i wy potrzebujecie lekarza! — „Jak to? wołacie. Alboż oko prorocze i moc robienia cudów,

które objawiają się w takowym stanie, niesą istotną prawdą? Czyliż rzeczy tak boskie niegodne są tego, abyśmy zapragnęli je posiadać? Pierwsze z tych pytań potwierdzamy chętnie, a drugie zaprzeczamy, mówiąc wam śmiało, iż jak sennie marzenia, tak stan magnetyczny wraz z jego jasnowidzeniem pojmujecie fałszywie. Tłumaczymy się bliżej, przecież rzucając tu li ogólne myśli i niechęcąc rozpisywać się o rzeczy tej obszernie. — Od niepamiętnych czasów uznano już tę kosmogoniczną prawdę, że co Bóg, lub natura jedną ujmuje ręką, to daje drugą z przeciwieństwem. Zwierzęta np. nieotrzymały rozumu, rozsądku i umysłu. Dano im zatem instynkt, godzien, przede wszystkim z waszej strony, największego podziwienia, bo będący w gruncie także nadziemską mądrością, czyli jasnowidzeniem. To was uderza? Przyjrzyjcie się rzeczy dokładnie! Instynktem potrafi zwierzę, człowiek niezawsze jest zdolny mocą swego rozumu, rozsądku i umysłu, odkryć stosowne dla siebie schronienie i pożywienie, odróżnić trawkę zdrową od trucizny, zachować śród użycia miarę, poznać swego wroga i umieć bronić się przeciw niemu, słowem, zapewnić sobie szczęście, o ile go potrzebuje. I któryż naturalista, co zastanawiał się nad instynktem zwierząt, niewpadł tu w podziwienie? Niejeden widział w nim nawet wyższość od władz ducha ludzkiego, gdyż te błędzą, on zaś ma zawsze słuszość. Co większa! Jak jasnowidząca osoba w stanie magnetycznym, tak zwierzę ma przeczucia i przewiduje przyszłość. Ileż mamy przykładów, że wierny pudel skomlał i wyl okropnie, gdy jego panu zagrażało niebezpieczeństwo! Zwierzęta przewidują śmierć swego opiekuna, poczuwają straszliwe zjawiska natury, np. trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu, spadnięcie z gór lawin śniegu. Wedle wiary gminu obcować mają z duchami, i warczą, lub szczekają, gdy ujrzą nieboszczyka! Jak jasnowidząca osoba w stanie magnetycznym, tak chore zwierzę rozpoznaje ziółka lub korzonki, mogące je uleczyć. Od psa wściekłego nauczono się kilku środków przeciw wścickliznie; od lisa, który się

obżart, sztuki womitów, od bociana dawania enemy, od konia nilowego krwi puszczenia. Hieronim Roraryusz wysłał nas do zwierząt po naukę środków lekarskich. — Wy zaś wysyłacie nas po to do osób znajdujących się w stanie magnetycznym. Obie strony mają tu jednaką słuszność, bo czem dla zwierza jest instynkt, tem dla osób w stanie magnetycznym jasnowidzenie. Instynkt i jasnowidzenie objawiają się w takich istotach, co niewyrobiły się do jaźniowój, czyli boskiej jedności, lub też ją straciły; co nieskupiają dzielności swęj w sobie, lecz zrastają się z ogółem natury lub ducha; co niekierują sami sobą, lecz moc powszechnego żywota wiedzie je na swym pasku! — Kto uczył się fizjologii porównawczęj, przyzna, iż Bóg tworząc królestwo zwierzęce, był ściśle sprawiedliwy. Temu stworzeniu np. braknie wzroku dobrego, ma za to słuch doskonalszy; owemu zbywa na ostrym wzroku i słuchu, więc dzielność żywota przelała się w węch jego. W ślimaczych różkach skupione są wszystkie zmysły! — Podobnie dzieje się z człowiekiem. Kto ociemniał, temu rozwierają się oczy śród uszu i w końcu palców; kto ociemniał i ogłuchł, tego powonienie, smakowanie i dotykanie wzmaga się potężnie i zastępuje stracone zmysły, okazując moc istnie cudowną. Komu dał Bóg mało rozumu, ten posiada um śmiały, i oto z niego wielki poeta; kto niema umu, odziedziczył bystry rozmysł i jest przewybornym praktykiem. Ten okazuje się człowiekiem bez własnego zdania, ale odziedziczył za to pamięć nadzwyczajną; ów ani nawet pojąć niezdolny, czem jest umysł, lecz celuje zdrowym rozsądkiem; inny niema najmniejszego usposobienia od filozofii, lecz wiara jego tak silna, iż zbawić go potrafi. Mężczyzna jest wszechwładny swym charakterem, kobieta przecież panuje nad nim swą powabną miękkością i słabością. Wszystko tu, przy całej rozliczności, rozmaitości sprzeczności, równoważy się z sobą, a każdy z ludzi jest pod pewnym względem ulubieńcem niebios, tysiąckroć wyższym nad wielu innych. — Patrzymy; oto

człowiek śpiący przed nami! Opuścili go zmysły, a wraz z niemi rozum, rozsądek i umysł; zaczem um jego wznaga się olbrzymim sposobem i roztwiera w miejsce świata rzeczywistego świat marzeń. Człowiek tu widzi, słyszy, wacha, myśli i czuje, żyje pełnem życiem, lubo w innym rodzaju. Życie to jest tem cudowniejsze, im kłamliwsze, im niższe od prawdziwego. Senne marzenia są także różkami ślimaka, lecz należącemi do człowieczeńj duszy. Um je nosi i porusza niemi! — Teraz przystępujemy do osoby w stanie magnetycznym. Ona jest ciężko chora, i to na duszy. Czem jest choroba? Jest rozstrojeniem zwyczajnego zdrowego organizmu. Że zaś ludzki organizm jest najwyższym na ziemi, więc takowe rozstrojenie psuje tę najwyższosc, zaczem zamienia ją w niższosc. Stuzśnie przeto postępuje sławny Schönlein w Berlinie, uważając ludzkie choroby za przejścia zwrotne w organizm zwierzęcy. Swierzba, krosty, wrzody są zgola pleśnią, mchem, grzybem, w które rozwiązuje się nasze ciało! Jak z ciałem, tak i z duszą. Choroby duszy są także zwrotem do psychy zwierzęcej. Dusza fixata staje się zgola podobną do duszy kija, jest martwa i nieruchoma, jak w kiju. Człowiek, znajdujący się w stanie magnetycznym, ogołoccon jest, przynajmniej w chwilach paroxyzmu, z rozumu, rozsądku i umysłu. Jego dusza staje się przeto duszą zwierzęcą. Co straciła, jako dusza ludzka, musi pozyskać, jako dusza zwierzęca. Instynkt zwierzęcy zatem w nią wstępuje. On jest jej rozumem, rozsądkiem i umysłem, a jedno cząc ją z ogółem natury, jak duszę zwierzęcą, wie dzie ją do odkrywania lekarskich środków do przeczuc i przewidywań, czyli do cudownego jasnowidzenia. I jest-że stan taki godzien požądania? Niechaj go żąda, komu milsza choroba od zdrowia; kto woli być zwierzem niż człowiekiem! — W snach przyszlosć przewidywających gra także instynkt zwierzęcy rolę proroka, tak zupełnie i z tychże powodów, jak w stanie magnetycznym. Sny takie mają miejsce, gdy grozi nam istotnie niebezpieczeństwo. Dusza,

stapiając się z duchem ogólnym, przeczuwa je podczas snu, równie jak zwierzę. — Spójrzmy wreszcie na Silberta, to jest na takiego człowieka, co przyszedł do jasnowidzenia, nie chorołą, ale znaną nam już sztuką. Na czym polega ta sztuka? Na podniesieniu umu do tak olbrzymiej potęgi, jaką otrzymuje w czasie snu, bo tylko senny um tytani widzi rzeczywiście własne utwory; widzi nieboszczyków, szatańców, aniołów i sobowtóra! Jasnowidzenie jest tedy tu nie czem więcej, tylko sennym marzeniem na jawie, czyli grą rozkietznanego umu, duszy szaleństwem. Um człowieka jasnowidzącego wyparł rozum, rozsądek i umysł, gdyż inaczej niewidzałby własnych umideł na jawie i niebrałby ich za istotę, za boską rzeczywistość. Gdy to nastąpiło, człowiek stał się z wierzem, a instynkt zajął w nim miejsce rozumu, rozsądku i umysłu. Jasnowidzenie jego rozszerzyło się znamienicie, albowiem nie same już umowe marzenia, lecz także instynktowe przecucia i cudowne potęgi, są teraz oczu jego przedmiotem. Silbert przeto wykształcił się na szaleńca i zwierza, a cudownymi jego potęgami są: um i instynkt. W nim kojarzą się sennie marzenia ze stanem magnetycznym, senną chorobą i ktoś z tych, co rzecz tę rozumieją należycie, mógłby zapragnąć zostać drugim Silbertem, lub przyznać mu mądrość nadziemską? — Żaden równoważny zastępca, pomimo swój podwojonej lub potrojonej dzielności, pomimo tego, że przywraca pełnią w darach Bożych i nagradza nas w pewnym stopniu za otrzymaną stratę, nie jest organem, z którym się rozstaliśmy. I tak np. końce palców, które ślepy czyta, nie są i nie będą nigdy szlachetnym okiem, a człowiek niewidomy godzien jest i będzie litości! Jak podniesiona moc węchu nieopłaca nam całkowicie bolesnej utraty wzroku i słuchu; jak instynkt zwierzęcy, mimo wszech osobliwych swych własności, niższy jest od ludzkiego rozumu, rozsądku i umysłu: tak jasnowidzenie, naturalne i sztuczne, pomimo władzy swój pro-

roczój i cudotwórczej, niezdola nas, biorąc rzecz po ludzku i po bosku, wynagrodzić całkowicie za utratę zwyczajnego rzeczywistości widzenia, i niższe jest od niego. Jak lepsze zdrowie od choroby, tak lepszy rozum, rozsądek i umysł od jasnowidzenia! — Bóg zrobił człowieka koroną wszystkich dzieł swoich, swym obrazem i podobieństwem, czyli dał mu już największą doskonałość, jaka tylko na naszej biednej ziemi była możliwą. Oddawna wyrzekli i powtórzyli mędry tę wielką prawdę, że kto z ludzi żąda koniecznie być Bogiem, staje się z wierzem. I rzecz to naturalna. Albowiem, kto największą doskonałość, jaka wyszła z rąk Boga, usiłuje zrobić jeszcze większą doskonałością, nie podnosi jej, gdyż to niepodobieństwem, zniża ją przeto, to jest z doskonałości ludzkiej tworzy doskonałość zwierzęcą. Prawdę tę potwierdza dziś na nowo jasnowidzenie, czyli mądrość nadziemską Kerninga. — „Ależ cuda Silberta, prawicie, są tak zadziwiające! Jak je podciągnąć pod twą teorią? — Odpieramy: Większa część cudów tych jest taka, — i przekonacie się o tem sami, skoro rozpatrzyć się w nich bliżej. — że przenikliwy rozum, rozsądek i umysł, tudzież zęczne budzenie w ludziach wszechmocnej wiary, potrafiłyby je wykonać bez trudu. Wszakże Pytagoras, Apolloniusz z Tyany i Kagliostro, co celowali rozumem, robili cuda nierównie większe. O kuglarzu Pinety czynimy tu ledwie wspomnienie. Reszta cudów Silbertowych są naturalnymi objawami zwierzęcego instynktu, co zrastając się z duszą natury, wierzy to, czego potrzebują, lub żąda. Duchy piekielne, strachy i mary, które widział Silbert w czasach swój nauki, były utworami jego, coraz bardziej oddalającego się od rozumu, rozsądku i umysłu, czyli coraz bardziej sennie szalejącego umu. I oto cuda! — Wołacie: „Jednakże czyny rycerza Siegfryda inné są natury i nietak snadno podeptać je można!“ Cuda te, odrzekamy, polegają na starem doświadczeniu, wyrażonem w przysłowiu: „A u da ces fortuna ju vat.“ Oprócz tego Siegfryd rozbudzał w swych towarzyszach, za pomocą

niby cudownej trąbki, wszechmoc ślepej wiary. Jaka to potęga, wiedzieć naprzód, że nas kula nie trafi! Jest to moc psychiczna większa nierównie od tej, która dawała Machometowi zwycięstwo, gdyż prorok, o którym mowa, kazał wierzyć li tyle, że komu w niebie śmierci nieprzeznaczono, ten w najsroźszej bitwie niepolegnie. — Wazszego Silberta i Siegfryda ciągnie duch gwałtem ku wykonaniu jakiego cudownego dzieła! Niejestże to fatalność najnieznośniejsza? Nieustępujeż tu wola człowieka woli demona, który go opanował? Niejestże stan ten biblijnym opętaniem? A co jest właściwie tym duchem, tym demonem? Wy go zowiecie duchem Świętym! Mamy głęboką cześć przed duchem Świętym, i bluźnić przeciw niemu nigdy niebędziem. Atoli rzecz oczywista, że duchem, który was ciągnie, że demonem, który wami mimowolnie włada, niemoże być co innego, tylko instykt zwierzęcy! — Kagliostro rzekł: „mundus vult decipi, ergo decipiatur,“ i robił cuda. Wy, dobroduszni, widzicie w sztuce Kagliostry kuglarstwo, ale zarazem i drogę do mądrości nadziemskiej, a pragnąc mądrość tę oczyścić z kuglarstwa, zamieniacie ją w mądrość zwierzęcą! Kagliostro był oszustem, Silbert i Siegfryd obłąkańcem. Jestto w gruncie jedno i toż samo, lecz raz świadome siebie, drugi raz nieświadome szarlataństwo!

Trzy są drogi wiodące do jasnowidzenia: ciężka jaka choroba, ciała lub duszy, nałogowe długie pijaństwo i post ciągły. Na każdej z tych dróg rozbudza się um szalony, a gaśnie rozum, rozsądek i umysł. Majtek Wipner i Karolina Ruppert zdobyli aureolę obłąkania, o której mowa, cierpieniem duszy. Dzicy Eskimowie, przepłynawszy cieśninę Wajgacz i upiwszy się gorzałką z dziegiem, wróżą Kamczadalom. Pytka delficka siadała nad otchłanią, z której wychodziła jakaś para odurzająca, a utraciwszy rozum i porwana będąc zwierzęcym szaleń, przepowiadała przyszłość. Głód, połączony zwłaszcza z samotnością i mystycznym rozmyślaniem, rozognia um i wie-

dzie w końcu do szaleństwa. Głodem zdobywał Silbert zamki swe niebieskie. — Czemu li post, li ascetykę zro-  
biliście zasadą czy waszój? Pijaństwo codzienne dopięłoby  
tu równegoż celu. Ale wstydziście się użyć takiego śro-  
dka, i dla tego wybraliście surową dietę. Czyliż głód le-  
pszy jest tu w gruncie od pijaństwa? Wątpimy. Pijań-  
stwo, rozdrażniając um, tego poetę, łgarza i bajkarza du-  
szy, a zabijając rozum, rozsądek i umysł, wiezie już w kilka  
godzin do widzenia sennych marzeń na jawie! — Polecieć  
komu przez rok cały, przez lat pięć i więcéj, pracować  
nad ujrzeniem własnej jaźni na żywe zmysłowe oczy, to  
jest nad przejściem do sobowtóra; lub też zamknąć kogo  
na miesiąc cały, i znowu na miesiąc, i znowu na czas długi  
w ciemnicy podziemnej, oraz kazać mu uczyć się mówić,  
rachować i tworzyć postaci każdym członkiem, zobaczyć  
ziemię tak przejrzystą, jak szybę lodu; lub też wziąć kogo  
na pustynią i zobowiązać go, aby żył korzonkami, czeka-  
jąc, aż jego grzbiet Ojczesz odmawiać zacznie, aż Chry-  
stus mu nogi obmyje, aż męka Pańska nastąpi; — nier-  
jestże to chęć wyraźna zrobienia go przez gwałt waryatem?  
Silbert poznał jaźń na wylot, odróżnił ją od ciała i duszy,  
ujrzał w niej promień wieczności, a w końcu bóstwo. Nie-  
dość na tem. Musiał ją tak widzieć, jak stół przed sobą.  
Zaczem sobowtór, ten bękart mózgowój gorączki, jest osta-  
tecznem i najdoskonalszem jaźni pojęciem? Niejestże to  
mądrość istnie zwierzęca? Li zwierz, zoczywszy za sobą  
innego podobnego do siebie zwierza, np. wilk wilka, czyli  
przyszedłszy do sobowtóra, poznaje sam siebie! Co to  
za szalone wymaganie, chceć każdym muszkulem i ner-  
wem odprawiać funkcyę języka! Czyliż każdy członek niema  
innego, właściwego sobie przeznaczenia? Wy pragniecie  
widzieć uchem, słyszeć palcem, dotykać wątroba, a wą-  
chać piętą! I rzeczy takie mają być owocem zgłębnienia  
wyższej, wewnętrznej natury! Nie! Chodzi tu li o przy-  
tępienie jednego zmysłu po drugim, o zabicie człowieka  
dla zewnętrznego świata, zaczem, o postawienie go, jeśli  
podobna, na niższym stopniu od zwierza. I wtedy dopiero



splywa nań mądrość nadziemska! — Ogień wickuistego żywota, wydobywający się z palców Mohrlanda, jeżeli nie ma być zwyczajnym magnetyzmem zwierzęcym, to stanowi albo umowę omamienie, albo też czystą bajeczkę. Nasz Zbawiciel niebył rybą drętwickiem, ani galwanicznym stósem. Wjara silna uzdrowiała Chorych, co się szat Jego dotknęli, lub słowo Jego posłyszeli. Jeżeli nie więcej, to przynajmniej wasz ogień żywota trąci kuglarstwem. — Leczcicie w imię Boże, jak Mohrland, Opętanych i wyganiajcie z domów przeszkodę, skoro was, jako ostatecznego środka przeciw Złemu, zawołają; lecz czyńcie to w przytomności lekarza, oraz innych osób, wiedząc, że z was są dwużadne cudotwórcze zwierzęta, które snadno coś nierozumnego popełnić mogą! Atoli dajcie pókój ludziom zdrowym i rozsądnym, to jest niebierzcie ich do swój szkoły! Fildyng i Mohrland za owe męczarnie, jakie biednemu Silbertowi zadali, zasłużyli, tak z moralnej, jak prawniczej strony rzecz biorąc, na dziesięć lat więzienia, lub ciężkiej pracy na francuzkich galerach. — Wędka wasza na Silbertów jest zręczne podbicie woli człowieka, skłoniwszy go do przysięgi na odwagę, wytrwałość i ślepe posłuszeństwo. Czemu niestarać się zdobyć głowy? Mądrość pragnie przekonać, a szarlatanstwo chwytacie w swe szpony! Ale to i naturalna, bo argumentami wszelkiej zwierzęcości są pazury! — Pragniecie, żeby lekarze brali was z sobą, odwiedzając Chorych i Szpitale. Wy tu na nic byście się nieprzydali; i owszem, nawarzylibyście kwaśnego piwa, gdyż Cierpiących już cielesnie trapiłobyście na duszy. Lecz znamy miejsce, na którym popisacbyście się mogli, gdyby sztuka wasza miała jakąskolwiek realną wartość. Czemu nieudajecie się do domu waryatów? Tutaj znajdziecie mnóstwo Opętanych i dążących krokiem olbrzymim do pozyskania waszej mądrości nadziemskiej. Czemu nierobicie tu cudów? Czy lękacie się, żeby Szalony, skoro mu popuszczą łańcuchów, nierozdarł was żywcem, lub niepowyrzucił oknem, jak Silbert naczelnika policyi i żołnierzy, co go uwięzić chcieli? By-

łaby to nader słuszna obawa, bo wiadomo, że jeden Szalony mocniejszy od dziesięciu ludzi. Ależ wtedy zapytałby was się godziło: takąż to więc moc wasza nad demonami? Może też przekonani jesteście, iż dom waryatów jest waszem niebem, i że każdy szaleniec w nim wyższą, niż wy sami, posiada mądrość nadziemską! My przynajmniej, i to z ważnych psychologicznych powodów, o tem wątpimy. Skoro tak jest czemuż się nieudajecie do tego nieba i do tych Cherubinów światłości wiekuistej po dalszą naukę?

Tornujecie nam gościniec do waszój bóżnicy, lecz nie otwieracie nam jój hynzjmniej. Gościniec ten jest okropny, prawdziwie piekielny; i jakaż za to nagroda? Mówicie: Mądrość nadziemską! Nie chcemy tu przypominać, że mądrość ta jest znanem nam już dobrze jasnowidzeniem, czyli szaleństwem lub chorobą, lecz pytamy się was wprost: czym jest ta mądrość? Tego nam niepowiadacie. Wskażcież nam ją tak przecie, jak gościniec do niej wskazaliście! Wyłóżcie ją należycie, jak Kant, lub Hegel naukę swą wyłożył! Jeżeli będzie boską, uderzymy przed nią czołem. Dopóki to nienastąpi, darujcie, iż, opierając się na znajomości psychologii, uważać ją musimy za szalonego umu, lub zwierzęcego instynktu widziadła! Prawicie: „Kto przejrzał okiem wewnętrznego żywota, pozna i pojmie mądrość nadziemską; dla innych ludzi jest ona nieprzystępną i równie, jak Bóg, niewypowiedzianą.“ Nieprzystępne i niewypowiedziane, jeżeli znacie loikę, są li jakieś ciemne, ściśle piersiowe uczucia, lub mózgowe marzenia. Co stanowi rzeczywiste pojęcie, zawsze jest przystępne i wypowiedzialne. Mądrość zwierzęca jest zaiste niewypowiedzianą i dla tego zwierzęta niemówią! Lecz my znamy lepiej od was mądrość waszą, bo umiemy ją bliżej oznaczyć. Każdy z historycznych i dziś włóczących się po świecie cudotwórców wyjeżdza na targ gminu na innój kobyle. Ten widzi Boga w środku niezmierzonej kuli, otoczonego siedmiu kręgami coraz ciemniejszego światła, ów znowu spostrzega między Bogiem a ludźmi rospalone pochodnie, białym czerwonym ogniem płonące. Białe zapalają dusze

ludzkie cnotą, a czerwone złą namiętnością. Tamten ugląda kolumny złych i dobrych duchów, wstępujące w ludzi i wladające przez nich światem; inny znowu dzieli niebiosa na siedm królestw udzielnych, zaludniając je różnego rodzaju chimerami. I tak dalej bez końca. Każdy roztworzył tu oko niecielesne, i patrzy się przecież na zupełnie co innego. Żaden niewidzi prawdy, lecz własne, li osobiste marzenia, bo prawda jest jedna i jedyna, a marzeń tyle, ile marzycieli. Czem jest prorokująca kochanka dla majtka Wipnera, sobowtór dla kapitana, lub potwór czarny z kózłemi rogami dla Karoliny; tem są także wszystkie postaci waszego nieba i piekła, wasza mądrość cała, to jest czystą chorowitęj duszy marą. — Pragniecie ujrzeć jaźń własną, nieboszczyków i Boga na gołe fizyczne oczy! Co to za cielesna i zwierzęca zmysłowość! Zaczem, to jedynie jest prawdą, czego dotykamy okiem, nosem, lub palcem! Jak podobna świat transcendentalny zrobić przedmiotem nietranscendentalnej źrenicy, którą ma także zwierzę? Uczycie: „Ułudą jest świat materyalny i świat duchowny. — Zmysł i umysł uprawiają li znikomość, li czasowe ciało i skończenne myślenie. Jakąż więc ma iść drogą człowiek, co ujrzal świat trzeci, niebędący ni ciałem ni myślą, lecz światem boskim, wiecznym, rzeczywistym?“ Niechaj się uda, odpowiadamy, na łono filozofii polskiej! Ta odłoni mu myśl, to jest oko widzące ten świat trzeci, widzące Boga, jaźń i wszelką transcendentalność. Oko to niejest ani zmysłowe, ani umysłowe, lecz myślowe, czyli boskie. Myśl oddali od was wszelkie chimery, gdyż niejest on umem, i zamieni was w ludzi rzeczywistych tak dla niebios, jak dla ziemi. Wy szukaliście umysłu, i to prawdziwa zasługa w dzisiejszym czasie, w którym albo zmysł, albo umysł dierży berło panowania, lecz niemogąc go znaleźć, porwaliście za um, mający pewne z nim podobieństwo.

Że pierwiastkowy ród ludzki posiadał jasnowidzenie, czysta to bajeczka. Ród ten był za zdrowy na ciele i na duszy, ażeby miał wpadać w nerwowe gorączki i somnam-

bulistyczne stany. Oni wydawali Heraklesów i wyduśzańców, Teuzszów i Samsonów, Orfeuszów, Homerów i Hezjodów. Ale to prawda, że ludzie pierwiastkowi, jako uchłopięta i młodzieńcy ziemi, szli zbyt często za szalonym umem i w religiach swych rozsieli mnóstwo pięknych poetycznych baśni, a z drugiej strony, jako jeszcze zwierzęta, rządzą się nieraz instynktem. — Ze pierwiastkowi ludzie myśleli, który ugłąda rzeczy boskie bezpośrednio, że myśl ten później, gdy rozumowe i umysłowe oderwania poczęły grać rolę, straconym został, i że go długo, niemal wszędzie daremnie szukano; tego nieprzeżymy. Myśl ten odkryła na nowo filozofia polska, ku rozwikłaniu jaźni Słowian, w sławieniu ich z umiejętnej strony i postawieniu samodzielnie w domu Europejskim obok romańskiego i germańskiego szczepu. — Wiara zastępowała dotąd miejsce, nie dawnego straconego jasnowidzenia, lecz dawnego straconego myślu. Od dziś dnia można także sam myśl, ten, że tak śmiało powiem: raj odzyskany, posiadać. — Podajecie dwa środki do przekonania się o nieśmiertelności: oko prorocze, lub obcowanie z nieboszczykami. Co to za środki! Żywoć wieczny ma lepszy, niezawodny, bezpośredni dowód: Rozbudź wieczłowięku, jak to czyni filozofia polska, własne uczucie! Kto poczuje się bóstwem, przekonanie się natychmiast o nieśmiertelności swój jaźni. I przekonanie to zdobędzie bez sobowótów, poczwar piekielnych, tudzież innych marzydeł waszego szaleństwa. — Nieśmiertelność pojmujecie fałszywie. Nie jest ona runem złotem, przeznaczonem dla umięjących je zdobyć Argonautów; lecz każdy człowiek bez wyjątku mieć ją będzie, bo każdy jest jaźnią, czyli wiekuistym bóstwem. Prawda, że kto na ziemi nie był ni razu w niebie, to jest nigdy nie poczuł się bóstwem i nie działał, jak bóstwo; ten nie trafi po śmierci do nieba. Jednakże życie wieczne jest także za niebem. Nie sami Święci, lecz i Potępieńcy żyć będą nieśmiertelnie. — Rozszczepanie się z samym sobą tak silnie, że dwa kontrasta, czyli dwa przeciwne sobie usposobienia i dążę

nia jaźni, przeistaczają się wreszcie w oddzielne od nas, zewnętrznie lub wewnętrznie trapiące nas demony, ma być drogą do mądrości prawdziwej! Czyliż już rozbrat taki we własnej naszej istocie nie jest waryactwem? Któryż człowiek, pracujący nad sobą i kształcący dopiero swój sposób myślenia lub charakter, niewpada na chwilę w rozbrat wewnętrzny? Kogoż niepociąga z jednej strony wieczość, powinność, świętość, wyniosła cnota i chęć ofiary, a z drugiej słodka doczesność, błogi blask i luby interes własny? Rozbrat ten przecież wnet znika w człowieku rozsądnym i miejsce jego zajmuje lepsza, nowa jaźni harmonia. Rozszczepianie się z samym sobą tak wielkie, że jednozgodność staje się niepodobieństwem, dowodzi li niedołęstwa, lub choroby ducha, i kończyć się zwykła szaleństwem. Jeżeli stan taki nie jest szaleństwem, czemuż wy sami go leczycie, usiłując przywrócić w jaźni straconą równowagę? — Ród ludzki ma coraz bardziej gangrenieć, głupieć i nikczemnieć! Piękny to, rozkoszny, pełen nadziei widok na przyszłość! Nielepiejże dziś już w teb sobie wypalić? I myśl ta nietoperzowska, z historią niezgodna, ma być chrześcijańską! Czyliż nam wiara nieprzyobiecuje, że przyjdzie raz Królestwo Boże? — Filozofia, umiejętność i nauki mają być skutkiem utraty pierwiastkowego jasnowiedzenia, a później rozstania się z wiarą; mają być porodami grzechu pierwotnego, Złem, które pycha i zarozumiałość wykarmiły, słusznie zakazanym od Boga owocem ziemskiej, znikomój i zwodniczej wiadomości! Moi Panowie! To, co nam prawicie, jest najokropniejszym bluźnierstwem przeciw Duchowi Świętemu. Inaczej niepojmuję, jakby przeciw Niemu bluźnić można! Nie jest On ciemnotą waszego szaleństwa, lecz światłością zdrowej, Bogiem przepelnionej jaźni. Czem byłaby ludzkość dzisiejszej Europy bez filozofii niepodległej, bez umiejętności i nauk swobodnych? Indyami, Chinami, Japonią lub Tybetem, to jest zbiorem państw zwierzęcej stagnacyi! Wszakże w Azji panuje wciąż wiara, a nawet milionkroć silniejsza, niż u nas, bo trwa od tak wielu wieków bez najmniejszej

zmiany. Wiara bez światłości jest ciemnością i prowadzi przed ołtarze sprośnych Molochów. Takiej wiary wy uczycie! Filozofów oskarżacie o pychę i zarozumiałość, sami zaś chlubicie się pokorą. Piękna mi pokora! Niejestże to pycha i zarozumiałość prawdziwie szatańska, trudnić się samemu oczywistą głupoty teorią, a potępiać wyroby mądrości całego, w jeniuszów swych kwiecie występującego człowieczeństwa? Nauki są piekielnymi demonami, co w ludzi wstępują! Nam się zdaje, że li o nauce waszój da się to sumiennie powiedzieć, bo wy jedynie wpędzić pragniecie demonów w nas wszystkich, jak w biednego Silberta. W męczenniku tym waszego obłąkania niemęszkało pierwój 44. tysiące szatanów, lecz wy wtłoczyliście ich w niego przez gwałt waszą nauką i sztuką. — Wrzeszczycie przeciw filozofii, że jest niezem, albowiem tu wciąż system wypiera system! Zarzut ten, czyniony jój już przed tysiącami lat od niedołęstwa, przed tysiącami lat okazał się li złośliwą niemocą. Kto go czyni, niewie, co mówi, czego żąda. Filozofia jest wiecznie jedna, jak prawda, i niezmienia się nigdy, lecz ciągle postępuje, ciągle staje się wszechstronniejszą. Tylko w wiecznie płynącym czasie objawić się zdoła całkowicie wszelka wieczność; tylko przez czasową skończoność wymawia się nieskończoność wieczna. Wieki, wraz z rozliczną i różnorodną ich mądrością są li postępnymi krokami filozoficznego objawu. Sam Bóg przeznaczył filozofii i każdej istotnej umiejętności los taki, bo jedynie postęp jest żywotem człowieczeństwa i godnem boskości jego przeznaczeniem. Myśl ludzka nie stoi, lecz biegnie. Ona niejest wiecznie jedną myślą małpy lub papugi. Stagnacya jest zwierzęcością. Co nierozwija się ciągle, niema historyi, a co niema historyi, niżej stoi od człowieczeństwa. Zaiste, ród wilków i niedźwiedzi ma po wsze czasy tęż samą filozofią! Tu system niewypiera systemu! Takieże więc filozofii pragniecie i na ludzkości łonie? — Sami krzyżujecie się z sobą, a niewiecie o tem. Wyklinacie filozofią, umiejętność i naukę; a wszelakoż filozofujecie,

układacie marzenia wasze umiejętnie, krasicie je prawdziwymi myślami i pragniecie innych przekonać. Czegóż sprzeczność ta dowodzi? Oto, że duch nie opuścił was zupełnie, ale że Duch Święty przeistoczył się tu w duch przekłętý! Ileż filozofii w waszój nauce! Tu tylko cel fałszywy. Jedyne dzielna loika, wystawiwszy wszechstronny sprawdzian poznania (criterium cognitionis) stać się może tarczą przeciw waszym i podobnym doktrynom. Po sprawdzian taki odsyłamy do polskiej Myślini. Kto go, za pomocą jój zdobędzie, potrafi zedrzeć lwia skórę z każdego rodzaju napuszonego osłostwa, jak to uczyniliśmy tutaj względem Kerningowój Demonomanii. — Wykrzykujecie: „Precz z erudycją, doktryneryą, autorską hazgranią! Żadna księga ludzkości niezbawiła!“ Szaleni wychowawcy ciemnego piekła! Myśl rodzi nowe idee, nowe dążności, nowego ducha czasu; myśl jest światłością, rozbiegającą się równie szybko, jak promienie słońca, jest płomienistym mieczem Cherubina, dzielniejszym od najostrzejszój angielskiej stali, jest potęgą największą na ziemi, bo wydobywającą się z niebios; myśl odkrywa wszędzie cel i środek do niego, idzie przed uczuciem i ręką; myśl podnosi nas do Boga, do żywota wiecznego i lepszą przygotowuje nam przyszłość. Bez myśli staje się człowiek kijem, a narody dębowym lasem, który wycina, kto tylko zapragnie. Jak dusza nad ciałem, tak myśl panuje nad tygrysiemi pazurami i bydłecemi rogi. Myśl wymawia się w słowie, lecz że to niesięga daleko, przechodzi w księgi i rozbiega się po świecie. Wynalazek druku uzbroił ducha ludzkości równie silnie, jak wynalazek prochu jój ciało. Nie człowiek, lecz bezmyślny zwierz może być ksiąg wrogiem! — Co chwila grzmiecie dzikim, tygrysim rykiem: „My ludźmi czyni!“ Jaki i gdzie wasz czyn? Silbert był człowiekiem czynu, dopóki, jako zacny adwokat i sejmowy poseł, bronił uciśnionej niewinności; lecz później zrobiłże co dla człowieczeństwa, lub Boga? Może jego podziemne dobrowolne więzienie i głupia walka z wymarzonemi demonami, może jego pa-

danie do nóg Mohrlandowi i szaleństwo, włóczęga po świecie  
 i oglupianie ludu jest czynem? Kto działa dla ludz-  
 kości i świata po ludzku, działa dla szatana, który go  
 opętał. Wyjeżdżacie z wojennymi czynami Siegfryda! —  
 O, większych czynów dokazywali Grecy naturalnym spo-  
 sobem podczas wojny z Kserksesem! Kto uczuł się bó-  
 stwem wolnym i nieśmiertelnym; ten niełka się  
 zgonu, i będzie równie wielkim bohaterem, jak Siegfryd;  
 większym nawet, bo niepokona nośc swą wydobędzie  
 sam z własnej piersi, bez pomocy demonom a-  
 nicznego hoc us-pokus! — Nauka wasza ma być zgo-  
 dna z Chrześcijaństwem! Zaprzeczamy temu jak nuro-  
 czyści. I owszem, widzimy w niej nieświadomą irro-  
 nią Chrześcijaństwa, oraz wszelkiej religijnej  
 wiary. Chrześcijaństwo niema na celu wpędzenia w ludzi  
 szatanów i niewiedzie nikogo do szaleństwa. Czyli sądzicie,  
 że nauka Zbawiciela polega li na cudach? Czy leczenie  
 Opętanych jedyną jej treścią? O, nie, Ona daje nam  
 wszechstronną światłość, zdolną zaspokoić, nietylko bujny  
 wasz um, lecz także rozum, rozsądek i umysł, a nade-  
 wszystko myśl religijny. Zamiarem waszym ma być da-  
 wanie żywego świadectwa nauce Chrześcijańskiej! Nie, da-  
 jecie li świadectwo opętanom, lunatykom, sobowtórom,  
 przeszkodom i innej działwie umu, w które świat niewie-  
 rzył, dla tego, że ich niepojmował. Jeżeli Chrześcijaństwo,  
 o czem żaden jego wyznawca niewątpi, wiekuistą jest pra-  
 wdą, to li samodzielna filozofia, rozbijająca mury ciemnoty  
 i libertynstwa, zgłębiająca tajemnice Boże tak w przyro-  
 dzeniu jak w piersi człowieczej, może dawać mu świade-  
 ctwo. I dała mu je po raz ostatni przeciw francuzkim  
 Encyklopedystom przeszłego wieku; daje dziś także, wal-  
 cząc przeciw Strausom i Feuerbachom! — Podszycacie  
 się pod Wolne Mularstwo, robiąc się uczniami Jana  
 Chrzciciela. O, ani Jan Chrzciciel, ani wolne mularstwo  
 nieświadczy o ciemnocie waszej, lecz o światłości nieobja-  
 wionej jeszcze, a przecież każdemu od Boga danej, to jest  
 o takiej, którą zajmuje się filozofia. Tylko filozofowie mogą



być uczniami Jana Chrzciciela! — Wreszcie, nie poznanie prawdy, lecz tworzenie nowój demonologicznój wiary, jest właściwie tajnym celem waszym. Sam Silbert zapewnia, że zaprowadziłby wiarę prawdziwą(?!), gdyby jej już niebyło. Inni uczniowie wasi idą dalej i chcą Chrześcijaństwo niby to dalej rozwinąć i na wyższy podnieść stopień. Na co to się przyda? Mamy już zaprowadzoną wiarę, lud uszczęśliwiającą, którą tylko głębiej poznać trzeba. Zostawmy w końcu Azji wysłańców niebios! Dla Europy przeznaczył Bóg filozofią, a nie obłąkami. — Rzekniecie przeciw Krytyce naszej: „Czcza to teoria; ziemiska syllogiczna mądrość. My się w nią niewydajemy. Nie dysputa, ale praktyka jest powołaniem.“ Dobrze, pooglądamy okiem na waszą praktykę, i mamy do tego sposobność, bo namnożyło się dziś cudotwórców, jakby niemi deszcz padał. Trzech ich wypędzono z Francyi, a między nimi jednego Polaka. W Anglii, Hiszpanii i we Włoszech ich niebraknie. Głośny Schäfer zmarł niedawno, a Eitgler, policją zagrożony, umilkł w Niemczech. Lecz mamy i nowego i działającego silnie bohatera niebios. Jest nim ksiądz, kapelan Oschwalds z Hammereisenbach w bawarskim Czarnym lesie. Będzie to może Fildyng. Otóż niedawno tak pisały o nim gazety: „Czarny las dnia 24. Sierpnia 1843. r. Donieśliśmy już dawniej o czterech kuracyach kapelana Oschwaldsa, których skutkiem było niepodobne do uleczenia szaleństwo i po niem następująca śmierć okropna. Teraz zawiadomiamy publiczność o nowych trzech kuracych. Wszystko to stało się w ciągu jednego, właśnie bieżącego roku. Są to owoce najboleśniejszego przesądu i religijnego obłąkania w mystycznym zmroku. Trzy przypadki, o których mówić mamy, występują w formie Demonomanii, wiedzionej szaleństwem i wściekłością. — Pierwszy spełnił się na 17letniej panience v. L. w Hammereisenbachu. Matka nieszczęśliwej téj istoty cierpi od lat wielu na chroniczny reumatyzm, który pozbawił ją wolnego użycia rąk i nóg, położył na łożu. Staruszka, sprzy-krzywszy sobie długie i ciągłe leki, wezwwała do siebie cu-

dotwórcę Oschwalsa, który odwiedzał ją przez pół roku, niemogąc jej pomóc, i biedna dziś jeszcze poci się pod pierzyną. Przy sposobności tej zapoznał się bliżej z namiętną panią, córką chorą staruszki. Rozmawiał z nią zwykle w przesadzonym duchu religijnym; nie w dobrych uczynkach, lecz w ślepej wierze wskazywał jej zbawienie i dawał do czytania pietystyczne książki. Celem jego było, zyskać ją dla nieba, jako niepokalaną dziewicę. W skutku tych szalono-pobożnych nauk już po dwu miesiącach ćwiczenia dostała panna demonomanię, która wnet wyrodziła się we wściekłość. Musiano związać biedną dziewczynę, bo chciała zabić matkę, dla tego, że niegdyś męża pojęła. Uwiadomiony o wydarzeniu ten fizyk w Neustadzie, udał się na miejsce i przekonał się o smutnej prawdzie. Sprawę tę posłano do Karlsruhe po dalsze rozstrzygnięcie, a dziewczynę zawieziono do domu waryatów. — Drugi przypadek podobnegoż rodzaju przytrafił się przed pięciu dniami także w Hammereisenbachu, i dotyczy się 37letniej mławiasty. Oburzenie i zgrozą opamięnowała tu wszystkich mieszkańców. Nieszczęśliwa ofiara, matka dwu chłopców, odwiedzała codziennie kapelana od dość długiego czasu. Że prawił jej o złych i dobrych duchach, o słodkim imieniu Jezus itp., dowodzą tegoż własne jej słowa, wymawiane śród najokropniejszego szaleństwa. Obląkana wrzeszczy co chwila, że dusza jej będzie wiecznie potępiona; że chłopcy jej są bękartami i ma ją ojcem szatana; że pozwoli się każdemu całować, który wyrzeknie słodkie imię Jezus itp. Gdy była jeszcze w domu, chciała zamordować swego 14letniego syna, który liż spieszny ucieczką zdołał się ocalić. Rząd wdał się również w tę sprawę. — Trzeci przypadek dotknął pewną kobietę z miasteczka Lenzkirchu. Odwiedzała cudotwórcę Oschwalsa, szukając obroku duchownego. Ledwie, że wróciła do domu, porwały ją demony, a po nich szaleństwo. — Siedm wypadków takich zdarzyło się w krótkim czasie w jednej małej i nieludnej okolicy, a cudotwórca ma mieć nader rozległą praktykę! Bez wątpienia zaboje

tu serce każdego przyjaciela ludzkości i godności człowieka. Ofiary tego szatańskiego, a niby religijnego szataństwa giną dla niebios i ziemi, dla społeczeństwa, dzieci własnych i samych siebie na zawsze. — Jak czarny przesąd opowiadał Oschwaldsa, okazują słowa jego, wyrzeczone do jednego z sąsiednich Dziekanów. Cudotwórca wezwany został do pewnego chłopa. Przyszedł i oświadczył, że Chorego szatan opętał. Zaczął leki, które nieudaly się wcale. Dziekan miejscowy, chcąc go odwieść od tego szarlatanstwa z wiarą, zapewniał, iż wszelka choroba cielesna ma początek naturalny i należy do zwyczajnego lekarza. Oschwalds odpowiedział: „Są złe duchy, przepelniające powietrze, któremi oddychamy. Duchy te stanowią przyczynę wszech chorób. Kto niemi odetchnął, porywa go choroba. Śmiejesz się, księżę Dziekanie? Jedź do Szwajcaryi, a wymienię Ci lepszego mistrza odemnie. On ma taką moc nad demonami, że gdy rozkaże im kogo przesładować, wstępują w naznaczoną osobę, gdy zaś poleci im ustąpić, opuszczają Chorego.“ Skoro cudotwórca ten śmie odzywać się tak do oświeconego człowieka i teologa, jekież musi on rozprawić z prostym, dobrodusznym ludem! — Tu kończy się wyciąg nasz z gazety.

Demonomania, którą opisujemy, ma dla nas Polaków, niejedynie ogólny, lecz także szczególny interes. Wszakże zjawił się za granicą prorok Towiański i pomógł już znacznej liczbie ludzi porządną niegdyś głowę. Ze poeci stali się najgorliwzszymi jego uczniami, nie dziwnego, bo tu um ich szalony znalazł roztwarte dla siebie etery. — Rozprawa nasza, choć niepyta się wcale o osobistą naukę Towiańskiego, — bo to rzecz obojętna, — odkrywa przecież tajemną jej krynicę i rozjaśnia duszę proroka na wylot. Ze człowiekowi objawiają się kolumny dobrych i złych duchów, jeniusz dziewicy orleańskiej, Napoleona i izraelskiego ludu; że Najświętsza Panna siada obok niego, wdaje się z nim w rozmowy i zostawia po sobie zgola krzesło gorące, na którym spoczywała; że on widzi przyszłość i posiada mądrość nadziemską; pojmujemy to sna-

dno. Wszystko to prawda jak najszczerza. On jest także Mohrlandem. Lecz właśnie dla tego polecamy biedną jego głowę miłosierdziu Boga i ludzi! Ze Mickiewicz, Gut i tylu innych zostali, ni zład ni zowad, również prorokami, wierzymy dobrodusznie. Tak nimi zostać mogli, jak Silbert. Tem bardziej też ubolewać nam trzeba nad upadkiem ducha tych mężów. Mickiewicz wystrzelił niegdyś jak świetna rakieta, pękł z trzaskiem w ostatnich swych dziełach, a dziś wlecze się po nim dym ciemny!

Niema Złego, w którembymy nieznalazło się coś Dobrego. Niema przesady i zabobonu bez pewnego jasnego promienia prawdy. Dobre i prawda są istoty; Złe i fałsz mniejszą lub większą istoty tej ujemnią (*privatio*). Samo szaleństwo jest jeniałością, która wyteżywszy się za swe naturalne granice, rostrzaskuje się i znika jak bańka mydlana. Tak się rzecz ma i z Demonomanią. — Kerning, szukając drogi do nadziemskiej mądrości, odstąpił lub lepiej rozjaśnił psychologią ludzką nocnej strony. Ten niemyśli wcale, kto po przeczytaniu naszej rozprawy, nierozumiałby żywotów Świętych, legend i ballad, cudów i dziwów najrozliczniejszych; kto uważałby je wprost, jak to dotąd bywało, za zmyślenia i czcze klechdy; kto niepotrafiłby pojąć psychicznych usposobień Hermesa, Zoroastra, Fo i tylu innych azyatyckich wiarotwórców. — O, nie; rzeczy tego rodzaju są głęboko w duchu człowieka zakorzenione, lubo niemają same w sobie filozoficznej i umiejętnej wartości! — Wiele zdań Mohrlanda, Fildynga, i Kerninga zgodne są z filozofią naszą i moglibyśmy je podpisać. Wszystko tu jest mniej lub więcej prawdą, czego um, szukający koniecznie demonów, wpływem swym nieśkoślawił. — Kerning odróżnia, choć w dziełach swych niemieckich niewszędzie należycie i jasno, świat boski, świat trzeci, od dwu dotąd znanych światów: materialnego i duchowego. Nauka jego może być uważana za rodzące się dziś w panteistycznych, libertyńskich lub bigońskich Niemczech ciemne przeczucie wielkiej tej prawdy, na której od pewnego już czasu oparła się filo-

filozofia polska i która wyświeciła różnostronnie. — Kerning, powodowany dość ogólną dziś w Niemczech dążnością za bezpośredniem widzeniem Boga, szuka cudownego oka dla rzeczy transcendentalnych i znajduje je w jasnowidzeniu. Zbłądził tu ciężko i stał się rościcielem. Atoli jasnowidzenie to jest jutrzenką nowego słońca, które dla Polskij już weszło, a w Niemczech dopiero świtać poczyna, jutrzenką myśli. Mysł polski, nie jest ochorowitym stanem duszy, jak jasnowidzenie, lecz zdrowem i bezpośredniem oglądaniem Boga, tudzież światła trzeciego, wiecznem realności i idealności, czyli istotnej rzeczywistości jądrem będącego. — Kerning uznaje, lubo niezupełnie świadomie jednostkowość jednostkę, albo raczej całość, stanowiącą istotę Boga i człowieka, oraz źródł święty przeświadczenie świadomości, własnego uczucia i myślenia; uznaje, mówię, całość, czyli pojedynczość za matkę i ostateczną wnucę wszelkich szczegółów i ogółów. Jest to nowe dotknięcie filozofii polskiej i jednej z prawd dotąd w Niemczech nieznanych. — Kerning, pracując nad demonomanią, napotkał na jaźń w udzielnosci jój od ciała i ducha, zrobił różnicę między rzeczywistym, czyli boskim człowiekiem, a jego zewnątrzno i wewnątrzno skończonym światowym futerałem, i ujrzał cel nasz stanowczy w odrodzeniu się Bogiem samodzielnie. Przez to wszystko zbliżył się do nas i do nowo-europejskiego czasu. — Polska filozofia wyłożyła rzeczy właśnie wymienione już od dawna, z dziennej, to jest z rozsądnej strony. Teraz zdarzyła się nam sposobność przedstawić je ze strony nocnej i szarzej. Dla tego ulepszyliśmy naukę Kerninga i nadaliśmy jój pierwój najwyższą doskonałość, wyższą przynajmniej, niż ma istotnie, nim zabraliśmy się do jój krytyki. Że to ułatwia zrozumienie nowo powstającej filozofii narodowej, rzecz oczywista. — Oto dobre i świetne strony niniejszej mądrości nadziemskiej, tudzież najglówniejszy powód, dla czego właściwie zrobiliśmy ją treścią téj rozprawy. Niejedna rzecz filozoficzna zyskuje, skoro z pod promieni

ennego słońca wywiedziesz ją także pod światło nocnej  
lampy. Puszczyków przynajmniej przekonasz tym sposo-  
bem najsadniej. — Duch polski żyje dziś pełnym żywo-  
ścią, pełniejszym, niż kiedykolwiek. Żyje i prześciga w nie-  
mym już punkcie zimowego ducha Galii i Germanii. —  
Mieliliśmy np. nierównie pierwój poezją polityczną, niż  
Rzymacy, a nasze „Trzy myśli Ligenzy,“ wyścigają  
i wyprzedzają całej Europy. Daj Boże, ażeby życie  
niezamarzło styczniowym mrozem w samymże  
związku!

Freiburg w Bryzgowii d. 15. Pazd. 1843.

